Maurice Druon

Królowie przeklęci 2

Zamordowana królowa

Księgozbiór DiGG

2010

„Cała historia tego okresu to walka
na śmierć i życie legisty z baronem.”
MICHELET

Prolog

Dnia 29 listopada 1314 roku, w dwie godziny po nieszporach, dwudziestu czterech jeźdźców w barwach Francji wypadło cwałem z zamku w Fontainebleau. Śnieg bielił leśne drogi, niebo było czarniejsze niż ziemia; zapadła już noc, a raczej - na skutek zaćmienia słońca - noc nieprzerwanie trwała od wczoraj.

Dwudziestu czterech jeźdźców nie zazna spoczynku przed świtem; będą cwałować nazajutrz i w dnie następne, jedni do Flandrii, inni do Angoumois i Gujenny, jeszcze inni do Dôle we Franche-Comte, ci do Rennes i Nantes, tamci do Tuluzy, do Lyonu, do Aigues-Mortes, budząc po drodze bajlifów i seneszalów, prewotów, ławników, kapitanów, głosząc w każdym mieście czy też osadzie królestwa, że król Filip IV Piękny nie żyje.

Na wszystkich dzwonnicach poczną bić żałobne dzwony, wielka, dźwięczna, ponura fala popłynie, rozszerzając się, aż dosięgnie wszystkich granic Francji.

Po dwudziestu dziewięciu latach spiżowych rządów „król z żelaza” skonał, rażony w mózg. Miał czterdzieści sześć lat. Śmierć jego nastąpiła w niespełna sześć miesięcy po zgonie strażnika pieczęci, Wilhelma de Nogaret, a w siedem miesięcy po zejściu ze świata papieża Klemensa V.

Tak oto jakby sprawdzało się przekleństwo, jakie 18 marca ze szczytu stosu rzucił wielki mistrz templariuszy, który powołał wszystkich trzech, aby zanim upłynie rok, stawili się przed Sąd Boży.

Król Filip, władca nieugięty, wyniosły, mądry i tajemniczy, tak zrósł się ze swoim krajem i tak górował nad swą epoką, iż tego wieczoru wszyscy odczuli, że przestało bić serce królestwa. Narody nigdy jednak nie giną z powodu śmierci jednego człowieka, choćby był najwybitniejszy; ich narodzinami i kresem rządzą inne prawa.

Odtąd imię Filipa Pięknego oświetlą w mroku stuleci tylko płomienie stosów, na które ten monarcha rzucał swych wrogów, oraz iskrzenie się złotych monet, które kazał rzezać. Nader rychło wszyscy zapomną, że okiełznał możnowładców, utrzymywał pokój w miarę możności, reformował prawa, wybudował twierdze, aby można było bezpiecznie siać, zjednoczył prowincje, zwoływał zgromadzenia mieszczan, a przede wszystkim czuwał nad niezawisłością Francji.

Zaledwie ostygła jego ręka, zaledwie zgasła ta potężna wola, a już rozpętały się długo ujarzmiane lub zwalczane zawiedzione ambicje, prywaty, urazy, żądze zaszczytów, wpływów, bogactw.

Dwie grupy gotowały się do bezlitosnej walki o władzę: z jednej strony reakcyjny klan baronów pod wodzą Karola de Valois, brata Filipa

Pięknego, z drugiej zwarta grupa najwyższej administracji, kierowana przez Enguerranda de Marigny, koadiutora zmarłego króla.

Tylko silny monarcha mógł uniknąć konfliktu, który kłuł się od miesięcy, i tylko on mógł był go rozstrzygnąć. Wstępujący zaś na tron dwudziestopięcioletni książę, Ludwik Nawarry, wydawał się równie mało uzdolniony do rządów, jak i skąpo obdarzony przez los. Poprzedzały go niesława zdradzonego małżonka i przykre przezwisko Kłótliwego. Życie jego żony, Małgorzaty Burgundzkiej, uwięzionej za wiarołomstwo, miało być stawką w rozgrywce dwóch rywalizujących ze sobą stronnictw.

Koszty walki mieli jednak ponieść również ci, którzy nic nie posiadali, nie brali udziału w biegu wydarzeń, a nawet o niczym nie marzyli... Co więcej, zima roku 1314-1315 zapowiadała się jako zima głodowa.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Początek panowania

I

Zamek Gaillard

Osadzony na kredowej skale ponad miasteczkiem Petit-Andelys, zamek Gaillard górował, panował nad całą górną Normandią.

Sekwana w tej okolicy zatacza szeroką pętlę wśród soczystych łąk; zamek Gaillard czuwał nad dziesięciu milami w górę i w dół biegu rzeki.

Ryszard Lwie Serce kazał go zbudować przed stu dwudziestu laty, na przekór traktatom, rzucając tym wyzwanie królowi Francji. Widząc, jak stoi ukończony, wzniesiony na wzgórzu wysokim na sześćset stóp, bielejący świeżo ciosanym kamieniem, opasany podwójnym murem, patrząc na wysunięte ku przodowi szańce, kraty, blanki, barbakany, na trzynaście wież i potężną basztę, Ryszard wykrzyknął:

- Ach! Ten zamek to prawdziwy chwat![*]

Tak została ochrzczona budowla.

Wszystko zostało przewidziane dla obrony tego olbrzymiego prawzoru wojskowej architektury, szturm, atak czołowy lub okrążający, osaczenie, wdarcie się po drabinach, oblężenie, wszystko - prócz zdrady.

W siedem lat zaledwie po wybudowaniu twierdzy wpadła ona w ręce Filipa Augusta, w czasie gdy odbijał on królowi angielskiemu księstwo Normandii.

Od tej chwili zamku Gaillard używano nie tyle jako placu boju, ile jako więzienia. Władcy zamykali tu swych przeciwników, pozostawienie których na wolności zagrażałoby racji stanu, zaś skazanie na śmierć mogłoby wywołać zamieszki lub konflikty z innymi mocarstwami. Każdy, kto przekraczał zwodzony most tej cytadeli, miał mało szans, by ujrzeć świat ponownie.

Całymi dniami kruki krakały pod dachówkami, nocą wilki zbiegały się i wyły u stóp murów.

W listopadzie 1314 roku zamek Gaillard, jego wały obronne i garnizon

[*] Gaillard (franc.) - chwat, zuch, junak

łuczników służyły wyłącznie do straży nad dwoma kobietami: jedną dwudziestoletnią, drugą osiemnastoletnią, Małgorzatą i Blanką z Burgundii, dwoma księżniczkami francuskimi, synowymi Filipa Pięknego, skazanymi na dożywotnie więzienie za zbrodnię wiarołomstwa wobec małżonków.

Był to ostatni poranek miesiąca i właśnie godzina mszy.

Kaplica znajdowała się za drugim murem. Osadzona była na skale. Było tu ciemno i zimno; z nagich murów sączyła się wilgoć.

Ustawiono tam tylko trzy krzesła; dwa na lewo zajmowały księżniczki, jedno na prawo dowódca wartowni, Robert Bersumee.

Za nimi stali w szeregu zbrojni żołnierze równie znudzeni, równie obojętni, jakby ich zwołano na zbiórkę dla dostawy obroku. Śnieg, który wnieśli na podeszwach, topniejąc tworzył wokół żółtawe kałuże.

Kapelan zwlekał z rozpoczęciem nabożeństwa. Zwrócony plecami do ołtarza rozcierał zgrabiałe palce o wyszczerbionych paznokciach. Najwyraźniej jakaś nieprzewidziana sprawa zakłócała jego pobożną rutynę.

- Moi bracia - rzekł - musimy w dniu dzisiejszym wznosić modły wielce gorąco i wielce uroczyście.

Odchrząknął i zawahał się zakłopotany wagą tego, co miał oznajmić.

- Pan Bóg raczył powołać do siebie duszę naszego umiłowanego króla Filipa. Ciężki to cios dla całego królestwa...

Obie księżniczki zwróciły ku sobie twarze ujęte w grube czepce z nie bielonego płótna.

- Niech wzbudzą skruchę w sercu ci, co wobec niego zawinili lub go obrazili - mówił kapelan - niech ci, co zachowali żal do niego za życia, błagają dlań o miłosierdzie, którego każdy umierający czy to możny, czy niskiego stanu w równej mierze potrzebuje przed sądem Pana naszego...

Obie księżniczki padły na kolana i pochyliły głowy, aby ukryć radość. Nie odczuwały już chłodu, nie odczuwały już trwogi ani własnej nędzy. Zalała je olbrzymia fala nadziei; a jeśli w milczeniu zwracały się do Boga, to jedynie po to, aby mu dziękować, że uwolnił je od straszliwego świekra. Nareszcie, po siedmiu miesiącach więzienia w zamku Gaillard, docierała do nich ze świata dobra nowina.

W głębi kaplicy zbrojni szeptali, kręcili się, przytupywali.

- Dadzą chociaż każdemu z nas po srebrnym soldzie?

- Niby że król umarł?

- Ponoć tak robią.

- Nic podobnego, nie wtedy jak król umarł; może na koronację nowego króla.

- A jak się on będzie nazywał, ten nowy król?

- Czy będzie wojował, żeby ruszyć się wreszcie z tego kąta?

Dowódca fortecy odwrócił się i rzucił im szorstko:

- Modlić się!

Wiadomość stawiała przed nim szereg problemów. Starsza bowiem z uwięzionych była małżonką księcia, który właśnie dziś wstępował na tron. „Więc jestem strażnikiem królowej Francji” - mówił do siebie kapitan.

Urząd więziennego dozorcy członków królewskiej rodziny nigdy nie był stanowiskiem do pozazdroszczenia. Robert Bersumee najgorsze chwile

życia zawdzięczał tym dwóm skazanym, które przybyły do niego pod koniec kwietnia z ogolonymi głowami, w wózkach obciągniętych kirem i pod eskortą stu łuczników. Dwie młode kobiety, zbyt młode, by się nad nimi nie litować... piękne, zbyt piękne nawet w tych workowatych, zgrzebnych sukniach, żeby nie móc oprzeć się wzruszeniu, poznając je dzień po dniu przez siedem miesięcy... A niech no by uwiodły jakiegoś sierżanta z garnizonu i uciekły albo jedna z nich powiesiła się lub śmiertelnie zachorowała czy też niechby nastąpił nagły zwrot w ich losie, to zawsze on, Bersumee, będzie winny i łajany za zbytnią słabość lub zbędną surowość; a w żadnym wypadku nie przyczyni się to do jego awansu. Podobnie jak obie jego więźniarki nie miał ochoty zakończyć życia w tej cytadeli chłostanej wichrem, mokrej od mgły, wybudowanej dla dwóch tysięcy żołnierzy, a liczącej obecnie nie więcej niż stu pięćdziesięciu; nie chciał tkwić nad tą doliną Sekwany, skąd dawno wycofała się wojna.

Nabożeństwo ciągnęło się, ale nikt nie myślał ani o Bogu, ani o królu: każdy myślał tylko o sobie.

- *Requiem aeternam dona ei Domine..*[*]. - zaintonował kapelan.

Kapelan, dominikanin w niełasce, którego do opustoszałego więzienia wtrącił nieprzyjazny los i nadmierny pociąg do wina, wciąż śpiewając rozważał, czy zmiana na tronie nie przyczyni się do polepszenia jego własnego losu.

Postanowił przez tydzień nie pić, aby zjednać Opatrzność i przygotować się do godnego przyjęcia łaskawej fortuny.

- *Et lux perpetua luceat ei...*[*] - odpowiedział kapitan.

Jednocześnie myślał: „Nic mi nie można zarzucić. Wypełniałem otrzymane rozkazy, to wszystko; ale nie znęcałem się”.

- *Requiem aeternam...* - podjął kapelan.

- To nie dadzą nam nawet pół litra wina? - szepnął żołnierz Gros-Guillaume do sierżanta Lalaine’a.

Obie uwięzione poruszały jedynie wargami; nie śmiały zdobyć się na najkrótszy respons; śpiewałyby zbyt głośno i zbyt radośnie.

Na pewno dnia tego we Francji w kościołach znajdowało się wielu ludzi, którzy opłakiwali króla Filipa lub mniemali, że go opłakują. W rzeczywistości jednak wzruszenie, nawet u nich, było tylko pewną formą rozczulania się nad własnym losem. Ocierali oczy, siąkali, kiwali głowami, bo wraz z Filipem Pięknym odchodziło ich własne życie, wszystkie lata spędzone pod jego berłem, prawie jedna trzecia wieku przypieczętowana imieniem tego monarchy. Rozpamiętywali własną młodość, uświadamiali sobie własną starość i nagle ich jutro wydawało się niepewne. Król, nawet w godzinie zgonu, jest dla osieroconego narodu godłem i symbolem.

Po skończonej mszy Małgorzata Burgundzka, przechodząc obok kapitana, rzekła:

- Panie, życzę sobie mówić z wami o sprawach wielkiej wagi, a dotyczących was osobiście.

Bersumee odczuwał zakłopotanie, ilekroć Małgorzata Burgundzka

---

[*] Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie...

[*] A światłość wiekuista niechaj mu świeci...

zwracała się do niego i patrzyła mu w oczy.

- Przyjdę wysłuchać was, Pani - odpowiedział - natychmiast, jak tylko skończę obchód warty.

Rozkazał sierżantowi Lalaine odprowadzić uwięzione niewiasty i doradził mu szeptem zdwoić zarówno względy, jak i środki ostrożności.

Wieża, w której więziono Małgorzatę i Blankę, składała się tylko z trzech wielkich okrągłych komnat, identycznych i zbudowanych jedna nad drugą. Każda izba zajmowała całe piętro i każda miała komin z okapem i sklepiony sufit. Pokoje te łączyły kręte schody, biegnące w murze ślimacznicą. Oddział straży zajmował stale izbę na parterze, Małgorzata mieszkała w komnacie na pierwszym piętrze, Blanka - na drugim. Nocą grube, zamykane na kłódkę drzwi oddzielały obie księżniczki, w dzień miały one prawo się widywać.

Kiedy sierżant je odprowadził, odczekały, aż u dołu schodów zazgrzytały zawiasy i zasuwy.

Potem spojrzały na siebie i odruchowo podbiegły ku sobie, wołając:

- Umarł, umarł!

Ściskały się, tańczyły, płakały i śmiały się na przemian, niestrudzenie powtarzając:

- Umarł!

Zerwały płócienne czepce, potrząsnęły krótkimi siedmiomiesięcznymi włosami.

- Lustro! Najpierw chcę lustro! - wykrzyknęła Blanka, jakby już za godzinę miała być wolna, a jedyną jej troską był własny wygląd.

Na głowie Małgorzaty niby hełm piętrzyły się drobne, czarne loczki, zwarte i mocno skręcone. Włosy Blanki odrastały nierówno prostymi, jasnymi kosmykami koloru słomy. Obie kobiety instynktownie przesunęły palcami po karkach.

- Czy myślisz, że jeszcze mogę być ładna? - zapytała Blanka.

- Jakże musiałam postarzeć się, jeżeli zadajesz mi takie pytanie! - odparła Małgorzata.

Ileż obie księżniczki musiały znieść od wiosny! Tragedię w Maubuisson, sąd króla! Potworną kaźń swoich kochanków na wielkim placu w Pontoise! Ordynarne wrzaski motłochu, a później pół roku twierdzy, latem zaduch w rozpalonych murach, lodowaty chłód, gdy nadeszła jesień, wiatr, co jęczał bez przerwy pod zrębami murów, czarną gryczaną polewkę podawaną im jako posiłek, koszule szorstkie jak włosiennice, a zmieniane raz na dwa miesiące, nieskończenie długie dni przed otworem wąskim jak strzelnica, przez który - jak by nie ustawić głowy - mogły zobaczyć zaledwie hełm łucznika chodzącego tam i z powrotem po trasie warty... wszystko to nazbyt wstrząsnęło charakterem Małgorzaty, aby - czuła to i wiedziała - nie zmienić jej twarzy.

Zaledwie osiemnastoletniej Blance dziwna lekkomyślność pozwalała prześlizgiwać się w jednej chwili z rozpaczy w nieuzasadnione nadzieje; Blanka nagle przestawała szlochać, bo ptak zaświergotał za murem, i wołała zachwycona: „Małgorzato! Czy słyszysz? Ptaszek!”... Blanka wierzyła w znaki, we wszystkie znaki, i snuła bez przerwy marzenia jak prządki nić z kołowrotka; Blanka, być może, gdyby ją wyprowadzono z tej

ciemnicy, mogłaby odzyskać swoją cerę, spojrzenie i dawną niefrasobliwość - Małgorzata nigdy.

Od pierwszej chwili uwięzienia nie wylała ani jednej łzy, nie wypowiedziała ani jednej myśli świadczącej o wyrzutach sumienia. Kapelan, który ją spowiadał co tydzień, był przerażony tą zatwardziałą duszą. Ani przez chwilę Małgorzata nie chciała uznać się za winną swego nieszczęścia; ani na chwilę nie uznała, że jako wnuczka Ludwika Świętego, córka diuka Burgundii, królowa Nawarry i przyszła królowa Francji zostając kochanką giermka, prowadzi niebezpieczną i godną nagany grę, za którą może zapłacić utratą czci i wolności. Uważała, iż jest niewinna, ponieważ wydano ją za człowieka, którego wcale nie kochała.

Nie poczuwała się do swawoli; nienawidziła swych wrogów i wyłącznie przeciw nim kierowała bezsilny gniew; przeciw swej angielskiej szwagierce, która ją zadenuncjowała, przeciw własnej rodzinie burgundzkiej, która jej nie broniła, przeciw królestwu i jego prawom, przeciw Kościołowi i jego przykazaniom. A marząc o wolności, natychmiast marzyła o zemście.

Blanka objęła ramieniem jej szyję.

- Jestem pewna, moja miła, że nasze nieszczęścia się skończyły.

- Skończą się - odparła Małgorzata - pod warunkiem, że będziemy działać dość zręcznie i szybko.

Miała w głowie mglisty plan, który przyszedł jej na myśl podczas mszy, ale jeszcze nie wiedziała, jak go zrealizuje. W każdym razie chciała wykorzystać sytuację.

- Pozwolisz, że sama będę rozmawiać z tym drabem Bersumee, chociaż wolałabym widzieć jego głowę na ostrzu dzidy niż na jego karku - dorzuciła.

Po chwili młode kobiety usłyszały zgrzyt odsuwanych zasuw u drzwi. Włożyły czepce. Blanka stanęła we wnęce przy wąskim oknie; Małgorzata usiadła na jedynym w komnacie stołku. Wszedł dowódca twierdzy.

- Przychodzę, Pani, zgodnie z waszą prośbą - powiedział.

Małgorzata chwilę odczekała, mierząc go od stóp do głów, po czym rzekła:

- Panie Bersumee, czy wiecie, kogo od dziś więzicie?

Bersumee odwrócił wzrok, jakby szukał czegoś koło siebie.

- Wiem to, Pani, ja to wiem - odpowiedział - i od dzisiejszego ranka ciągle o tym myślę, od kiedy obudził mnie jeździec, który jechał do Criaueboeuf i Rouen.

- Oto już siedem miesięcy jestem więziona i nie mam ani bielizny, ani sprzętów, ani prześcieradeł; jem tę samą polewkę co wasi łucznicy i tylko godzinę w ciągu dnia pali się u mnie w kominie.

- Wykonuję rozkazy pana de Nogaret, Pani - odparł Bersumee.

- Wilhelm de Nogaret nie żyje.

- Przekazał instrukcje króla.

- Król Filip nie żyje.

Odgadując, dokąd zmierza Małgorzata, Bersumee odparł:

- Ale Dostojny Pan de Marigny jeszcze wciąż żyje, Pani, i on stoi na czele sądów i więzień, tak jak rządzi wszystkimi sprawami królestwa, ja

zaś zależę od niego we wszystkim.

- Czy jeździec dziś rano nie przywiózł wam nowych rozkazów?

- Nie, Pani.

- Niebawem je otrzymacie.

- Czekam na nie, Pani.

Robert Bersumee wyglądał na więcej niż na swoje trzydzieści pięć lat. Miał zatroskaną, zrzędliwą minę, jaką chętnie przybierają zawodowi żołnierze, a która siłą nawyku staje się ich zwykłym wyrazem twarzy. Na co dzień na terenie twierdzy nosił czapkę z wilczej skóry i starą bluzę z żelaznych kółek, trochę za luźną, poczerniałą od tłuszczu i zwisającą wokół pasa. Brwi zbiegały mu się u nasady nosa. Na początku niewoli Małgorzata ofiarowywała mu się prawie bez wybiegów, w nadziei, że pozyska sojusznika. On zaś uchylał się od wszelkich awansów nie tyle z cnotliwości, ile ze względu na ostrożność. Miał jednak urazę do Małgorzaty z powodu przykrej roli, jaką mu przyszło odgrywać. Dziś rozważał, czy tym roztropnym zachowaniem się zasłużył osobiście na łaskę czy na naganę.

- Wcale mi nie było przyjemnie, Pani - odparł - stosować taki regulamin wobec kobiet... i to tak wysokiego rodu jak wy.

- Wyobrażam to sobie, panie, wyobrażam - odpowiedziała Małgorzata - bo przeczuwam w was rycerza, a takie traktowanie, jakie wam nakazano, musiało w was wzbudzić odrazę.

Dowódca twierdzy pochodził z gminu, usłyszał więc z przyjemnością słowo: rycerz.

- Tylko, panie - mówiła dalej uwięziona - tylko męczy mnie to żucie drewna, żeby zachować białe zęby, i smarowanie rąk słoniną z zupy, żeby skóra nie popękała od chłodu.

- Rozumiem Panią, rozumiem.

- Będę wam wdzięczna, jeżeli od dziś będziecie mnie chronić od mrozu, robactwa i głodu.

Bersumee zwiesił głowę.

- Nie mam rozkazu, Pani.

- Przebywam tu tylko na skutek nienawiści, jaką żywił do mnie król Filip, a jego śmierć wszystko niebawem zmieni - podjęła z ogromną pewnością siebie Małgorzata. - Czyż macie czekać, aż rozkażą wam otworzyć przede mną bramy, aby okazać nieco względów królowej Francji? Czy nie myślicie, że postępujecie nader nierozsądnie i wbrew własnym interesom?

Wojskowi często grzeszą wrodzonym brakiem własnej decyzji i to skłania ich do posłuszeństwa, ale jest również powodem wielu przegranych bitew. Choć Bersumee łatwo przeklinał podwładnych i miał chybką do razów rękę, nie odznaczał się inicjatywą w nieprzewidzianych sytuacjach.

Pomiędzy urazą kobiety, która twierdziła, że jutro będzie wszechwładna, a gniewem Dostojnego Pana de Marigny, który był wszechwładny dziś, na jakie ryzyko miał się narażać?

- Chciałabym również - mówiła Małgorzata - abyśmy obie z Panią Blanką mogły wyjść na jedną lub dwie godziny poza obręb tych murów pod waszą opieką, o ile to uważacie za wskazane, i zobaczyć coś więcej niż

blanki na murach i włócznie waszych łuczników.

Pospieszyła się i posunęła za daleko. Bersumee zwietrzył podstęp. Będące pod jego nadzorem niewiasty starają się nawiązać kontakty na zewnątrz twierdzy, a może nawet przemknąć mu się między palcami. Toż to znaczy, że wcale nie są tak pewne swego powrotu na dwór.

- Ponieważ jesteście królową, Pani, pojmiecie, że muszę być wierny królewskiej służbie - powiedział - i nie mogę naruszać wydanych instrukcji.

Po czym wyszedł, by uniknąć dalszej dyskusji.

- To pies - wykrzyknęła Małgorzata - zwykły brytan, który umie tylko szczekać i kąsać!

Zrobiła fałszywy krok, a teraz wściekała się, biegając po okrągłej komnacie.

Bersumee ze swej strony też nie był zadowolony. „Trzeba wszystkiego oczekiwać, jak się jest strażnikiem królowej” - mówił sobie. Zaś dla zawodowego żołnierza oczekiwać wszystkiego, znaczy przede wszystkim oczekiwać inspekcji.

II

Dostojny Pan Robert d'Artois

Topniejący śnieg kapał z dachów. Wszędzie zamiatano, wszędzie sprzątano. W pomieszczeniu straży chlustała woda wylewana z wiader obfitymi strugami na kamienne płyty. Smarowano tłuszczem łańcuchy zwodzonego mostu. Wyciągano piece do gotowania grochu, jakby lada chwila cytadela miała zostać zaatakowana. Od czasów Ryszarda Lwie Serce zamek Gaillard nie zaznał podobnego rozgardiaszu.

Bersumee, obawiając się nagłej inspekcji, postanowił wysztafirować garnizon jak na paradę. Przebiegał koszary z kułakami na biodrach i rozwartą gębą, wrzał gniewem na widok obierzyn, które zaśmiecały kuchnię, wściekłym ruchem podbródka wskazywał na pajęczyny zwisające z pułapu, kazał prezentować rynsztunek. Jakiś łucznik zgubił kołczan. Gdzie u licha ten kołczan? A czemu kółka u brzegu kolczugi zardzewiały? Dalej, nabrać pełne garście piachu i szorować, ma błyszczeć!

- Jak pan de Pareilles spadnie nam na kark - wrzeszczał Bersumee - nie pokażę mu bandy żebraków! Ruszać się!

I biada temu, kto nie biegł szybko! Żołnierz Gros-Guillaume, ten, co to spodziewał się dodatkowej racji wina, zarobił kopniaka w łydkę. Sierżant Lalaine był bez tchu.

Ludzie, depcząc po błotnistym śniegu, wnosili do budynku tyleż brudu, ile uprzątnęli. Drzwi trzaskały. Zamek Gaillard przypominał dom podczas przeprowadzki. Gdyby księżniczki chciały uciec, to była wymarzona chwila.

Wieczorem Bersumee ochrypł, a łucznicy przysypiali na blankach.

Lecz kiedy po dwóch dniach, o świcie, czujki wypatrzyły w białym krajobrazie posuwającą się wzdłuż Sekwany, na drodze z Paryża, grupkę jeźdźców z chorągwią na czele, dowódca twierdzy pogratulował sobie wydanych rozkazów.

Szybko wdział najlepszą kolczugę, do butów przywiązał ostrogi długie na trzy cale, włożył hełm żelazny i wyszedł na podwórze. Miał jeszcze kilka chwil, aby obejrzeć z niespokojnym zadowoleniem garnizon w szeregu, z bronią lśniącą w mlecznym, zimowym świetle.

„Przynajmniej nikt nie będzie mógł mi zarzucić braku porządku - pomyślał. - A to pomoże mi uskarżać się na nędzny żołd i zwłokę w wypłacie pieniędzy na żywność dla moich ludzi".

Już trąbki grały u stóp wzgórza, już kopyta końskie uderzały w kredową glebę.

- Kraty! Most!

Łańcuchy zwodzonego mostu zadrżały w łożyskach, a w minutę później piętnastu giermków w królewskich barwach - otaczając wielkiego, czerwonego jeźdźca tak zrośniętego z wierzchowcem, jakby był własnym

posągiem na koniu - przemknęło wichurą pod sklepieniem kordegardy i stanęło za drugim murem zamku Gaillard.

„Czy to nowy król? - pomyślał nagle Bersumee. - O Panie! Czy to już król przybywa po żonę?".

Wzruszenie zaparło mu dech. Minęła dłuższa chwila, nim wyraźnie dojrzał zsiadającego z konia mężczyznę w płaszczu koloru byczej krwi; kolos w suknach, futrze, skórze i srebrze torował sobie drogę między giermkami. Kłęby pary dymiły z koni.

- Służba króla! - rzekł ogromny jeździec, wywijając Bersumeemu przed nosem pergaminem z wiszącą pieczęcią i nie dając mu nawet czasu przeczytać. - Jestem hrabia Robert d'Artois.

Powitanie było krótkie. Dostojny Pan Robert d'Artois ugiął Bersumeego, kładąc mu dłoń na ramieniu, aby zaznaczyć, że wcale nie jest wyniosły. Później zażądał grzanego wina dla siebie i całej swojej świty takim głosem, że wartownicy odwrócili się na trasie rontu.

Od wczoraj Bersumee gotował się, aby olśnić, okazać się znakomitym dowódcą wzorowej twierdzy i tak postępować, żeby go każdy pamiętał. Miał nawet przygotowaną mowę; na zawsze utkwiła mu ona w gardle. Wybełkotał nędzne pochlebstwa i został zaproszony na wino, które kazano mu podać, i wepchnięty do czterech izb własnego mieszkania, które raptem jakby się skurczyły. Dotychczas Bersumee uważał się za mężczyznę słusznego wzrostu, przy tym gościu czuł się karłem.

- Jak się miewają uwięzione? - spytał Robert d'Artois.

- Bardzo dobrze, Dostojny Panie, czują się znakomicie, dziękuję wam - odpowiedział Bersumee głupio, jakby pytano go o własną rodzinę.

I zakrztusił się winem.

Ale Robert d'Artois już wychodził wielkimi krokami, a w chwilę potem Bersumee wdrapywał się za nim po schodach wieży, gdzie mieszkały uwięzione.

Na dany znak sierżant Lalaine trzęsącymi się palcami odsunął zasuwy.

Pośrodku okrągłej komnaty Małgorzata i Blanka czekały. Tym samym instynktownym ruchem zbliżyły się do siebie i ujęły za ręce.

- Wy, mój kuzynie! - zawołała Małgorzata. D'Artois zatrzymał się w drzwiach, które dosłownie zatkał. Zmrużył oczy. Ponieważ nie odpowiedział, zapatrzony w obie kobiety, Małgorzata opanowanym szybko głosem mówiła:

- Patrzcie na nas, tak, dobrze nas obejrzyjcie, a zobaczycie nędzę, na jaką nas skazano. Ten widok zatrze obraz dworu i wspomnienie, jakie o nas zachowaliście. Bez bielizny. Bez szat. Bez pożywienia. I bez krzesła, które należy podać tak możnemu jak wy panu!

„Czy one wiedzą? - rozważał d'Artois, zbliżając się powoli. - Czy wiedzą, jaki udział brałem w ich zgubie i że to właśnie ja zastawiłem sidła, w które wpadły?".

- Robercie, czy przywozicie nam wolność? - zawołała Blanka Burgundzka.

Podeszła do olbrzyma z wyciągniętymi rękami, a w oczach jej błyszczała nadzieja.

„Nie, one nic nie wiedzą - pomyślał d'Artois - i to mi ułatwi moją

misję”.

Zrobił w tył zwrot.

- Bersumee - rzekł - czy tu się nie pali?

- Nie, Dostojny Panie...

- Rozpalić! I nie ma sprzętów?

- Nie, Dostojny Panie, rozkazy, jakie otrzymałem...

- Sprzęty! Zabrać ten barłóg! Wstawić łoże, krzesła, przynieść narzuty, pochodnie. Nie mów, że nic nie masz. To, co potrzebne, widziałem w twoim mieszkaniu.

Ujął kapitana pod rękę.

- I coś do jedzenia - rzekła Małgorzata. - Powiedzcie naszemu zacnemu strażnikowi, który każe podawać nam jadło, które nawet wieprze zostawiłyby w korycie, żeby wreszcie wydał nam posiłek.

- I coś do jedzenia, oczywiście, Pani! - rzekł d’Artois. - Pasztety i pieczyste! Świeże jarzyny. Dobre gruszki zimowe i konfitury. I wino, Bersumee, bardzo dużo wina!

- Ależ, Dostojny Panie... - jęknął kapitan.

- Zrozumiałeś, dzięki ci! - rzekł d’Artois, wypychając go na schody.

Trzasnął butem w drzwi.

- Moje zacne kuzynki - podjął - rzeczywiście, oczekiwałem najgorszego. Ale widzę z ulgą, że ten przykry pobyt nie przyniósł uszczerbku dwóm najpiękniejszym we Francji buziakom.

- Jeszcze się myjemy - rzekła Małgorzata. - Wody mamy pod dostatkiem.

D’Artois usiadł na stołku i wciąż obserwował uwięzione księżniczki.

„Mam was, ptaszki - podśpiewywał w duchu - oto co znaczy starać się wykroić szaty królewskie z dziedzictwa Roberta d’Artois!”.

Usiłował odgadnąć, czy ciała młodych kobiet zachowały dawne piękne okrągłości. Przypominał wielkiego kota gotującego się do igraszek z myszkami w klatce.

- Małgorzato - zapytał - jak wyglądają wasze włosy? Czy już odrosły?

Małgorzata Burgundzka podskoczyła jakby ukłuta.

- Wstać, Dostojny Panie d’Artois! - zawołała rozgniewana. - Nawet skazana na nędzę, w jakiej mnie widzicie, nie zniosę, żeby mężczyzna siedział w mojej obecności, kiedy ja stoję!

Powstał powoli, zdjął kaptur i skłonił się, zataczając ręką szeroki, ironiczny gest. Małgorzata odwróciła się ku oknu; w ostrzu spływającego światła Robert mógł wyraźniej zobaczyć twarz swojej ofiary. Rysy zachowały urodę, ale zniknęła z nich dawna słodycz. Nos wychudł, oczy zapadły się. Dołeczki, które ubiegłej wiosny żłobiły złociste policzki, stały się cieniutkimi zmarszczkami. „Więc - pomyślał d’Artois - zachowała jeszcze pazury. Gra będzie tym zabawniejsza”. Lubił walczyć, aby zatriumfować.

- Moja kuzynko - rzekł z udaną jowialnością - nie zamierzałem was obrazić; pomyliliście się. Chciałem się tylko dowiedzieć, czy wasze włosy na tyle odrosły, żeby pokazać się ludziom.

Małgorzata nie zdołała powstrzymać odruchu radości.

„...Pokazać się ludziom... To znaczy, że wyjdę... Czy jestem

ułaskawiona? Czy przywozi mi koronę? Nie, to wcale nie to, zawiadomiłby mnie natychmiast...”.

Myślała zbyt szybko i uczuła, że robi się jej słabo.

- Robercie - powiedziała - nie każcie mi już cierpieć. Nie bądźcie okrutnikiem. Co macie mi powiedzieć?

- Moja kuzynko, przybyłem wam przekazać...

Blanka krzyknęła i Robert pomyślał, że padnie zemdlona. Zawiesił zdanie.

- ... wiadomość - dokończył.

Z przyjemnością patrzył, jak chylą się ramiona obu kobiet, i usłyszał dwa westchnienia pełne rozczarowania.

- Wiadomość od kogo? - spytała Małgorzata.

- Od Ludwika, waszego małżonka, teraz naszego króla. I od naszego zacnego kuzyna, Dostojnego Pana de Valois. Ale mogę rozmawiać tylko sam na sam z wami. Czy Blanka zechce odejść?

- Oczywiście - powiedziała pokornie Blanka - wyjdę. Ale przedtem, kuzynie, powiedzcie... jak Karol, mój mąż?

- Śmierć ojca boleśnie go zraniła.

- A o mnie... Co on myśli? Czy mówi o mnie?

- Myślę, że was żałuje, mimo tego co przez was wycierpiał. Od czasu Pontoise już nigdy nie był tak wesoły jak dawniej.

Blanka rozpłynęła się we łzach.

- Czy myślicie - zapytała - że mi przebaczy?

- Wiele zależy od waszej kuzynki - odparł, wskazując Małgorzatę.

Podszedł do drzwi, otworzył je, śledził wzrokiem Blankę, gdy wstępowała po schodach na drugie piętro, zamknął drzwi. Później usiadł na kamieniu przymurowanym z boku do kominka, mówiąc:

- Czy teraz pozwolicie, kuzynko?... Przede wszystkim muszę wam wyjaśnić, jak przedstawiają się obecnie sprawy na dworze.

Lodowaty prąd powietrza, który dął spod okapu, kazał mu powstać.

- Rzeczywiście mróz tutaj - powiedział.

Zajął miejsce na stołku, podczas gdy Małgorzata sadowiła się, podkurczając nogi, na pokrytym słomą barłogu, który służył jej za posłanie. D’Artois podjął:

- Już w tych ostatnich dniach, kiedy konał król Filip, wasz małżonek Ludwik był jak nieprzytomny. Obudzić się królem, gdy zasnęło się księciem, do tego trzeba się po trochu przyzwyczajać. Tron Nawarry zajmował tylko nominalnie, wszystkim tam rządzono bez niego. Powiecie, że Ludwik ma dwadzieścia pięć lat, a w tym wieku można rządzić; ale wiadomo wam jak i mnie, że rozum, nie obrażając go, nie jest jego największą zaletą. Więc w pierwszym okresie wspiera go we wszystkim stryj, Karol de Valois, i rządzi z Enguerrandem de Marigny. Kłopot w tym, że ci dwaj prawdziwi mężowie stanu niezbyt lubią się nawzajem i nie dosłyszą, co jeden mówi drugiemu. Wkrótce chyba zupełnie nie będą mogli porozumieć się, co nie potrwa długo, bo wozu królestwa nie mogą ciągnąć dwa konie, które gryzą się przy dyszlu.

D’Artois zmienił zupełnie ton. Mówił rzeczowo, dobitnie, okazując tym, że poprzednie jego hałaśliwe zachowanie się było w dużej mierze komedią.

- Co do mnie - podjął - wiecie, że niezbyt lubię Enguerranda, który wielce mi szkodził, i z całego serca popieram kuzyna Valois, mego przyjaciela i sojusznika we wszystkich sprawach.

Małgorzata starała się uchwycić wątek tych intryg, w które nagle pogrążył ją d'Artois. Nie orientowała się w niczym i miała wrażenie, że myśl jej budzi się z głębokiego snu.

- Czy Ludwik wciąż mnie nienawidzi?

- Ach, tak, nie kryję tego przed wami, nienawidzi was bardzo! Zgodzicie się, że jest za co. Para rogów, którymi ozdobiliście jego głowę, dostatecznie przeszkadza mu włożyć koronę Francji. Zważcie, kuzynko, gdyby to się mnie trafiło, nie rozgadałbym tego po całym królestwie. Postąpiłbym tak, aby móc udawać, że mój honor ocalał. Ale ostatecznie małżonek wasz i zmarły wasz teść uważali inaczej i sprawy tak stoją, jak stoją.

Ze wspaniałym tupetem ubolewał nad skandalem, który sam na wszelki sposób starał się rozdmuchać.

- Pierwszą myślą Ludwika - ciągnął dalej - gdy ostygło ciało jego ojca, i jedyną, jaką ma na razie w głowie, to wybrnąć z kłopotu, w jakim znalazł się z waszej winy, i zmazać wstyd, którym wyście go okryli.

- Czego chce Ludwik? - zapytała Małgorzata. D'Artois podniósł potężną nogę i uderzył obcasem dwa czy trzy razy w kamienną płytę.

- Chce zażądać unieważnienia waszego małżeństwa - odpowiedział - i, widzicie, spieszy mu się bardzo, ponieważ nie zwlekał z wysłaniem mnie do was.

„Tak więc nigdy nie będę królową Francji" - pomyślała Małgorzata. Nieuzasadnione sny, które roiła od wczoraj, już rozpadły się w nicość. Jeden dzień marzeń za siedem miesięcy więzienia... i za całe życie. W tym momencie weszli dwaj żołnierze, obładowani drzewem oraz chrustem, i rozpalili ogień.

Gdy tylko wyszli, Małgorzata chciwie wyciągnęła ręce do płomieni koloru pelargonii wznoszących się pod wielkim kamiennym okapem. Przez kilka chwil milczała, sycąc się dobroczynnym ciepłem, jakie ją przenikało.

- No cóż - powiedziała wreszcie z westchnieniem - niech żąda unieważnienia; cóż mogę na to poradzić?

- Ech! Kuzynko, otóż właśnie wy możecie dużo zdziałać, a on gotów jest odwdzięczyć się wam za te kilka słów, które was nie będą nic kosztować. Okazuje się, że zdrada nie jest wcale powodem do unieważnienia małżeństwa. To absurd, ale tak jest. Moglibyście mieć stu gachów, a nie jednego, a nawet tarzać się w zamtuzie, a wciąż bylibyście żoną mężczyzny, z którym połączono was przed Bogiem. Zapytajcie kapelana, czy kogo wam się podoba. Ja sam kazałem sobie wytłumaczyć te sprawy, bo nie znam się na prawie kanonicznym. Małżeństwa nie zrywa się, a jeśli chce się je unieważnić, trzeba dowieść, że była jakaś przeszkoda do jego zawarcia albo też że nie zostało skonsumowane. Czy rozumiecie, co mówię?

- Tak, tak, rozumiem was - rzekła Małgorzata.

- Otóż więc - podjął olbrzym - co wymyślił Dostojny Pan de Valois, żeby wybawić Ludwika z kłopotu.

Zaczekał, odchrząknął.

- Wy zgodzicie się wyznać, że wasza Joanna nie jest wcale córką Ludwika. Wyznacie, że zawsze odmawialiście swego ciała mężowi i dlatego nie było prawdziwego małżeństwa. To wszystko oświadczycie z głupia frant przede mną i przed waszym kapelanem, który to poświadczy podpisem. Znajdzie się bez trudu między waszymi dawnymi sługami i domownikami kilku powolnych świadków, którzy to potwierdzą. Wtedy więzów małżeńskich nie będzie można bronić, a unieważnienie nastąpi samo przez się.

- A co dostanę w zamian?

- W zamian? - powtórzył d'Artois. - W zamian, moja kuzynko, proponuje się zawieść was do jakiegoś klasztoru w księstwie Burgundii do czasu ogłoszenia unieważnienia, a potem będziecie żyć, jak spodoba się wam czy waszej rodzinie.

Idąc za pierwszym odruchem, Małgorzata już miała odpowiedzieć: „Zgoda, oświadczam i podpisuję, co chcecie, pod warunkiem, że wyjdę stąd". Ale zobaczyła, że d'Artois śledzi ją spod wpółprzymkniętych powiek, a jego szare oczy mają twardy wyraz niezbyt harmonizujący z dobrodusznym tonem, jaki usiłował przybrać.

„Podpiszę - pomyślała - a potem będą mnie dalej trzymać w ciemnicy". Ponieważ zaproponowano jej targ, była potrzebna.

- Oznacza to, że chcecie mnie zmusić do grubego kłamstwa - powiedziała.

D'Artois wybuchnął śmiechem.

- Ho, ho, moja kuzynko! Powiedzieliście już kilka, jak mi się zdaje, i to bez większych skrupułów.

- Może się zmieniłam i wzbudziłam w sobie skruchę. Muszę się namyślić, zanim coś postanowię.

Robert d'Artois zrobił dziwny grymas, skręcając wargi z prawa na lewo.

- Zgoda - powiedział - ale rozważajcie szybko. Ja muszę być w Paryżu pojutrze rano na uroczystej mszy żałobnej za króla Filipa w Notre Dame. Dwadzieścia trzy mile nurzania się w błocie. Po drogach, gdzie człowiek brodzi w łajnie na dwa cale, kiedy dzień kończy się wcześnie i wstaje późno. Nie mogę tracić czasu na zbyt długie namysły. Idę przespać się godzinę i wrócę, aby zjeść z wami posiłek. Nikt nie powie, droga kuzynko, że pozostawiłem was w samotności pierwszego dnia, gdy macie uczciwe jadło. Postanowicie jak należy, jestem tego pewien.

Wyszedł szybko i omal nie przewrócił łucznika Gros-Guillaume'a, który wchodził po schodach pocąc się, zgięty pod ogromną skrzynią. Inne sprzęty piętrzyły się u dołu stopni.

D'Artois wpadł do opustoszałego mieszkania dowódcy warowni i rzucił się na jedyne posłanie, jakie tam pozostało.

- Bersumee, przyjacielu, niech obiad będzie gotów za godzinę - powiedział. - I zawołaj mego pachołka, Lormeta, powinien on kręcić się między giermkami, niech przyjdzie czuwać nad moim snem.

Kolos ten nie bał się bowiem niczego oprócz zaskoczenia przez wroga, gdy spał bezbronny... A od wszystkich pachołków i giermków - jako strażnika - wolał tego sługę krępego, pleczystego, siwiejącego, który

towarzyszył mu i służył wszędzie tak samo sprawny w dostarczaniu dziwek, jak i w zasztyletowaniu milczkiem natręta, jeżeli sprawa w karczmie przybrała zły obrót. Był przy tym przebiegły, ale znakomicie udawał gamonia i tym był niebezpieczniejszy, że wyglądał niepozornie. Lormet był szpiegiem niezrównanym. Pytany, co go tak silnie wiąże z Dostojnym Panem Robertem, poczciwiec z uśmiechem, który przecinał pucołowate policzki i ukazywał brak trzech zębów, odpowiadał:

- Bo z każdego z jego starych płaszczy mogę sobie wykroić dwa.

Gdy tylko Lormet wszedł, Robert zamknął oczy i w tejże chwili zasnął, rozrzuciwszy ręce i nogi. Potężny oddech wilkołaka poruszał jego brzuchem. Lormet usiadł na stołku, puginał położył w poprzek kolan i jął czuwać nad snem olbrzyma.

Po godzinie Robert d'Artois sam się obudził, przeciągnął się jak gruby tygrys i wyprostował, wypoczęty na ciele i świeży na umyśle.

- A teraz twoja kolej przespać się, mój poczciwy Lormet - powiedział - ale przedtem idź po kapelana.

III

Ostatnia szansa, by zostać królową

Dominikanin zesłany do twierdzy przybył natychmiast, podniecony, że tak wysoki baron wzywa go na poufną rozmowę.

- Mój bracie - rzekł do niego d'Artois - znasz dobrze Panią Małgorzatę, ponieważ ją spowiadasz. Jaka jest jej słaba strona?

- Ciało, Dostojny Panie - odparł kapelan, spuszczając skromnie oczy.

- Też mi wielka nowina! Ale co jeszcze?... Czy są w niej jakieś uczucia, na które można by wpłynąć, żeby pojęła pewne sprawy leżące tak w jej własnym, jak i w interesie królestwa?

- Nie widzę, Dostojny Panie. Nie widzę w niej nic, co mogłoby ją ugiąć... oprócz tego, co już powiedziałem. Ta księżniczka ma duszę hartowną jak miecz i nawet więzienie nie stępiło jej ostrza. Ach! Niełatwa to penitentka, wierzajcie mi!

Wsunąwszy ręce w rękawy, pochyliwszy głowę, starał się okazać pobożny a obrotny. Ostatnio nie strzygł się i ponad wieńcem włosów czaszkę miał porosłą płowym, rzadkim puchem. Jego biały habit był gęsto upstrzony niedopranymi plamami z wina.

D'Artois przez chwilę milczał, pocierając policzek, bo tonsura kapelana przypominała mu własny odrastający zarost.

- A wracając do sprawy, o której mówiliście - podjął - co też ona wynalazła tu, żeby zadowolić... tę słabostkę, ponieważ tak nazywacie ten rodzaj siły?

- Jak mi wiadomo nic, Dostojny Panie.

- Bersumee? Czy nie składa jej przydługich wizyt?

- Nigdy, Dostojny Panie, ja ręczę za niego - wykrzyknął kapelan.

- A z wami?

- Och! Dostojny Panie!

- Spokojnie, spokojnie - rzekł d'Artois. - Takie rzeczy bywały, znamy niejednego z waszej braci, który zrzuciwszy habit czuje się mężczyzną jak każdy inny. Co do mnie, nie widzę w tym żadnej obrazy, a nawet, powiem szczerze, widziałbym raczej rzecz godną pochwały... A ze swoją kuzynką? Czy obie damy nie pocieszają się cokolwiek nawzajem?

- Dostojny Panie! - powiedział kapelan, coraz bardziej udając pobożny przestrach. - Tajemnicy spowiedzi ode mnie żądacie!

D'Artois wymierzył mu przyjacielskiego kuksańca.

- Cicho, cicho, mości kapelanie, nie żartujcie. Jeżeli kazano wam obsługiwać więzienie, to nie po to, by zachowywać tajemnice, ale powierzać je... komu należy.

- Ani Pani Małgorzata, ani Pani Blanka nie obwiniały się nigdy przede mną, że zgrzeszyły czymś podobnym. Chyba we śnie - powiedział kapelan, spuszczając oczy.

- Co nie dowodzi, że są niewinne... ale ostrożne. Czy umiecie pisać?

- Oczywiście, Dostojny Panie.

- Ho! Ho! - rzekł ze zdziwioną miną d'Artois. - Więc mnisi nie są tak wierutnymi nieukami, jak się to mówi!... Zatem, mój braciszku, weźmiecie pergamin, pióro i wszystkie tam potrzebne ingrediencje, żeby naskrobać list, i będziecie czekać na dole przy wieży księżniczek, gotowi wdrapać się, jak tylko was zawezwę.

Kapelan pokłonił się. Chciał coś dorzucić, ale d'Artois, owinąwszy się w szeroki, szkarłatny płaszcz, już wychodził. Kapelan pobiegł za nim.

- Dostojny Panie - mówił głosem pełnym namaszczenia - czy będziecie tak łaskawi, jeśli was nie obrażam, zwracając się z podobną prośbą, czy okażecie tak niezmierną łaskę...

- Co znowu? Jaką łaskę?

- A więc, Dostojny Panie, żeby powiedzieć bratu Renaud, wielkiemu inkwizytorowi, gdybyście go przypadkiem spotkali, że zawsze jestem jego wielce posłusznym synem, a także żeby nie zapomniał o mnie w tej twierdzy, gdzie służę jak mogę najlepiej, bo Bóg mnie tu posłał; ale mam pewne zalety, Dostojny Panie, jak sami mogliście zauważyć, i pragnąłbym, aby je inaczej wykorzystano.

- Pomyślę o tym, powiem mu - odparł d'Artois, z góry wiedząc, że nic nie zrobi.

W komnacie Małgorzaty obie księżniczki kończyły się ubierać. Długo myły się przed ogniem, przedłużając świeżo odzyskaną przyjemność. Krótkie ich włosy jeszcze perliły się kroplami i właśnie przywdziewały długie, białe koszule, sztywne od krochmalu, za szerokie i ściągnięte przy szyi tasiemką. Kiedy drzwi się otwarły, obie kobiety cofnęły się jednakim wstydliwym ruchem.

- Och, moje kuzynki - powiedział Robert - nie kłopoczcie się. Zostańcie tak. Jesteśmy w rodzinie. A zresztą te koszule kryją was lepiej niż stroje, w których paradowałyście dawniej. Zupełnie przypominacie małe zakonniczki. Ale już lepiej wyglądacie niż przed godziną i kolorki zaczynają wam powracać. Przyznajcie, że los wasz natychmiast zmienił się, odkąd przybyłem.

- Och tak, dzięki, kuzynie! - zawołała Blanka.

Izba zmieniła wygląd. Wstawiono łóżko, dwie skrzynie, które służyły za ławy, krzesło z oparciem, stół na krzyżakach, a na nim ustawiono miseczki, kubki i wino od Bersumeego. Paliła się świeca, bo chociaż sygnaturka w kaplicy nie wydzwoniła jeszcze południa, światło nie przedzierało się przez śnieżną zadymkę i nie oświetlało już wnętrza wieży. W kominie płonęły ciężkie kłody, a wilgoć z sykiem wymykała się z polan, tworząc małe banieczki.

Natychmiast za Robertem weszli sierżant Lalaine, łucznik Gros-Guillaume i jeszcze jakiś żołnierz, wnosząc gęstą polewkę, wielki chleb pytlowy, okrągły jak żółw, pasztet pięciofuntowy w złotawej skórce, upieczonego zająca, ćwiartki smażonej gęsi i kilka gruszek bergamotek, które Bersumee wyszperał w Andelys, grożąc, że zrówna z ziemią miasteczko.

- Co? - wykrzyknął d'Artois. - Tylko to nam przynosicie, kiedy ja

zażądałem uczciwego jadła?

- To cud, Dostojny Panie, że i to udało się wynaleźć w ten czas głodu - odparł sierżant Lalaine.

- Czas głodu dla łajdaków, być może, dla hultajów, którzy chcieliby, żeby ziemia sama rodziła, nie przyłożywszy do niej palca, ale nie dla uczciwych ludzi. Nigdy nie miałem tak nędznego posiłku od czasu, kiedy ssałem pierś.

Uwięzione sarnim wzrokiem patrzyły na rozłożone na stole specjały, wobec których d'Artois udawał pogardę. Blance łzy zawisły na rzęsach. A trzej żołnierze z łapczywym zachwytem wpatrywali się w stół.

Gros-Guillaume, otyły wyłącznie od żytniej polewki, ostrożnie zbliżył się, żeby pokroić chleb, bo zazwyczaj usługiwał kapitanowi przy obiedzie.

- Nie! - wrzasnął d'Artois. - Precz z brudnymi łapami od mego chleba! Sami pokroimy. Zmykać, zanim się rozsierdzę!

Kiedy łucznicy znikli, dorzucił, chcąc okazać się krotochwilnym:

- Jazda! Będę przyzwyczajać się do życia w więzieniu, kto wie?...

Poprosił Małgorzatę, by usiadła na krześle z oparciem.

- Blanka i ja usadowimy się na tej ławie - rzekł. Nalał wina i podnosząc swój kubek, zwrócony ku Małgorzacie dorzucił:

- Niech żyje królowa!

- Nie kpijcie ze mnie, kuzynie - rzekła Małgorzata Burgundzka - mówicie bez miłosierdzia.

- Wcale nie kpię. Pojmijcie moje słowa i to, co oznaczają. Jesteście faktycznie królową, dziś jeszcze... i życzę wam po prostu życia.

Potem zapadła cisza, bo zabrali się do obiadu. Każdy prócz Roberta wzruszyłby się, widząc, jak obie kobiety niby nędzarki rzucają się na potrawy. Nawet nie starały się udawać wstrzemięźliwości, chłeptały polewkę i kąsały pasztet, prawie nie odsapnąwszy.

D'Artois nasadził zająca na ostrze puginału i trzymał nad ogniskiem w kominie, żeby go podgrzać. W dalszym ciągu obserwował swoje kuzynki, a obleśny śmiech rósł mu w gardle. „Postawiłbym miski na ziemi, a padłyby na czworaki, żeby je wylizać".

Piły wino kapitana, jakby chciały za jednym zamachem wynagrodzić sobie siedem miesięcy wody studziennej; krew napływała im do policzków. „Rozchorują się - myślał d'Artois - i zakończą ten dzień, wyrzygując własne flaki".

Sam jadł za pluton. Jego słynny, dziedziczny apetyt nie był mitem, każdy z jego kęsów należałoby poćwiartować, chcąc włożyć w zwykłe gardło. Pożerał smażoną gęś, jak zazwyczaj chrupie się kwiczoły, miażdżąc kości. Skromnie przeprosił, że nie zajada w ten sam sposób zajęczego kośćca.

- Zajęcze kości - wyjaśnił - łamią się w skośne skałki i dziurawią jelita.

Kiedy wreszcie najedli się do syta, d'Artois dał znak Blance, aby wyszła. Wstała bez protestu, choć nogi uginały się pod nią. W głowie jej się kręciło i widać było, że bardzo potrzebuje łóżka. Wówczas Robert, wyjątkowo, pomyślał miłosiernie: „Zdechnie, jak tak wyjdzie na chłód".

- Czy u was także napalili? - zapytał.

- Tak, dziękuję, kuzynie - odrzekła Blanka. - Dzięki wam nasze życie

naprawdę się zmieniło. Ach! jak ja was lubię, mój kuzynie... naprawdę bardzo was lubię... Powiecie Karolowi, prawda... powiecie mu, że go kocham... niech mi wybaczy, bo go kocham.

W owej chwili kochała wszystkich. Była niezgorzej pijana i omal nie padła jak długa na schodach. „Gdybym tu szukał tylko zabawy - pomyślał d'Artois - ta nie stawiałaby oporu. Dajcie pod dostatkiem wina księżniczce, a będzie wkrótce zachowywać się jak gamratka. Ale zdaje się, że i tamta też już gotowa".

Podłożył grube polano do ognia, napełnił kubek Małgorzaty i swój.

- Więc, moja kuzynko, rozważyliście rzecz? - zapytał.

Małgorzata wydawała się rozmarzona tak ciepłem jak i winem.

- Rozważyłam, Robercie, rozważyłam. I jestem pewna, że odmówię - odrzekła, przysuwając krzesło do ognia.

- Ależ, kuzynko, nie mówicie rozsądnie! - zawołał Robert.

- Ależ tak, ależ tak. Jestem pewna, że odmówię - powtórzyła łagodnie.

Olbrzym poruszył się niecierpliwie.

- Małgorzato, wysłuchajcie mnie. Wszystko przemawia za tym, żebyście się teraz zgodzili. Ludwik z natury jest niecierpliwy, gotów odstąpić nie wiedzieć co, byle natychmiast uzyskać to, czego pragnie. Nigdy już nie wyciągniecie tak wielkich korzyści. Zgódźcie się oświadczyć, czego od was żądają. Nie trzeba waszej sprawy przedkładać Stolicy Apostolskiej, może ją osądzić sąd biskupi w Paryżu. Nie miną trzy miesiące, a odzyskacie całkowitą wolność osobistą.

- A jeżeli nie?...

Pochyliła się trochę do ognia, dłonie wyciągnęła ku płomieniom i kiwała głową. Sznureczek ściągający przy szyi jej koszulę rozwiązał się i pokazywała kuzynowi głęboko obnażony dekolt.

„Samka zachowała piękne piersi - pomyślał d'Artois - i zdaje się, nie skąpi ich widoku".

- A jeżeli nie? - powtórzyła.

- Jeżeli nie, to i tak wyrok unieważniający zostanie wydany, moja miła, bo zawsze znajdzie się powód, żeby unieważnić małżeństwo króla. Skoro tylko będzie papież...

- Ach! Więc wciąż jeszcze nie ma papieża? - rzuciła Małgorzata.

Robert d'Artois zagryzł wargi; popełnił błąd. Nie pomyślał, że Małgorzata Burgundzka, zamknięta w więzieniu, mogła nie wiedzieć o tym, o czym wiedział cały świat, a mianowicie, że po śmierci Klemensa V konklawe nie zdołało wybrać nowego papieża. Dał mocny oręż do rąk swojej przeciwniczce, która - sądząc z szybkiej reakcji - nie była tak osłabiona, jak to chciała okazać. Popełniwszy tę omyłkę, chciał ją obrócić na swoją korzyść, grając komedię rzekomej szczerości, w czym celował.

- Ależ to naprawdę dla was szansa! - zawołał. - I o tym właśnie chcę was przekonać. Jak tylko ci szubienicznicy kardynałowie, co handlują obietnicami, jakby znajdowali się na jarmarku, nafrymarczą dosyć swoimi głosami, żeby zgodzić się na pojednanie, Ludwik już nie będzie was potrzebował. To tylko uzyskacie, że będzie jeszcze bardziej was nienawidził i będzie was tu trzymał w więzieniu do końca życia.

- Rozumiem was dobrze. Ale również pojmuję, że dopóki nie będzie

papieża, nie można nic zrobić beze mnie.

- To bzdura tak się upierać, moja duszko.

Podszedł do niej, położył ciężką łapę na jej szyi i jął gładzić ramię pod koszulą. Dotyk tej wielkiej dłoni zdawał się wzruszać Małgorzatę.

- Jaki w tym macie ważny interes, Robercie, żebym się zgodziła? - zapytała łagodnie.

Pochylił się, aż musnął wargami czarne loczki. Pachniał skórą i potem końskim; pachniał zmęczeniem, pachniał błotem; pachniał zwierzyną i zawiesistym jadłem. Małgorzatę odurzył ten aż gęsty zapach samca.

- Bardzo was lubię, Małgorzato - odparł - zawsze was bardzo lubiłem, wiecie o tym. A teraz nasze interesy połączyły się. Wam trzeba odzyskać wolność, a ja chcę zadowolić Ludwika, żeby mnie darzył łaską. Widzicie więc, że musimy być sojusznikami.

Jednocześnie zanurzył rękę głęboko w dekolt Małgorzaty, ona zaś nie stawiała mu żadnego oporu. Przeciwnie, oparła głowę o pięść kuzyna i zdawała się ulegać.

- Aż litość bierze - podjął Robert - że tak piękne ciało, takie gładkie i powabne, jest pozbawione przyrodzonych rozkoszy... Zgódźcie się, Małgorzato, a zabiorę was ze sobą jeszcze tegoż dnia, daleko od tego więzienia; zawiozę was najpierw do jakiejś przytulnej gospody klasztornej, gdzie będę mógł was często odwiedzać i czuwać nad wami... Co wam naprawdę szkodzi oświadczyć, że wasza córka nie jest Ludwika, skoro nigdy nie kochaliście tego dziecka?

Podniosła w górę oczy.

- Jeżeli nie kocham mojej córki - rzekła - czyż to właśnie najlepiej nie dowodzi, że na pewno jest córką mego małżonka?

Przez chwilę siedziała rozmarzona ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń. Polana zawaliły się w palenisku, oświetlając komnatę rozjarzonym snopem iskierek. I nagle Małgorzata zaczęła się śmiać.

- Co was tak bawi? - zapytał Robert.

- Sufit - odpowiedziała. - Zobaczyłam właśnie, że jest podobny do pułapu wieży Nesle.

D'Artois wyprostował się jak osłupiały. Nie zdołał opanować pewnego podziwu wobec takiego cynizmu połączonego z takim szelmostwem... „To przynajmniej jest kobieta" - pomyślał.

Patrzyła na niego, jak stał przed kominem olbrzymi, osadzony na udach mocnych jak pnie dębu. W blasku płomieni jego czerwone buty lśniły, iskrzyła się klamra u pasa.

Powstała, a on ją przyciągnął do siebie.

- Ach, moja kuzynko - powiedział - gdyby to mnie kazali cię poślubić... albo też gdybyś mnie wybrała na kochanka miast tego młodego cymbała giermka, sprawy nasze potoczyłyby się zupełnie inaczej... i bylibyśmy bardzo szczęśliwi.

- Być może - wyszeptała.

Obejmował jej biodra i miał wrażenie, że za chwilę nie będzie już zdolna myśleć.

- Jeszcze nie za późno, Małgorzato - szeptał.

- Być może nie... - odparła stłumionym głosem, uległa.

- Więc załatwmy się najpierw z tym listem do napisania, żeby potem zająć się już tylko miłością. Wezwijmy kapelana, który czeka na dole...

Jednym susem oswobodziła się, oczy jej iskrzyły się gniewem.

- Czeka na dole, naprawdę? O mój kuzynie, myśleliście, że dam się nabrać na wasze pieszczoty? Postąpiliście ze mną jak zwykłe wszetecznice z mężczyznami, drażniąc ich zmysły, by pokorniej ulegali ich zachciankom. Zapomnieliście jednak, że w tym zawodzie kobiety bardziej celują, a wy jesteście w nim tylko czeladnikiem.

Rzucała mu wyzwanie, nerwowa, drżąca, zawiązując sznurek u koszuli.

Zapewniał ją, że się omyliła, że pragnie tylko jej dobra, że jest w niej naprawdę zakochany...

Małgorzata patrzyła na niego rozdrażniona. Wziął ją na ręce, choć teraz się broniła, i niósł na łoże.

- Nie, nie podpiszę - krzyczała. - Zgwałć mnie, jeśli chcesz, bo jesteś za ciężki, żebym mogła się obronić, ale powiem kapelanowi, powiem Bersumeemu, dam znać Marigny'emu, jakim jesteś pięknym posłem i jakeś mnie nadużył.

Puścił ją wściekły.

- Nigdy, słyszysz - mówiła dalej - nie zmusisz mnie do wyznania, że moja córka nie jest Ludwika; bo gdyby Ludwik umarł, czego mu życzę z całej duszy, wtedy moja córka będzie królową Francji, a ze mną trzeba się będzie liczyć jako z królową matką.

D'Artois stał chwilę oniemiały. „Prawidłowo rozumuje ta cwana dziwka - pomyślał - i los może przyznać jej rację". Dostał mata.

- Małą na to macie szansę - odparł wreszcie.

- Nie mam innej i tę sobie zachowuję.

- Jak chcecie, kuzynko - rzekł, idąc do drzwi. Porażka go rozwścieczyła. Nie żegnając się, zbiegł po schodach i natknął się na kapelana, który czerwony z zimna, w wieńcu płowych włosów, przytupywał, trzymając w ręku gęsie pióra.

- Setny z was osioł, braciszku - krzyknął doń - nie wiem, gdzie do diabła znajdujecie słabostki u waszych penitentek!

Później zawołał:

- Giermkowie! Na konie!

Pojawił się Bersumee wciąż w żelaznym hełmie na głowie.

- Dostojny Panie, czy życzycie sobie zwiedzić twierdzę?

- Wielkie dzięki. Dość dla mnie tego, co widziałem.

- Rozkazy, Dostojny Panie?

- Jakie rozkazy? Słuchaj tych, któreś otrzymał.

Już prowadzono konia d'Artois, już Lormet podawał strzemię.

- A koszt posiłku, Dostojny Panie? - zapytał jeszcze Bersumee.

- Niech ci zapłaci pan de Marigny. Dalej, spuszczać most!

Jednym susem d'Artois skoczył na konia i mocną stopą poderwał wierzchowca do galopu. Na czele świty przebył bramę przy odwachu. Bersumee ze ściągniętymi brwiami, opuściwszy ręce, patrzył, jak kawalkada pędzi ku Sekwanie, rozpryskując fontanny błota.

IV

Opactwo Saint-Denis

Płomienie setek świec, ułożonych w pęki wokół kolumn, rzucały migotliwy blask na królewskie grobowce. Długie kamienne posągi zdawały się drgać jak we śnie i rzec by można, że spoczywają tu zastępy rycerzy uśpionych czarami pośród gorejącego lasu.

W bazylice Saint-Denis, królewskim nekropolu, dwór uczestniczył w złożeniu do grobu Filipa Pięknego. Na wprost nowego otworu, w centralnej nawie, stał w szeregu cały szczep Kapetyngów w ciemnych, przepysznych strojach: książęta krwi, parowie świeccy, parowie duchowni, członkowie ścisłej Rady, wielcy jałmużnicy, konetabl, dostojnicy.[1]

Wielki marszałek królestwa w otoczeniu pięciu dygnitarzy dworu podszedł uroczystym krokiem na skraj grobu, w który już spuszczono trumnę; rzucił do rozwartej jamy rzeźbioną laskę - symbol swego urzędu - i wygłosił formułę, która oficjalnie oznaczała przejście panowania od jednego władcy do drugiego.

- Król umarł! Niech żyje król!

Obecni natychmiast powtórzyli:

- Król umarł! Niech żyje król!

A ten okrzyk ze stu piersi, odbijając się od nawy do nawy, od łuku do łuku, przetaczał się długo na wysokościach sklepień. Książę o umykającym spojrzeniu, wąskich ramionach i zapadłej piersi, który w tejże minucie stawał się królem Francji, doznał osobliwego uczucia, jakby w karku wybuchły mu gwiazdy. Naszło go przerażenie tak wielkie, że obawiał się, iż popadnie w omdlenie.

Po jego prawej stronie dwaj jego bracia, Filip, hrabia de Poitiers, i Karol, nie posiadający jeszcze apanaży, wpatrywali się uparcie w grób.

Po jego lewej stronie stali obaj stryjowie, hrabia de Valois i hrabia d'Evreux, dwaj mężowie barczystej postawy.

Pierwszy przekroczył czterdziestkę, drugi do niej się zbliżał.

Hrabiego d'Evreux opadły dawne wspomnienia. „Przed dwudziestu dziewięciu laty, my, trzej bracia, staliśmy w tym samym miejscu nad grobem naszego ojca... A oto teraz jeden z nas odchodzi. Życie już minęło".

Spojrzenie jego spoczęło na najbliższym posągu króla Filipa III. „Ojcze - modlił się gorąco hrabia d'Evreux - przyjmijcie w tamtym królestwie brata mego Filipa, bo godnym was był następcą".

Nieco dalej znajdowały się: grobowiec Ludwika Świętego i ciężkie wizerunki wielkich przodków. Po drugiej stronie nawy widać było puste miejsca, które pewnego dnia otworzą się, aby przyjąć młodego człowieka, dziesiątego o imieniu Ludwik, a po nim, panowanie za panowaniem, wszystkich następnych królów. „Jeszcze jest miejsca na wiele wieków" -

pomyślał Ludwik d'Evreux.

Dostojny Pan de Valois, skrzyżowawszy ramiona, zadarłszy podbródek, baczył na wszystko, czuwał, aby ceremoniał należycie się toczył.

- Król umarł! Niech żyje król!

Jeszcze pięć razy okrzyk przetoczył się przez bazylikę, a to w miarę jak defilowali marszałkowie dworu, rzucając laski, symbol swych urzędów. Ostatnia laska podskoczyła na trumnie i zapadła cisza.

W tym momencie Ludwik dostał ataku gwałtownego kaszlu, którego mimo wszelkich wysiłków nie mógł opanować. Krew napłynęła mu do policzków i stał dobrą minutę wstrząsany kaszlem, jakby miał wykrztusić duszę nad grobem ojca.

Obecni spojrzeli po sobie; mitry pochyliły się ku mitrom, korony ku koronom; zaszemrały szepty pełne niepokoju i litości. Każdy myślał: „A jeżeli ten także umrze za kilka tygodni?".

Wśród parów laickich potężna hrabina Mahaut d'Artois, wysoka, barczysta, z czerwono pożyłkowaną twarzą, obserwowała swego bratanka Roberta, którego szczęki wychylały się ponad wszystkimi głowami. Rozważała, dlaczego wczoraj przybył on do Notre Dame już dobrze w połowie żałobnego nabożeństwa z nieogoloną brodą i zabłocony po lędźwie. Skąd przybywał, co tam robił? Gdzie pojawiał się Robert, intryga wisiała w powietrzu. Wydawało się, że miał duże fory na dworze w tym okresie, co bezustannie niepokoiło Mahaut, sama bowiem była w niełasce, odkąd jej córki zostały uwięzione, jedna w Dourdan, druga w zamku Gaillard.

Otoczony legistami z Rady Enguerrand de Marigny, koadiutor zmarłego monarchy, nosił książęcą żałobę. Marigny należał do tych nielicznych ludzi, którzy mogą być pewni, iż za życia weszli do historii, sami ją bowiem tworzą. „Sire Filipie, królu mój... - myślał, patrząc na trumnę. - Tyle dni przepracowaliśmy obok siebie! Obaj myśleliśmy podobnie o różnych sprawach. Popełnialiśmy błędy, poprawialiśmy je... W ciągu ostatnich dni waszego życia oddaliliście się trochę ode mnie, ponieważ duch wasz osłabł, a zazdrośnicy starali się nas poróżnić. Pozostałem teraz sam ze swym dziełem. Przysięgam wam twardo bronić tego, cośmy wspólnie zdziałali".

Marigny musiałby przebiec myślą swoją nadzwyczajną karierę, zmierzyć, skąd wyszedł i dokąd zaszedł, aby ocenić w tej chwili własną potęgę, a zarazem własną samotność. „Rządy to praca nie znająca końca" - mówił sobie. W tym wielkim polityku gorzała żarliwość i naprawdę myślał o królestwie jak jego drugi król.

Opat z Saint-Denis, Egidius de Chambly, klęcząc na krawędzi dołu, nakreślił ostatni znak krzyża, później powstał, a sześciu mnichów pchnęło ciężką, kamienną płytę, która miała zawrzeć grób.

Nigdy już Ludwik Nawarry, obecnie Ludwik X, nie usłyszy przerażającego głosu swego ojca, mówiącego doń podczas narady:

- Zamilczcie, Ludwiku!

Zamiast czuć się oswobodzonym, odczuwał paniczną słabość. Drgnął, bo ktoś obok niego powiedział:

- Chodźcie, Ludwiku!

To Karol de Valois prosił go, aby powiódł orszak. Ludwik X zwrócił się szeptem do stryja:

- Widzieliście go, jak został królem. Co on robił? Co mówił?

- Objął od razu panowanie - odpowiedział Karol de Valois.

„A miał osiemnaście lat... siedem lat mniej ode mnie" - pomyślał Ludwik X. Wzrok wszystkich na nim spoczywał. Musiał zdobyć się na wysiłek, żeby iść. Za nim ruszył klan Kapetyngów: książęta, parowie, baronowie, prałaci, dostojnicy kroczyli pośród rodzinnych grobowców, między pękami świec i posągami królów. Mnisi z Saint-Denis, z dłońmi wsuniętymi w rękawy, śpiewając psalmy, zamykali pochód. Orszak przeszedł tak z bazyliki do kapitularza opactwa, gdzie podano posiłek, który zamykał uroczystości pogrzebowe...

- Sire - rzekł opat Egidius - od dziś będziemy odmawiać dwie modlitwy, jedną za króla, którego nam Bóg zabrał, drugą za tego, którego nam dał.

- Dziękuję wam za to, mój ojcze - rzekł niepewnym głosem Ludwik X.

Później usiadł z westchnieniem znużenia i zażądał natychmiast kubka wody; wypił ją jednym łykiem. Milczał w czasie trwania posiłku. Czuł, że ma gorączkę, był złamany na duszy i na ciele.

„Trzeba być silnym, aby być królem" - mawiał ongiś Filip Piękny do swych synów, gdy ci uchylali się od ćwiczeń na koniu lub we władaniu bronią. „Trzeba być silnym, aby być królem" - powtarzał sobie Ludwik X w tej pierwszej chwili swego panowania. Zmęczenie rodziło w nim rozdrażnienie, a będąc w złym humorze pomyślał, że ten, kto dziedziczy tron, powinien też odziedziczyć siłę, by prosto na nim siedzieć.

Istotnie to, czego wymagał ceremoniał od monarchy obejmującego władzę, było po prostu przytłaczające.

Ludwik, po okresie czuwania przy agonii ojca, miał obowiązek w ciągu dwóch dni spożywać posiłek obok zabalsamowanego nieboszczyka. Istniało przekonanie, że zasada monarchii nie może ścierpieć ani dublowania, ani cenzury w swej inkarnacji. Zmarły król uważany był za panującego aż do chwili złożenia go do grobu, a jego następca jadał obok zwłok niejako zamiast niego.

Jeszcze trudniejszy do zniesienia dla Ludwika - niż obecność wielkiej woskowej postaci, opróżnionej z wnętrzności i przyodzianej w uroczyste szaty - był widok ojcowskiego serca, umieszczonego koło pogrzebowego posłania w szkatułce z kryształu i złoconego brązu. Ktokolwiek zobaczył za szybką to serce o przyciętych krótko tętnicach, stał zdziwiony jego małością. „Serce dziecka... albo ptaka" - szeptali odwiedzający. I z trudnością można było uwierzyć, że taki malutki narząd ożywiał tak groźnego monarchę.[2]

Potem przewieziono ciało rzeką z Fontainebleau do Paryża; później już w samej stolicy następowały po sobie jazdy na koniu, czuwanie, nabożeństwa kościelne i nie kończące się procesje; wszystko to odbywało się w czasie strasznej zimowej pogody, kiedy brodziło się w lodowatym błocie, kiedy podstępny wiatr zapierał oddech, gdy przykry drobny śnieg ciął po twarzy.

Ludwik X zazdrościł swemu stryjowi Valois, który bezustannie u jego boku, nie znużony, pełen dobrej woli o wszystkim decydował, rozstrzygał

problemy związane z ceremoniałem, i on właśnie zdawał się posiadać nerwy króla.

Już rozmawiając z opatem Egidiusem, Valois zaczął się niepokoić o koronację Ludwika, wyznaczoną na przyszłe lato. Opactwo w Saint-Denis sprawowało bowiem pieczę nie tylko nad królewskimi grobami, nie tylko nad sztandarem Francji, lecz także nad szatami i atrybutami władzy noszonymi przez królów podczas koronacji. Valois chciał wiedzieć, czy wszystko jest w porządku. Czy płaszcz królewski w czasie dwudziestu dziewięciu lat nie uległ uszkodzeniu? Czy szkatuły służące do przewiezienia do Reims berła, ostróg i Dłoni Sprawiedliwości[3] są w należytym stanie? A złota korona? Trzeba, by złotnicy co rychlej dopasowali obwód do nowego wymiaru.

Opat Egidius obserwował nowego króla, którym w dalszym ciągu wstrząsał kaszel, i myślał: „Oczywiście, przygotuje się wszystko, ale czy on dotrwa do tego czasu?". Po spożytym posiłku Hugo de Bouville, wielki szambelan Filipa Pięknego, złamał przed Ludwikiem X swoją złoconą laskę, wskazując tym gestem koniec urzędowania. Gruby Bouville miał oczy pełne łez; ręce mu się trzęsły i trzykrotnie musiał zabierać się do łamania swego drewnianego berła - symbolizującego władzę wielkiego berła ze szczerego złota. Później wyszeptał do obejmującego po nim urząd Mateusza de Trye, pierwszego szambelana Ludwika X:

- A teraz wy, Panie.

Wtedy szczep Kapetyngów wyszedł zza stołu i skierował się na dziedziniec, gdzie czekały wierzchowce.

Na dworze za skąpo było tłumu, żeby krzyczeć „Niech żyje król!". Ludzie dosyć wymarzli się wczoraj, oglądając wielki pochód, w którym kroczyły zastępy żołnierzy, kler paryski, uczeni z uniwersytetu, korporacje; dzisiejszy orszak już nie mógł zachwycać. Padała śnieżna krupa, przenikając odzież aż do ciała; tylko kilku upartych gapiów witało nowego króla, a także mieszkańcy nadbrzeża, którzy mogli wykrzykiwać z progu, nie moknąc.

Kłótliwy od dzieciństwa czekał na tron. Po każdej naganie, porażce lub niepowodzeniu, spowodowanym miernotą umysłu i charakteru, mówił wściekły do siebie: „W dniu, kiedy zostanę królem...". I setki razy marzył, aby los co rychlej usunął jego ojca.

Oto wybiła godzina, w której został wysłuchany - oto został ogłoszony królem. Wychodził z Saint-Denis... Ale w duchu nic mu nie mówiło, że zaszła w nim jakaś zmiana. Czuł się tylko bardziej osłabiony niż wczoraj i coraz więcej myślał o ojcu, którego tak mało kochał.

Pochyliwszy głowę, wstrząsany dreszczem, kierował koniem wśród pustych pól, gdzie ściernisko przebijało się przez resztki śniegu. Zmrok szybko gęstniał. U bram Paryża orszak zatrzymał się, aby umożliwić eskortującym łucznikom zapalenie pochodni.

Lud stolicy nie był bardziej entuzjastyczny niż lud w Saint-Denis. Jakie miałby zresztą powody do okazywania radości? Przedwczesna zima utrudniała przewozy i mnożyła zgony. Ostatnie zbiory były nędzne. Żywność rosła w cenę, w miarę jak zaczynało jej brakować; klęska głodowa wisiała w powietrzu. A te skąpe wiadomości, jakie posiadano o

królu, nie budziły nadziei.

Opowiadano, że to warchoł, swarliwy i okrutny; lud, który już obdarzył go przezwiskiem, nie mógł wymienić żadnego jego czynu znacznego lub świadczącego o hojności. Cały jego rozgłos wynikał z niepowodzeń małżeńskich.

„To dlatego lud nie okazuje mi miłości - myślał Ludwik. - Z powodu tej kurwy, która zadrwiła ze mnie na oczach wszystkich... Ale jeśli nie chcą mnie kochać, to będę tak postępował, że będą drżeli i widząc mnie będą krzyczeli *Hosanna,* jakby mnie bardzo miłowali. A przede wszystkim muszę drugi raz się ożenić, mieć przy sobie królową... żeby zmyć mój wstyd".

Niestety! Sprawozdanie, złożone mu wczoraj przez Roberta d'Artois po powrocie z zamku Gaillard nie pozwalało oczekiwać, że sprawa potoczy się gładko. „Dziwka ustąpi, poddam ją takim postom i mękom, że ustąpi!".

Ponieważ wśród ludu rozeszła się pogłoska, że król, przejeżdżając, będzie rzucał drobne monety, grupy biedaków stały na rogach ulic. Pochodnie łuczników oświetlały przez chwilę ich chude twarze, chciwe oczy i wyciągnięte ręce. Ale nie padł ani denarek.

Tak oto przez Chatelet i most Change orszak dotarł do Pałacu na Cite.

Hrabina Mahaut dała sygnał do rozejścia się, oświadczając, że wszyscy muszą ogrzać się i wypocząć, a ona sama wracała do pałacu Artois. Duchowni i baronowie skierowali się do swoich domów. Nawet bracia królewscy odeszli. Kiedy więc król zsiadł z konia, towarzyszyli mu, oprócz własnych sług i giermków, tylko obaj jego stryjowie, Evreux i Valois, Robert d'Artois, Marigny i Mateusz de Trye.

Przeszli przez Galerię Kramarzy, olbrzymią i prawie pustą o tej porze. Tylko kilku kupców, zamykających na kłódki swoje stoiska, zdjęło czapki.

Kłótliwy szedł powoli na zesztywniałych nogach, w za ciężkich butach; ciało paliła mu gorączka. Spozierał na prawo i na lewo na czterdzieści posągów królów, wysoko umieszczonych na szerokich, rzeźbionych podstawach, które król Filip Piękny kazał postawić tu, w sieni królewskiej rezydencji, niby ustawione pionowo kopie posągów spoczywających w Saint-Denis, aby żyjący monarcha jawił się wszystkim zwiedzającym jako kontynuator uświęconej dynastii, wyznaczonej przez Boga do sprawowania władzy.

Ta kolosalna, kamienna rodzina o białych w świetle pochodni oczach, jeszcze bardziej przygnębiała biednego, cielesnego księcia - ich spadkobiercę.

Jakiś kramarz powiedział do żony:

- Nietęgą ma minę nasz nowy król.

Kupcowa odpowiedziała drwiąco:

- Przede wszystkim ma minę tęgiego rogacza.

Nie mówiła głośno, ale jej wysoki głos zadźwięczał w ciszy. Kłótliwy drgnął, gniew mu nagle ściągnął twarz, starał się wykryć autora obelgi. W orszaku wszyscy spuścili wzrok, udając, że nic nie słyszeli.

Po jednej i drugiej strome arkady wspinającej się łukiem nad głównymi schodami stały naprzeciw siebie posągi Filipa Pięknego i Enguerranda de Marigny; koadiutor dostąpił bowiem tego wyjątkowego zaszczytu, iż

wizerunek jego stał w galerii królów. Zaszczyt zresztą usprawiedliwiony faktem, że przebudowa i ozdobienie pałacu były głównie jego dziełem.

Otóż posąg Enguerranda drażnił ponad wszystko Karola de Valois, który za każdym razem, kiedy przechodził przed nim, oburzał się, iż aż tak wysoko wyniesiono mieszczanina. „Chytrość i podstęp doprowadziły go do takiej bezczelności, że przybiera miny, jakby płynęła w nim nasza krew. Ale poczekajcie, panie - myślał Valois - strącimy was z tego piedestału, przysięgam, i nauczymy bardzo prędko, że czas waszej niecnej okazałości minął".

- Panie Enguerrandzie - rzekł wyniośle do swego wroga - myślę, że król pragnie teraz zostać sam z rodziną.

Marigny, aby uniknąć skandalu, nie pokazał, że odczuł ukłucie. Ale chcąc w odwecie zaznaczyć, że wyłącznie od króla będzie pobierał rozkazy, rzekł, zwracając się do monarchy:

- Sire, czeka mnie wiele spraw będących w zawieszeniu. Czy mogę odejść?

Myśli Ludwika błądziły gdzie indziej, zasłyszane słowo zmąciło ich bieg.

- Uczyńcie to, panie, uczyńcie - odpowiedział niecierpliwie.

V

Król, jego stryjowie i losy ludzkie

Matka Ludwika X, królowa Joanna, dziedziczka Nawarry, zmarła w 1305 roku. Ludwik otrzymał pałac Nesle jako osobistą rezydencję w 1307 roku - to znaczy wtedy, gdy mając lat osiemnaście, został oficjalnie ogłoszony królem Nawarry. Nigdy więc nie mieszkał w pałacu, przebudowanym w ostatnich latach na rozkaz jego ojca.

Przeto w ten grudniowy wieczór, po powrocie z Saint-Denis, wchodząc do apartamentów królewskich, aby je objąć w posiadanie, Ludwik nie znalazł nic, co by mu przypominało dzieciństwo. Żadna szczerba w posadzce, znana mu zawsze, żadne szczególne skrzypnięcie zawiasów, dźwięczące wciąż w uszach, nie mogły go wzruszyć i roztkliwić; jego wzrok nie napotkał niczego, co by mu pozwoliło rzec: „Tutaj, przed tym kominkiem matka brała mnie na kolana... z tego okna po raz pierwszy zobaczyłem wiosnę...”. Okna miały inne proporcje, kominki były nowe.

Filip Piękny, władca oszczędny, niemal skąpy w swych osobistych wydatkach, nie znał miary, gdy chodziło o uświetnienie królewskiego majestatu. Pragnął, aby pałac imponował, przygniatał zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz, i niejako przeciwważył w sercu stolicy potęgę katedry Notre Dame. Tam wielkość Kościoła, tu wielkość państwa; tam chwała Boga, a tu króla.

Dla Ludwika była to siedziba ojca, ojca milczącego, dalekiego, groźnego. Ze wszystkich komnat najbardziej znajoma wydawała mu się salka Rady, gdzie ilekroć poważył się wyrazić swe zdanie, tylekroć słyszał: „Zamilczcie, Ludwiku”.

Mijał salę za salą. Pachołkowie ściszali kroki prześlizgując się pod ścianami, sekretarze znikali na schodach; wszyscy zachowywali jeszcze żałobną ciszę.

W końcu Ludwik zatrzymał się w pokoju, gdzie Filip Piękny miał zwyczaj pracować. Komnata była skromnych wymiarów, ale posiadała olbrzymi komin; płonął tu ogień, przy którym można by upiec wołu. Przy palenisku stały osłony z plecionej łozy, które pachołek od czasu do czasu skrapiał wodą, by można było korzystać z ciepła, nie narażając się na żar płomieni. Świeczniki w kształcie wieńców o sześciu świecach rozlewały obfite światło.

Ludwik zrzucił szatę i przewiesił ją przez jedną z osłon. To samo zrobili jego stryjowie, kuzyn i szambelan; wkrótce ciężkie, przesiąknięte wodą tkaniny, aksamity, futra, hafty zaczęły parować, zaś pięciu mężczyzn w koszulach i krótkich gaciach grzało przy ogniu lędźwie, przypominając pięciu chłopów, co powrócili z wiejskiego pogrzebu.

Nagle z kąta, gdzie stał stół Filipa Pięknego, wydobyło się długie westchnienie, niemal jęk. Ludwik zawołał piskliwie:

- Co to jest?

- To Lombard, Sire - powiedział pachołek, do którego należało skraplanie osłon.

- Lombard? Ależ ten pies był w Fontainebleau z całą psiarnią. Jak się tu dostał?

- Chyba sam przyszedł, Sire. Wrócił cały zabłocony przedwczoraj w nocy, kiedy przewożono ciało naszego zmarłego Miłościwego Pana do katedry. Ukradkiem wlazł pod ten mebel i nie chce się stąd ruszyć.

- Wypędzić go, zamknąć w stajniach!

Odwrotnie niż ojciec, Ludwik nie znosił psów; bał się ich, odkąd w dzieciństwie pies go pokąsał.

Pachołek pochylił się i pociągnął za obrożę dużego, płowego charta o rozgorączkowanych oczach.

Ten pies, dar bankiera Tolomei, nie opuszczał króla Filipa w ciągu ostatnich miesięcy. Ponieważ pies opierał się, nie chcąc wyjść, i drapał pazurami kamienne płyty, Ludwik X kopnął go w bok.

- To zwierzę przynosi nieszczęście. Przede wszystkim przybył tu w dniu, kiedy palono templariuszy, w dniu, kiedy...

W sąsiednim pokoju rozległy się głosy. Pachołek i pies minęli w drzwiach małą dziewczynkę wystrojoną w żałobną sukienkę, z damą dworu, która ją popychała, mówiąc:

- Idźcie, Pani Joanno, idźcie powitać króla, waszego ojca.

Ta mała czteroletnia dziewczynka o bladych policzkach i za dużych oczach była na razie następczynią tronu Francji.

Miała zaokrąglone, wypukłe czoło Małgorzaty Burgundzkiej, ale cera i włosy były jasne. Szła patrząc wprost przed siebie z upartym wyrazem twarzy, jaki miewają nie kochane dzieci.

Ludwik X gestem wstrzymał ją, nie pozwalając zbliżyć się do siebie.

- Dlaczego ją tu przyprowadzono? Nie chcę jej tu widzieć. Odprowadzić ją zaraz do pałacu Nesle; tam ma mieszkać, ponieważ tam...

- Mój bratanku, opanujcie się - rzekł hrabia d'Evreux.

Ludwik odczekał, aż wyjdą dama dworu i mała księżniczka, pierwsza prawdopodobnie bardziej przestraszona niż druga.

- Nie chcę więcej widzieć tego bękarta! - powiedział.

- Czy jesteście pewni, że nim jest? - zapytał hrabia d'Evreux, odsuwając od ognia odzież, by się nie przypaliła.

- Wystarczy, że mam wątpliwości i nie chcę uznać dziecka kobiety, która mnie zdradziła.

- To dziecko jednakże ma jasne włosy jak my wszyscy.

- Filip d'Aunay też był blondynem - odparł z goryczą Kłótliwy.

Hrabia de Valois ruszył z pomocą młodemu królowi.

- Ludwik musi mieć słuszne racje, bracie, jeżeli tak właśnie mówi - rzekł władczo.

- A zresztą - podjął, krzycząc, Ludwik - nie chcę więcej słyszeć tego słowa, które w przejściu we mnie rzucono; nie chcę więcej wyczuwać go w myślach wszystkich ludzi; nie chcę więcej dawać okazji, żeby o nim myślano, patrząc na mnie.

Ludwik d'Evreux powstrzymał się od uwagi: „Gdybyś miał lepszy

charakter, mój chłopcze, i więcej dobroci w sercu, to twoja żona zapewne by cię kochała...”. - Myślał o nieszczęśliwej małej dziewczynce, która - otoczona tylko obojętnymi sługami - będzie żyła w olbrzymim, pustym pałacu Nesle. I nagle usłyszał słowa Ludwika:

- Ach! Będę tu bardzo samotny!

D’Evreux z litościwym zdumieniem patrzył na tego bratanka, który chował urazy jak skąpiec złoto, przepędzał psy, ponieważ jakiś go ugryzł, wypędzał własną córkę, ponieważ został zdradzony, a jednocześnie uskarżał się na samotność.

- Każda istota jest samotna, Ludwiku. W samotności każda istota przeżywa chwilę swego zgonu - rzekł z powagą. - A próżnością jest sądzić, że inaczej dzieje się w innych chwilach życia. Nawet ciało małżonki, z którą śpimy, jest ciałem dalekim, obcym; nawet dzieci, które spłodziliśmy, są dla nas stworzeniami obcymi. Niewątpliwie Stwórca chciał tego, aby każdy z nas tylko z nim się łączył, i tylko w nim wszyscy ze sobą obcowali... Zasię lekarstwo na tę samotność istnieje jedynie we współczuciu i miłosierdziu, to znaczy w tej wiedzy, że inni cierpią ten sam ból, co i my.

Kłótliwy, z mokrymi włosami zwisającymi w strąkach, z błędnym spojrzeniem, z koszulą przylepioną do chudych żeber, wyglądał na topielca tylko co wyciągniętego z Sekwany. Niektóre słowa, jak te właśnie o miłosierdziu i współczuciu, nie miały dla niego żadnej treści i nie rozumiał ich lepiej niż księżowskiej łaciny. Zwrócił się do Roberta d’Artois.

- Tak więc, Robercie, jesteście pewni, że ona nie ustąpi?

Olbrzym potrząsnął głową; suszył się, a jego gacie dymiły jak kocioł.

- Sire, mój kuzynie, jak wam wczoraj powiedziałem, przekonywałem waszą małżonkę na wszelki sposób i użyłem w stosunku do niej moich najmocniejszych argumentów. Spotkałem się z taką zaciętością w odmowie, że mogę was zapewnić, iż nic się nie uzyska... A czy wiecie, na co ona liczy? - dorzucił d’Artois perfidnie. - Ma nadzieję, że wy umrzecie przed nią.

Ludwik X instynktownie dotknął małego relikwiarzyka, który nosił pod koszulą na szyi; później powiedział, zwracając się do hrabiego de Valois:

- Więc dobrze widzicie, stryju, że to wszystko nie jest tak łatwe, jak obiecywaliście; i nie wydaje się, że unieważnienie nastąpi prędko!

- Widzę to, mój bratanku, i usilnie to rozważam - odparł Valois.

- Mój kuzynie, jeżeli boicie się postu - powiedział wtedy Robert d’Artois - zawsze mogę dostarczyć do waszego posłania potulnych samiczek, a z próżności, że służą przyjemnostkom króla, będą bardzo przylepne...

Mówił o tym łakomie, jak o smakowicie przyrządzonym pieczystym czy też o wybornym sosie.

Karol de Valois poruszył palcami przeładowanymi pierścieniami.

- Przede wszystkim na co wam się przyda, Ludwiku - mówił - załatwienie sprawy unieważnienia małżeństwa, dopóki nie wybraliście kobiety, którą chcielibyście poślubić. Nie troskajcie się tak o to unieważnienie; monarcha zawsze w końcu je otrzyma. Co wam potrzeba, to już teraz wybrać małżonkę, która by godnie przy was prezentowała się na tronie i dała wam potomstwo.

Dostojny Pan de Valois, kiedy natrafiał na przeszkodę, miał zwyczaj lekceważyć ją i przeskakiwać na następny etap; na wojnie nie zważał na wysepki oporu, okrążał je i atakował następną twierdzę. To mu się niekiedy udawało.

- Bracie - rzekł d'Evreux - czy myślicie, że to łatwa sprawa w sytuacji, w jakiej znajduje się Ludwik, jeżeli nie chce trafić na kobietę niegodną tronu?

- Cóż znowu! Wymienię wam w Europie dziesięć księżniczek, które przeszłyby przez największe trudności w nadziei, że włożą koronę Francji. Patrzcie, nie szukając dalej, moja siostrzenica Klemencja Węgierska... - mówił Valois, jakby pomysł przed chwilą w nim zakiełkował, chociaż pielęgnował go już dobry tydzień.

Odczekał, aż propozycja wywoła efekt. Kłótliwy podniósł głowę zainteresowany.

- Pochodzi z naszego rodu, ponieważ jest Andegawenką - mówił dalej Valois. - Ojciec jej, Carlo Martello, który swego czasu zrzekł się tronu Neapolu i Sycylii, aby dochodzić praw do korony węgierskiej, już od dawna nie żyje; zapewne dlatego nie wyszła jeszcze za mąż. Ale brat jej, Caroberto, panuje teraz na Węgrzech, a stryj jest królem Neapolu. Prawda, iż przekroczyła już trochę przeciętny wiek, w którym zawiera się małżeństwo... '

- Ile ma lat? - zapytał Ludwik zaniepokojony.

- Dwadzieścia dwa. Ale czyż to nie lepsze niż te dziewczątka, które prowadzi się do ołtarza, kiedy jeszcze bawią się lalkami, a które, dorosnąwszy, okazują się nikczemne, kłamliwe i rozwiązłe? A poza tym, bratanku, to już nie będzie wasz pierwszy ślub!

„Wszystko to brzmi zbyt pięknie; musi tu być jakaś ukryta wada - myślał Kłótliwy. - Ta Klemencja na pewno jest jednooka albo ma solidny garb".

- A jak ona wygląda... jaką ma twarz? - zapytał.

- Mój bratanku, to najpiękniejsza kobieta Neapolu i jak mnie zapewniają, malarze starają się naśladować jej rysy, kiedy malują w kościołach twarz Dziewicy. Już w dzieciństwie, pamiętam, zapowiadała się na wybitną piękność i wszystko każe przypuszczać, że dotrzymała obietnicy.

- Zdaje się, istotnie jest bardzo piękna - zauważył Ludwik d'Evreux.

- I cnotliwa - dorzucił Valois. - Spodziewam się odnaleźć w niej wszystkie zalety, jakie zdobiły jej ciotkę, Małgorzatę Andegaweńską, moją pierwszą żonę, świeć Panie nad jej duszą. Dodam... ale któż z was o tym nie wie?... że jeden z jej stryjów, a mój szwagier, Ludwik Andegaweński, był tym świętym biskupem z Tuluzy, który zrzekł się berła, by wstąpić do zakonu, a teraz przy jego grobie dzieją się cuda.

- Więc będziemy mieć wkrótce w rodzinie dwóch świętych Ludwików - zauważył Robert d'Artois.

- Stryju, wasza myśl jest dobra, tak mnie się wydaje - powiedział Ludwik X. - Córka króla, siostra króla, bratanica króla i świętego, piękna i cnotliwa... Och! A czy ona nie jest przypadkiem ciemna jak Burgundka? Bo wtedy nie mógłbym!

- Nie, nie, mój bratanku - pospieszył z odpowiedzią Valois. - Nie bójcie się: jest blondynką, z dobrej rasy frankońskiej.

- I czy myślicie, Karolu, że ta rodzina pobożna, jak ją opisujecie,

zgodziłaby się na zaręczyny przed unieważnieniem? - zapytał Ludwik d'Evreux.

Dostojny Pan de Valois wypiął pierś i brzuch.

- Jestem zbyt dobrym sojusznikiem moich krewniaków z Neapolu, żeby mi czegokolwiek odmówili - odparł - a oba przedsięwzięcia mogą iść w parze. Królowa Maria uważała ongiś za zaszczyt wydać za mnie jedną ze swych córek, na pewno więc zgodzi się najukochańszemu z moich bratanków dać swoją wnuczkę za żonę, aby została królową najpiękniejszego na świecie królestwa. To już moja sprawa.

- Więc nie zwlekajmy, stryju - odpowiedział Ludwik X. - Wysyłajmy poselstwo do Neapolu. Co o tym myślicie, Robercie?

Robert d'Artois postąpił krok naprzód z otwartymi dłońmi, jakby proponował, że sam natychmiast popędzi do Italii.

Hrabia d'Evreux jeszcze się wmieszał. Nie był wrogi wobec projektu, ale tego rodzaju decyzja była sprawą zarówno królestwa jak i rodziny, poprosił więc, aby została rozważona na Radzie.

- Mateuszu - rozkazał natychmiast Ludwik X, zwracając się do swego szambelana - zawiadomcie Marigny'ego, że ma zwołać Radę na jutro rano.

Słysząc własne słowa, Kłótliwy doświadczył pewnej przyjemności; nagle poczuł się królem.

- Po co Marigny'ego? - zapytał Valois. - Ja mogę, jeśli sobie tego życzycie, zająć się osobiście tą sprawą albo obarczyć nią mego kanclerza. Marigny zbyt wiele spraw trzyma w ręku i przygotowuje pospiesznie Rady, które mają za zadanie tylko go popierać, nie przyglądając się z bliska jego frymarkom. Ale prędko zmienimy ten stan rzeczy, Miłościwy Panie Bratanku, i ja wam zbiorę Radę, co godnie będzie wam służyć!

- Bardzo słusznie. Więc dobrze, zróbcie to, stryju, zróbcie tak - odparł Ludwik X z jeszcze większą pewnością siebie, jakby to była jego inicjatywa.

Odzież już była sucha i wszyscy się ubrali.

„Piękna i cnotliwa, piękna i cnotliwa..." - powtarzał sobie Ludwik X. W tejże chwili chwycił go nowy atak kaszlu i ledwie słyszał, jak go żegnano.

Schodząc ze schodów, Robert rzekł do Valois:

- Ach, kuzynie, świetnie sprzedaliście mu waszą bratanicę Klemencję! Znam kogoś, kogo dziś wieczór będą palić własne prześcieradła.

- Robercie! - rzekł Valois tonem udanej nagany. - Nie zapominajcie, że od dziś mówicie o królu.

Hrabia d'Evreux szedł za nimi w milczeniu. Rozmyślał o księżniczce z neapolitańskiego zamku, której los, bez jej wiedzy, może się dziś właśnie rozstrzygnął. Hrabiego d'Evreux nieustannie dziwiło, jak niespodziewanie i tajemniczo splatają się ludzkie losy.

Ponieważ wielki monarcha przedwcześnie zmarł, ponieważ młody król źle znosił celibat, ponieważ jego stryj spieszył się go zadowolić, aby utrwalić władzę, jaką miał nad nim, ponieważ rzucone imię zostało podchwycone - młoda, jasnowłosa dziewczyna, która pięćset mil stąd, nad brzegiem wiecznie błękitnego morza myślała, że będzie żyć jak każda inna, stała się ośrodkiem zainteresowania francuskiego dworu.

Ludwika d'Evreux opadły nowe skrupuły.

- Mój bracie - rzekł do Valois - czy sądzicie, że ta mała Joanna jest naprawdę bękartem?

- Dzisiaj jeszcze tego nie jestem pewny, bracie - rzekł Valois, kładąc mu na ramieniu swoją rękę okrytą pierścieniami. - Ale zapewniam was, że niebawem wszyscy ją będą za taką uważali.

Po czym skłonny do medytacji hrabia d'Evreux mógłby także sobie powiedzieć: „Ponieważ księżniczka francuska wzięła sobie kochanka, ponieważ ją zadenuncjowała jej szwagierka z Anglii, ponieważ sędzia-król rozgłosił ten skandal, ponieważ upokorzony mąż przeniósł zemstę na dziecko, które uznał za nieprawe...". Skutki ujawni dopiero przyszłość, ów twórczy los, który wciąż splata nieubłagany tok wydarzeń z ludzkimi czynami.

VI

Eudelina - szafarka królewskiej bielizny

Upięty nad łożem baldachim z szafirowego samitu[4] tkanego w złote kwiaty lilii wydawał się skrawkiem nocnego firmamentu. Kotary z tej samej tkaniny połyskiwały w przyćmionym świetle nocnej oliwnej lampki zawieszonej na trzech łańcuchach z brązu,[5] narzuta ze złocistego brokatu, opadając w sztywnych fałdach aż do podłogi, iskrzyła się osobliwym fosforyzującym blaskiem.

Od dwóch godzin Ludwik X próżno usiłował zasnąć na łożu, które niegdyś należało do jego ojca. Dusił się pod podbitym futrem przykryciem i drżał z zimna, kiedy je odrzucał.

Chociaż Filip Piękny zmarł w Fontainebleau, Ludwik czuł się nieswojo w tym łożu, jakby dręczyła go bliska obecność trupa.

W jego myślach tłoczyły się wspomnienia ostatnich dni i wszystkie zmory, które przeczuwał. „Rogacz" - ktoś krzyczał w tłumie... Klemencja Węgierska odmawiała mu ręki albo była zaręczona... surowa twarz opata Egidiusa pochylała się nad grobem... „Będziemy odtąd odmawiać dwie modlitwy"... „Czy wiecie, na co ona liczy? Spodziewa się, że umrzecie przed nią"... Kryształowa szkatułka więziła serce o przyciętych arteriach, małe niby serce baranka...

Nagle wstał, jego własne serce biło jak zegar, od którego odczepił się ciężarek. A przecież zanim udał się na spoczynek, zbadał go dworski medyk i nie znalazł w nim złych humorów. Sen usunie łatwo zrozumiałe zmęczenie; gdyby kaszel trwał nadal, jutro zobaczy się, czy należy przepisać napar na miodzie, czy też przystawić pijawki... Ale Ludwik nie przyznał się, że dwa razy zrobiło mu się słabo w czasie uroczystości żałobnych w Saint-Denis, raz chłód go całego przeniknął, a potem wszystko zachwiało się wokół. I oto ogarnia go znowu ta sama choroba, której nie potrafi nazwać.

Dręczony przez zmory, w długiej białej koszuli, na którą narzucił ciepłą szatę, Kłótliwy chodził po pokoju, jakby uciekał przed samym sobą i narażał swe życie, jeśli na chwilę przystanie.

Czy nie skona w ten sam sposób co jego ojciec, rażony w głowę ręką Bożą? „Ja także - myślał z przerażeniem - byłem obecny, gdy palono templariuszy przed tym pałacem...". Czy to wiadomo, jakiej nocy trzeba umrzeć? Czy to kiedy wiadomo, jakiej nocy popada się w obłęd? A jeżeli zdoła przeżyć tę ohydną noc, jeżeli zobaczy, jak wstaje późny, zimowy świt, to w jakim stanie wyczerpania będzie przewodniczyć jutro swojej pierwszej Radzie? Rzeknie: „Panowie...". Jakie właściwie słowa powinien wypowiedzieć?... „Każdy z nas, mój bratanku, przeżywa w samotności chwilę swego zgonu i próżnością jest sądzić, że inaczej dzieje się w innych chwilach życia...".

- Ach! mój stryju - głośno powiedział Kłótliwy - po co mi to mówiliście!

Własny głos wydał mu się obcy. Zdyszany i drżący wciąż błąkał się wokół wielkiego łoża, ginącego w mroku.

Ten sprzęt go przerażał. To łoże było przeklęte i nigdy nie zdoła w nim zasnąć. Łoże zmarłego. „Czy przez wszystkie noce mego panowania będę chodził w kółko, żeby nie skonać? - pytał sam siebie. Lecz jak pójść spać gdzie indziej lub wezwać ludzi, by mu przygotowali inny pokój? Skąd zaczerpnąć odwagi, żeby przyznać się: „Nie mogę tu mieszkać, bo się boję", i jak takim zgnębionym, drżącym, bezbronnym pokazać się marszałkom dworu, szambelanom?

Był królem, a nie umiał panować; był człowiekiem, a nie umiał żyć; był żonaty, a nie miał żony... A jeżeli nawet Pani Węgierska zgodzi się, ile tygodni, ile miesięcy będzie musiał czekać, żeby ludzka obecność ukoiła jego noce? „A czy ta kobieta zechce mnie kochać? Czy nie będzie postępować jak tamta?"

Nagle powziął decyzję. Otworzył drzwi, potrząsnął szambelanem, który ubrany spał w przedpokoju.

- Czy dama Eudelina nadal czuwa w pałacu nad bielizną?

- Tak, Sire... Sądzę, że tak, Sire... - odparł Mateusz de Trye.

- Więc dowiedzcie się. I jeżeli to ona, każcie jej przyjść natychmiast.

Zdziwiony, zaspany („Ten to śpi" - pomyślał z nienawiścią Kłótliwy) szambelan zapytał króla, czy życzy sobie, aby zmieniono mu prześcieradła.

Kłótliwy zrobił niecierpliwy ruch.

- Tak, o to chodzi. Idźcie po nią, mówię!

Później powrócił do pokoju i znów zaczął chodzić niespokojnie w kółko, mówiąc do siebie: „Czy ona tu wciąż mieszka? Czy ją znajdą?".

Po dziesięciu minutach weszła dama Eudelina ze stosem prześcieradeł, a Ludwik X natychmiast poczuł, że przestało mu być zimno.

- Dostojny Panie Ludwiku... chciałam powiedzieć Miłościwy Panie - wykrzyknęła szafarka. - Ja dobrze wiedziałam, że nie trzeba wam ścielić nowych prześcieradeł. Źle się w nich śpi. To pan de Trye tego chciał, mówił, że taki zwyczaj. Ale ja chciałam dać prześcieradła sprane i bardzo cienkie.

Była to wysoka, jasnowłosa, rozkwitła kobieta o obfitych piersiach, a jej dorodna postawa piastunki przywodziła na myśl spokój, ciepło i odpoczynek. Przekroczyła już nieco trzydziestkę, ale twarz jej miała wyraz spokojnego, dziewczęcego zdziwienia. Spod białego nocnego czepca wymykały się długie warkocze koloru złota, które rozplotły się, spływając na ramiona i nocną szatę. W pośpiechu okryła się peleryną.

Ludwik patrzył na nią chwilę, nic nie mówiąc, dopóki gotów do usług Mateusz de Trye nie pojął, że już jest zbędny.

- Wcale nie z powodu prześcieradeł po was posłałem - rzekł wreszcie król.

Policzki zakłopotanej szafarki okrył delikatny rumieniec.

- Och, Dostojny Panie... Sire, chcę powiedzieć! Czy powrót do pałacu przypomniał wam o mnie?

Była jego pierwszą kochanką. Przed dziesięciu laty, kiedy piętnastoletni wówczas Ludwik dowiedział się, że mają go ożenić z księżniczką

burgundzką, ogarnęło go niepohamowane pragnienie poznania miłości, a jednocześnie ogromny strach na myśl, że nie będzie wiedział, jak się zachować wobec małżonki. I podczas gdy Filip Piękny i Marigny ważyli korzyści tego związku, młody książę myślał tylko o tajemnicy natury. Nocą wyobrażał sobie, że wszystkie damy dworu ulegają jego zapałom; ale w dzień stał przed nimi niemy, z drżącymi rękami i umykającym spojrzeniem.

A później, pewnego letniego popołudnia, rzucił się nagle na tę piękną dziewczynę, która szła przed nim spokojnym krokiem przez pustą galerię, niosąc na rękach stos bielizny. Przywarł do niej gwałtownie, z gniewem, jakby miał jej za złe własny strach. Ta albo żadna, teraz albo nigdy... Nie zgwałcił jej zresztą. Podniecenie, niepokój i niezręczność zupełnie mu to uniemożliwiły. Nie mając śmiałości mężczyzny, skorzystał z prerogatyw księcia. Wymógł na Eudelinie, że nauczy go miłości. Miał szczęście. Eudelina nie wydrwiła go i w jakimś składziku dość uprzejmie zgodziła się zaspokoić żądze królewskiego syna, a nawet pozwoliła mu uwierzyć, że napawa ją zadowoleniem. Dzięki temu czuł się zawsze wobec niej prawdziwym mężczyzną.

Ludwik wzywał ją niekiedy rankiem, gdy ubierał się na polowanie lub na ćwiczenia we władaniu turniejową bronią, i Eudelina szybko pojęła, że żądza miłości wypływa u niego wyłącznie ze strachu. Pomagała Ludwikowi Kłótliwemu przezwyciężać jego lęki przez kilka miesięcy przed przybyciem Małgorzaty Burgundzkiej, a nawet jeszcze po jej przyjeździe.

- Gdzie jest teraz wasza córka? - zapytał.

- Mieszka z moją matką, która ją wychowuje. Nie chciałam, żeby została tu ze mną; za bardzo przypomina swego ojca - odparła z półuśmiechem Eudelina.

- O tej przynajmniej mogę myśleć, że jest moja - powiedział Ludwik.

- Och, na pewno, Dostojny Panie!... Miłościwy Panie, chcę powiedzieć... Ona jest wasza... Jej twarz z dniem każdym... jest bardziej podobna do waszej. I to może byłoby wam przykre, gdyby ją oglądali ludzie z pałacu.

Dzięki tym pospiesznym miłostkom bowiem została poczęta dziewczynka, którą, tak jak matkę, miano ochrzcić imieniem Eudeliny. Każdej kobiecie trochę zaprawionej w intrygach stan jej łona zapewniłby fortunę lub zapoczątkował linię baronów. Ale Kłótliwy tak drżał przed wyznaniem tej sprawy królowi Filipowi, że Eudelina ulitowała się raz jeszcze i milczała.

W tym okresie mąż jej, skryba przy panu de Nogaret, w świecie legisty wiele podróżował po drogach Francji i Italii. Gdy po powrocie ujrzał żonę bliską połogu, jął na palcach liczyć miesiące i uniósł się gniewem. Na ogół jednak mężczyzn o podobnym charakterze pociąga ten sam typ kobiety. Skryba nie miał zbyt hartownej duszy. A kiedy żona wyznała mu, skąd pochodzi upominek, strach zgasił w nim gniew, jak wiatr zdmuchuje świecę. Postanowił również milczeć i wkrótce zmarł, zresztą nie tyle ze smutku, ile z powodu niebezpiecznej choroby jelit, której nabawił się na rzymskich bagnach.

Pani Eudelina zaś w dalszym ciągu czuwała nad praniem w pałacu, za

pięć soldów od setki czystych obrusów. Została pierwszą szafarką w królewskim domu, a było to piękne stanowisko dla mieszczki.

W tym czasie mała Eudelina rosła, nie pozbawiona właściwości, jaką posiadają dzieci nieślubne - wyraźnego ujawniania rysów odziedziczonych po nieprawych przodkach... Pani Eudelina spodziewała się, że pewnego dnia Ludwik sobie przypomni. Tak szczerze obiecywał, tak uroczyście przysięgał, że w dniu, w którym zostanie królem, obsypie jej córkę złotem i tytułami.

Tego wieczoru myślała, iż miała rację, i zachwycała się, że tak szybko zapragnął dotrzymać przyrzeczenia. „On wcale nie ma złego serca - rozmyślała. - Jest kłótliwy w postępowaniu, ale nie jest zły".

Wzruszona wspomnieniami, dawnym uczuciem, dziwnym biegiem losu, wpatrywała się w tego monarchę, który ongiś w jej ramionach znalazł był pierwsze zaspokojenie niespokojnej męskiej siły, a teraz, w białej koszuli, siedział tu na gotyckim fotelu, z włosami opadającymi aż do podbródka, i obejmował rękami kolana. „Dlaczego - myślała - dlaczego mnie to spotkało?".

- Ile lat ma teraz twoja córka? - zapytał Ludwik X. - Dziewięć, prawda?

- Dokładnie dziewięć, Sire.

- Obdarzę ją tytułem i majątkiem księżniczki, jak tylko dorośnie do małżeństwa. Chcę tego. A ty czego pragniesz?

Potrzebował jej. W tej właśnie chwili - albo nigdy - trzeba było korzystać. Skromność nie popłaca wobec możnych tego świata, trzeba się pospieszyć, poskarżyć na niedostatek, wyrazić żądanie, życzenie, choćby je należało wymyślić, kiedy są gotowi je spełnić. Bo potem poczują się wolni od wdzięczności i nic nie dadzą. Kłótliwy chętnie spędziłby całą noc, wymieniając szczodre dary, byle tylko Eudelina dotrzymała mu towarzystwa do świtu. Lecz ona, zaskoczona pytaniem, zadowoliła się odpowiedzią:

- Co wam się spodoba, Sire.

Natychmiast skierował myśli ku sobie.

- Ach, Eudelino, Eudelino - zawołał - powinienem był ciebie zawezwać do pałacu Nesle, gdzie tyle miałem zmartwień w ostatnich miesiącach.

- Wiem, Dostojny Panie Ludwiku, że nienależycie was kochała wasza małżonka... Ale nie śmiałam przyjść do was; nie wiedziałam, czy będziecie zadowoleni, czy zawstydzeni, gdy mnie zobaczycie.

Patrzył na nią, ale już nie słuchał. Oczy jego zmętniały i wpatrywał się w nią uporczywie. Eudelina wiedziała dobrze, co znaczy to spojrzenie; poznała je u niego już wtedy, kiedy miał piętnaście lat.

- Kładź się - rozkazał nagle.

- Tam, Dostojny Panie... Sire, chcę powiedzieć... - wyszeptała, wskazując z przestrachem łoże Filipa Pięknego.

- Tak, właśnie tam! - odparł głucho Kłótliwy.

Chwilę wahała się przed wykonaniem tego, co wydało się jej świętokradztwem. Ale ostatecznie teraz królem był Ludwik i to łoże już należało do niego.

Zdjęła czepiec, pozwoliła opaść pelerynie i koszuli; jej złote warkocze rozplotły się zupełnie. Była teraz nieco pulchniejsza niż dawniej, ale miała

nadal pięknie zaokrąglone pośladki, te same szerokie i kojące plecy, i te biodra jedwabiste w dotyku, na których igrało światło... Jej ruchy wydawały się uległe, a Kłótliwy był chciwy właśnie uległości. Podobnie jak ogrzewa się łoże, by z niego wypędzić chłód, tak to piękne ciało miało zeń wypędzić demony.

Trochę niespokojna, trochę olśniona Eudelina wśliznęła się pod złotą narzutę.

- Miałam rację - natychmiast rzekła - one drapią, te nowe prześcieradła. Dobrze o tym wiedziałam.

Ludwik gorączkowo ściągnął z siebie koszulę; chudy, o kościstych ramionach, ociężały na skutek niezdarnych ruchów, rzucił się na nią z rozpaczliwym pośpiechem, jakby paląca potrzeba nie mogła znieść najkrótszej zwłoki.

Próżny pośpiech. Królowie nie są wszechwładni, a w pewnych sprawach narażeni są na takie same rozczarowania jak inni mężczyźni. Pożądanie Kłótliwego gnieździło się przede wszystkim w głowie. Uczepiwszy się ramion Eudeliny jak topielec boi, pozorując namiętność, starał się na wszelki sposób przezwyciężyć swą niemoc, co zresztą nie budziło wielkich nadziei. „Oczywiście, jeżeli tylko w ten sposób zaszczycał Panią Małgorzatę - pomyślała Eudelina - łatwiej można zrozumieć, że go zdradzała".

Wszystkie jej milczące zachęty, których nie szczędziła, wszelkie jego wysiłki nie świadczące zresztą, iż jest księciem zmierzającym ku zwycięstwu, pozostały bez rezultatu. Odsunął się od niej, zgnębiony, zawstydzony; trząsł się, bliski wściekłości czy też szlochu. Ona starała się go uspokoić:

- Tak długą odbyliście drogę dzisiaj! Tak zziębliście i na pewno serce wam się kraje! To zupełnie zrozumiałe wieczorem po pochówku ojca, to przecież może przydarzyć się każdemu.

Kłótliwy przypatrywał się pięknej jasnowłosej kobiecie, uległej i niedostępnej, która leżała tu niby wcielenie kary piekielnej i spoglądała na niego ze współczuciem.

- To wina tej łajdaczki, tej kurwy... - powiedział. Eudelina cofnęła się, sądząc, że obelga godzi w nią.

- Chciałem, żeby ją skazano na śmierć po jej przestępstwie - mówił dalej przez zaciśnięte zęby. - Ojciec odmówił; mój ojciec mnie nie pomścił. A teraz ja sam jestem jak umarły... w tym łożu, gdzie odczuwam moje nieszczęście, gdzie nigdy nie będę mógł zasnąć!

- Ależ tak, Dostojny Panie Ludwiku - powiedziała godnie Eudelina, przyciągając go do siebie. - Ależ to jest wygodne łoże; to łoże króla. Aby wygnać to, co wam przeszkadza, trzeba wam tu położyć królową.

Była wzruszona, skromna, nie robiła wymówek, nie okazywała rozczarowania.

- Czy naprawdę tak myślisz, Eudelino?

- Ależ tak, Dostojny Panie Ludwiku, zapewniam was, w łożu króla potrzebna jest królowa - powtarzała.

- Może będę ją miał niebawem. Jest, zdaje się, blondynką jak ty.

- O, powiedzieliście mi wielki komplement - odparła Eudelina.

- Mówią, że jest bardzo piękna - ciągnął Kłótliwy ~ i wielkiej cnoty; mieszka w Neapolu...

- Ależ tak, Dostojny Panie Ludwiku, ależ tak, jestem pewna, że uczyni was szczęśliwym. Teraz trzeba wam wypocząć.

Po macierzyńsku podsunęła mu ciepłe ramię pachnące lawendą i słuchała, jak głośno marzy o nieznanej kobiecie, o tej dalekiej księżniczce, której miejsce daremnie dziś zajmuje. On pocieszał się złudzeniami przyszłości po dawnych niepowodzeniach i dzisiejszych porażkach.

- Ależ tak, Dostojny Panie Ludwiku, właśnie takiej małżonki jak ta wam potrzeba. Zobaczycie, jak poczujecie się przy niej w mocy...

Wreszcie umilkł. A Eudelina, nie śmiać się poruszyć, leżała, wpatrzona szeroko otwartymi oczami w trzy łańcuchy lampki nocnej, czekając świtu, by odejść.

Król Francji spał.

CZĘŚĆ DRUGA

Wilki żrą się między sobą

I

Ludwik Kłótliwy po raz pierwszy przewodniczy Radzie

Przez szesnaście lat Marigny zasiadał w ścisłej Radzie, w tym siedem po prawicy króla. Przez szesnaście lat służył temu samemu księciu i narzucał wraz z nim tę samą politykę. Przez szesnaście lat był pewny, że spotka tu wiernych przyjaciół i uległych poddanych. Tego ranka, ledwie przekroczył próg komnaty Rady, wiedział, że wszystko się zmieniło.

Wokół długiego stołu zasiadało tyluż prawie doradców co zazwyczaj, a z kominka rozchodził się po komnacie ten sam zapach palonego dębu. Ale miejsca inaczej przydzielono, względnie zajmowały je nowe osobistości.

Obok radców z tytułu prawa lub tradycji, jak książęta krwi lub konetabl Gaucher de Chatillon, Marigny nie dostrzegł ani Raula de Presles, ani Mikołaja Le Loquetier, ani Wilhelma Dubois, wybitnych legistów, wiernych sług Filipa Pięknego. Zastąpili ich ludzie tacy jak Stefan de Mornay, kanclerz hrabiego de Valois, albo Beraud de Mercoeur, wrzaskliwy wielmoża i od lat jeden z najzawziętszych wrogów królewskiej administracji.

Sam zaś Karol de Valois przywłaszczył sobie miejsce, na którym zwykle zasiadał Marigny.

Z dawnych sług „króla z żelaza”, prócz konetabla, pozostał jedynie eks-szambelan Hugo de Bouville, niewątpliwie dlatego, że pochodził z bardzo wysokiego rodu. Radcy pochodzenia mieszczańskiego zostali usunięci.

Marigny jednym spojrzeniem objął wszystkie obraźliwe i wrogie mu intencje, o których świadczyły układ i rozmieszczenie nowej Rady. Chwilę stał nieruchomo z lewą ręką pod szerokim podbródkiem na kołnierzu szaty, prawą przyciskając sakwę z dokumentami, jakby myślał: „Ach, tak! Czeka nas walka!”, i zbierał siły.

Później zwrócił się do Hugona de Bouville, ale tak, żeby wszyscy usłyszeli, i zapytał:

- Czy pan de Presles jest chory? Czy coś przeszkodziło panom de Bourdenai, de Briangon i Dubois, bo nie widzę żadnego z nich? Czy usprawiedliwili swoją nieobecność?

Gruby Bouville zawahał się, nim spuściwszy oczy odpowiedział:

- Nie mnie polecono zwołanie Rady, pan de Mornay się tym zajął.

Wtedy Valois rzekł z bezczelnością ledwie skrywaną, odchylając się na krześle, które sobie przywłaszczył:

- Nie zapomnieliście chyba, panie de Marigny, że król wzywa na Radę kogo chce, jak chce i kiedy chce. To prawo monarchy.

Marigny już miał odpowiedzieć, że choć w istocie prawem króla było wzywać na Radę, kogo mu się podoba, to również jego obowiązkiem było dobierać ludzi znających się na rzeczy, a kompetencje nie kształtują się z dnia na dzień.

Wolał jednak zachować te argumenty na lepszą okazję i na pozór spokojny zasiadł naprzeciw Valois, na pustym krześle po lewej stronie królewskiego fotela.

Otworzył sakwę z dokumentami, wyciągnął pergaminy i tabliczki, które położył przed sobą. Jego ręce, szczupłe i nerwowe, kontrastowały z ciężką postacią. Poszukał machinalnie pod blatem stołu haczyka, na którym zwykle zawieszał swoją sakwę, a nie znalazłszy go, powściągnął odruch rozdrażnienia.

Valois z tajemniczą miną rozmawiał ze swoim bratankiem Karolem Francuskim. Filip de Poitiers czytał, przysunąwszy do krótkowzrocznych oczu jakiś dokument podany mu przez konetabla, a dotyczący jednego z jego wasali. Ludwik d'Evreux milczał. Wszyscy byli czarno ubrani. Ale Dostojny Pan de Valois, mimo dworskiej żałoby, był tak wspaniale przyodziany jak zawsze; jego aksamitną szatę zdobiły srebrne hafty i ogonki gronostajów, które przystrajały go niczym konia przy karawanie. Nie miał przed sobą ani pergaminu, ani tabliczki, drugorzędną funkcję czytania i pisania pozostawił swemu kanclerzowi; on sam zadowalał się przemawianiem.

Drzwi królewskich apartamentów otworzyły się i pojawił się Mateusz de Trye, oznajmiając:

- Panowie, król!

Valois powstał pierwszy i skłonił się z uległością tak wyraźnie zaznaczoną, aż zmieniła się w majestatyczną opiekę. Kłótliwy powiedział:

- Wybaczcie, panowie, moje spóźnienie...

Urwał natychmiast, niezadowolony z głupiego oświadczenia. Zapomniał, że jest królem i że powinien był ostatni przyjść na Radę; znów ogarnęła go pełna trwogi niemoc, jak wczoraj w Saint-Denis, jak w nocy w ojcowskim łożu.

Oto nareszcie wybiła godzina, aby dowiódł, że jest królem. Lecz cechy króla nie zjawiają się na zawołanie. Ludwik z zaczerwienionymi oczyma, machając rękoma, stał w miejscu. Zapomniał usiąść i kazać usiąść Radzie.

Mijały sekundy; cisza stała się uciążliwa.

Mateusz de Trye zrobił właściwy ruch; ostentacyjnie podsunął fotel królewski. Ludwik usiadł i wyszeptał:

- Siadajcie, panowie.

Ujrzał w wyobraźni swego ojca w tym samym miejscu i machinalnie przyjął jego pozę z rękami płasko leżącymi na poręczy fotela. To mu dodało trochę pewności siebie. Zwracając się do hrabiego de Poitiers, powiedział:

- Mój bracie, moje pierwsze postanowienie dotyczy was. Kiedy zakończy się żałoba na dworze, zamierzam nadać wam tytuł para jako hrabiemu de Poitiers, abyście zasiedli w gronie parów i pomogli mi dźwigać ciężar korony.

Następnie zwrócił się do drugiego brata:

- Wam, Karolu, mam wolę dać w lenno i jako apanaże hrabstwo Marchii z prawami i dochodami, jakie z nim są związane.[6]

Obaj książęta powstali i podeszli z jednej i drugiej strony królewskiego fotela, każdy z nich ucałował dłoń starszego brata na znak wdzięczności. Zarządzenia, które ich dotyczyły, nie były ani wyjątkowe, ani nieoczekiwane. Przyznanie tytułu para pierwszemu bratu króla leżało niejako w zwyczaju; równocześnie już od dawna było wiadomo, że hrabstwo Marchii, odkupione przez Filipa Pięknego od Lusignanów, miało przypaść młodemu Karolowi.

Niemniej Dostojny Pan de Valois napuszył się, jakby inicjatywa pochodziła od niego, i zrobił w kierunku obu książąt nieznaczny gest, który miał znaczyć: „Widzicie, jak dobrze dla was pracowałem".

Natomiast Ludwik X nie był taki zadowolony, bo rozpoczynając naradę zaniedbał złożyć hołd pamięci swego ojca i powiedzieć o ciągłości władzy. Dwa piękne zdania, które przygotował, wywietrzały mu z głowy, a teraz nie umiał nawiązać.

Zapanowała znów cisza, przykra i uciążliwa. Kogoś zbyt oczywiście brakowało na zebraniu: zmarłego. Enguerrand de Marigny patrzył na młodego króla i wyraźnie oczekiwał, aż ten powie: „Panie, zatwierdzam was w waszych obowiązkach koadiutora i generalnego rektora królestwa".

Ponieważ tak się nie stało, Marigny postąpił, jakby to zostało powiedziane, i zapytał:

- O jakich sprawach, Sire, pragniecie być poinformowani? O wpływach z opłat i podatków, o stanie Skarbca, o rozporządzeniach Parlamentu, o głodzie, który grasuje na prowincjach, o stanie garnizonów, o sytuacji we Flandrii, o prośbach przedłożonych przez waszych baronów z Burgundii i z Szampanii?

To wyraźnie oznaczało: „Sire, oto sprawy, którymi się zajmuję, i wielu jeszcze innymi, mógłbym je wam wyliczać kolejno jak różaniec. Czy sądzicie, że zdolni jesteście obejść się beze mnie?".

Kłótliwy obrócił się ku stryjowi Valois, żebrząc miną o poparcie.

- Panie de Marigny, król nie w tych sprawach nas zwołał - rzekł Valois - później się nimi zajmie.

- Jeśli nie powiadomiono mnie o przedmiocie Rady, Dostojny Panie, to jakże mogę zgadnąć - odparł Marigny.

- Król, panowie - mówił dalej Valois, jakby nie przywiązywał najmniejszego znaczenia do tej uwagi - król życzy sobie wysłuchać was w sprawie pierwszej troski, jaką winien mieć dobry monarcha, a mianowicie: swego potomstwa i następstwa tronu.

- Otóż to, panowie - powiedział Kłótliwy, siląc się na wzniosły ton. - Moim pierwszym obowiązkiem jest zabezpieczyć następstwo tronu, ale potrzebna mi żona...

I tu utknął. Valois kontynuował przemówienie:

- Król uznaje, że powinien już teraz przygotować się do wyboru małżonki, a uwaga jego padła na Panią Klemencję Węgierską, córkę Karola Martela i bratanicę króla Neapolu. Życzymy sobie wysłuchać waszej rady, zanim wyślemy poselstwo.

To „życzymy sobie" przykro dotknęło kilku spośród zebranych. Więc to Dostojny Pan de Valois rządzi?

Filip de Poitiers nachylił twarz ku hrabiemu d'Evreux.

- Oto więc - szepnął - dlaczego namaszczono mi uszy parostwem.

Później zapytał głośno:

- Co sądzi o tym projekcie pan de Marigny?

Postępując tak, świadomie popełnił nietakt w stosunku do starszego brata, bo tylko monarcha - i li tylko on sam - miał prawo pytać swych doradców o zdanie. Nikt nie poważyłby się na podobne uchybienie na Radzie króla Filipa. Dziś jednak każdy zdawał się rozkazywać, a ponieważ stryj nowego króla miał czelność wynosić się ponad Radę, brat mógł również pozwolić sobie na podobną swobodę. Marigny pochylił nieco swój masywny tors.

- Pani Węgierska na pewno ma wszelkie dane na królową - rzekł - ponieważ na niej zatrzymała się myśl króla. Ale prócz tego, że jest bratanicą Dostojnego Pana de Valois, co oczywiście wystarcza, abyśmy ją pokochali, nie widzę w tym związku zbyt wielu korzyści dla królestwa. Ojciec jej, Karol Martel, nie żyje już od dawna, a był królem Węgier tylko z imienia, brat jej Karobert... - W odróżnieniu od Karola de Valois wymawiał imiona z francuska - ...brat jej Karobert zdołał wreszcie w ubiegłym roku, po piętnastu latach zabiegów i wypraw, przywdziać tę madziarską koronę, która nie siedzi mu zbyt mocno na głowie. Wszystkie lenna i księstwa domu Andegawenów zostały już rozdane w rodzinie tak licznej, że rozlewa się po świecie jak oliwa po obrusie; można będzie sądzić wkrótce, że dynastia francuska jest tylko gałęzią linii andegaweńskiej.[7] Nie można oczekiwać po takim małżeństwie żadnego powiększenia terytorium, jak tego zawsze życzył sobie król Filip, ani żadnej pomocy w czasie wojny, bo wszyscy ci dalecy książęta są dostatecznie zajęci utwierdzaniem się na swych posiadłościach. Innymi słowy, Sire, jestem pewien, że wasz ojciec sprzeciwiłby się temu związkowi, którego wiano składa się raczej z obłoków niż z włości.

Dostojny Pan de Valois spurpurowiał, a kolano jego niespokojnie dygotało pod stołem. Każde zdanie Marigny'ego zawierało perfidię wycelowaną w niego.

- Łatwa to dla was gra, panie - wykrzyknął - mianować się heroldem tego, kto spoczywa w grobie. Ja się wam przeciwstawiam, bo cnota królowej warta jest więcej niż prowincje. Te prześliczne związki z Burgundią, któreście tak zręcznie skojarzyli, nie dały aż takich korzyści, aby trzeba było jeszcze zasięgać waszego sądu w tej materii. Hańba i kłopot, oto co z tego wynikło.

- Tak, tak jest właśnie! - porywczo oświadczył Kłótliwy.

- Sire - odpowiedział z odcieniem znużenia i wzgardy Marigny - byliście bardzo młodzi, kiedy wasz ojciec zadecydował o waszym małżeństwie; a Dostojny Pan de Valois nie wydawał mu się wrogim ani wówczas, ani później, ponieważ przed niespełna dwoma laty wybrał na żonę własnego syna rodzoną siostrę waszej małżonki, żeby w ten sposób do was się przybliżyć.

Valois odczuł cios i żyłki na twarzy wystąpiły mu wyraźniej. W istocie sądził, że zręcznie będzie połączyć swego najstarszego syna, Filipa, z młodszą siostrą Małgorzaty, z tą, którą nazywano Joanną Małą albo Kulawą, bo miała jedną nogę krótszą.[8]

- Cnota kobiety jest rzeczą niepewną, Sire - ciągnął dalej Marigny - tak samo jak przemijająca jest jej uroda; ale prowincje pozostają. Królestwo w tych czasach więcej zyskało terytoriów w wyniku małżeństw niż na skutek wojen. W ten sposób Dostojny Pan de Poitiers posiada Franche-Comte, w ten sposób...

- Czy ta Rada - brutalnie przerwał Valois - ma zejść na wysłuchiwaniu, jak pan de Marigny wyśpiewuje własne pochwały, czy też na pchnięciu naprzód zamiarów króla?

- Aby to uczynić - równie gwałtownie odparł Marigny - należałoby nie umieszczać wozu przed zaprzęgiem. Można marzyć o wszystkich księżniczkach na ziemi dla króla i dobrze rozumiem, że ogarnia go niecierpliwość, ale trzeba zacząć od rozwodu z małżonką, którą posiada. Jak się zdaje, Dostojny Pan d'Artois nie przywiózł z zamku Gaillard oczekiwanych przez was odpowiedzi. Unieważnienie wymaga więc, aby był papież...

- ...Papież, którego nam przyrzekacie od sześciu miesięcy, Marigny, ale który jeszcze nie wyszedł z nieistniejącego konklawe. Wasi wysłannicy tak pilnie dręczyli i defenestrowali kardynałów w Carpentras, że ci uciekali przez wieś, podkasawszy sutanny. Nie macie tu powodu obwieszczać tak bardzo waszej chwały! Gdybyście okazali więcej umiaru i szacunku dla sług Boga, który jest wam całkiem obcy, mielibyśmy mniejszy kłopot.

- Unikałem aż do dziś wyboru papieża, który byłby tylko kreaturą książąt z Rzymu czy też z Neapolu, ponieważ król Filip chciał papieża, który mógłby służyć Francji.

Ludźmi zakochanymi we władzy kieruje przede wszystkim wola oddziaływania na świat, tworzenia wydarzeń i wykazania własnej racji. Dla nich bogactwo, zaszczyty, wyróżnienia są tylko narzędziem ich działalności. Marigny i Valois należeli do tej oto kategorii.

Zawsze ścierali się ze sobą i tylko Filip Piękny umiał utrzymać ich w zasięgu ramienia i posługiwać się skutecznie zarówno politycznym rozumem legisty, jak i talentem wojskowym księcia krwi. Spór natomiast przerastał Ludwika X, był on całkowicie niezdolny go rozstrzygnąć.

W dyskusję wmieszał się hrabia d'Evreux, usiłując załagodzić spór, i wysunął sugestię, która mogła pogodzić obie strony.

- A gdybyśmy jednocześnie z przyrzeczeniem ręki Pani Klemencji uzyskali zgodę króla Neapolu na kardynała francuskiego jako kandydata na papieża?

- Wtedy zapewne, Dostojny Panie - odrzekł spokojnie Marigny - taki układ miałby sens; ale bardzo wątpię, czy się to osiągnie.

- Niczego nie ryzykujemy, próbując. Wyślijmy poselstwo do Neapolu, o ile król sobie tego życzy.

- Oczywiście, Dostojny Panie.

- Bouville, wasza rada? - zapytał nagle król, aby dowieść, że sprawę bierze w swoje ręce.

Zażywny Bouville drgnął. Był świetnym, czujnym na wydatki szambelanem i wzorowym majordomem, ale nie miał zbyt lotnego umysłu; na Radzie Filip Piękny zwracał się do niego tylko z poleceniem, aby otworzył okna.

- Sire - powiedział - pojmiecie żonę ze szlachetnego rodu, w którym wiernie przestrzega się rycerskich tradycji. Będziemy mieć zaszczyt służyć królowej...

Urwał, powstrzymany wzrokiem Marigny'ego, który zdawał się mówić: „Ty mnie zdradzasz, Bouville!".

Bouville'a i Marigny'ego łączyły stare i trwałe więzy przyjaźni. Marigny rozpoczął służbę jako giermek u ojca Bouville'a, Hugona II, wówczas wielkiego szambelana, który później został zabity pod Mons-en-Pevele na oczach Filipa Pięknego. W ciągu swej niezwykłej kariery Enguerrand zawsze pozostał wierny synowi swego pierwszego seniora. Bouville'owie należeli do najwyższej arystokracji. Urząd szambelana, a nawet wielkiego szambelana, był poniekąd dziedziczny w ich rodzie już od wieku. Hugo III był następcą swego brata Jana. Ten zaś objął urząd po ojcu, Hugonie II. Bouville z natury i przez atawizm był tak oddanym sługą Korony i tak był olśniony królewskim majestatem, że gdy król doń przemawiał, mógł tylko przytaknąć. Nie miało znaczenia, że Kłótliwy był głupcem i warchołem; z chwilą gdy został królem, Bouville był gotów przerzucić na jego osobę całą gorliwość, z jaką służył Filipowi Pięknemu.

Ta skwapliwość niezwłocznie została nagrodzona, bo Ludwik X postanowił, że to właśnie Bouville pojedzie do Neapolu. Wybór zadziwił, ale nie wzbudził sprzeciwu. Valois, wyobrażając sobie, że wszystko załatwi po cichu listownie, uważał, że człowiek przeciętny, lecz uległy, będzie takim posłem, jaki mu odpowiada. Zaś Marigny myślał: „Wyślijcie Bouville'a. Ma tyleż zdolności do prowadzenia układów, co pięcioletni dzieciak. Sami wkrótce zobaczycie, co z tego wyniknie".

Tak oto zacny sługa, oblany rumieńcem, został obdarzony zaszczytną misją, której nie oczekiwał.

- Pamiętajcie, Bouville, że potrzebny nam jest papież - rzekł młody król.

- Sire, tylko o tym będę myślał.

Ludwik X nagle jął nabierać autorytetu; chciał, aby jego poseł już ruszył w drogę.

- Wracając zatrzymacie się w Awinionie - mówił dalej - i postaracie się przyspieszyć konklawe. A ponieważ kardynałowie, jak się zdaje, są ludźmi, których trzeba kupić, niech pan de Marigny zaopatrzy was w złoto.

- Gdzie mam pobrać to złoto, Sire? - zapytał ten ostatni.

- Ależ... ze Skarbca, rzecz oczywista!

- Skarbiec jest pusty, Sire, to znaczy są tam resztki ledwie wystarczające,

aby pokryć zobowiązania od dziś do świętego Mikołaja i oczekiwać na nowe wpływy, ale nic poza tym.

- Jak to, Skarbiec jest pusty, panie? - wykrzyknął Valois. - A czemu nie powiedzieliście o tym wcześniej?

- Chciałem od tego zacząć, Dostojny Panie, ale wyście mi przerwali.

- A dlaczego, waszym zdaniem, znaleźliśmy się w takiej nędzy?

- Dlatego, że opłaty podatkowe słabo wpływają, kiedy ściąga się je z głodującego ludu. Dlatego, że baronowie, jak sami wiecie najlepiej, Dostojny Panie... uchylają się od wnoszenia opłat. Dlatego, że pożyczka udzielona przez lombardzkie kompanie posłużyła na zapłacenie żołdu tymże baronom za ostatnią wyprawę na Flandrię, tę wyprawę, którą wyście tak usilnie doradzali...

- ...a którą wy, panie, zakończyliście samowolnie, zanim nasi rycerze mogli uzyskać sławę, a finanse korzyści. Jeśli królestwo nie wyciągnęło zysków z pospiesznych traktatów, które zawarliście w Lille, to wyobrażam sobie, że nie działo się podobnie w waszym wypadku, bo nie leży w waszym zwyczaju zapominać o sobie w targach, które prowadzicie. Doświadczyłem tego na własnej skórze.

Ostatnie słowa stanowiły aluzję do wzajemnej wymiany dóbr Gaillefontaine i Champrond, jakiej dokonali przed czterema laty, zresztą na żądanie Valois, który uważał się za wywiedzionego w pole. Ich wielka waśń datowała się od tego czasu.

- To nie przeszkadza - rzekł Ludwik X - żeby pan de Bouville ruszył w drogę najwcześniej.

Marigny jakby nie słyszał słów króla. Powstał i wszyscy odczuli jak najwyraźniej, że wydarzy się rzecz nieodwracalna.

- Sire, pragnąłbym, aby Dostojny Pan de Valois wyjaśnił, co zamierzał powiedzieć o sprawie traktatów w Lille i Marquette, albo żeby cofnął swoje słowa.

Upłynęło kilka sekund bez najlżejszego szmeru w komnacie Rady. Później Dostojny Pan de Valois powstał, potrząsając ogonkami gronostajów, które zdobiły mu ramiona i pas.

- Panie, oświadczam wam to, co każdy mówi za waszymi plecami, a mianowicie, że Flamandowie wykupili u was wycofanie się naszych chorągwi, a wy włożyliście do własnego worka pieniądze, które powinny były wpłynąć do Skarbca.

Marigny ze ściśniętymi szczękami, ospowatą twarzą zbielałą od gniewu i oczami patrzącymi w dal przypominał swój posąg w Galerii Kramarzy.

- Sire - rzekł - usłyszałem dziś więcej, niż człowiek honoru potrafiłby wysłuchać przez całe swoje życie. Zawdzięczam własne dobra tylko łasce króla, waszego ojca, którego byłem sługą we wszystkich sprawach i zastępcą przez lat szesnaście. Zostałem przed wami oskarżony o przeniewierkę i znoszenie się z wrogami królestwa. Ponieważ żaden głos tutaj, a wasz przede wszystkim, nie podnosi się, aby mnie bronić przed podobną podłością, proszę was o mianowanie komisji do sprawdzenia moich rachunków, za które jestem odpowiedzialny przed wami, i li tylko przed wami.

Mierni książęta tolerują w otoczeniu tylko pochlebców, którzy kryją

przed nimi ich miernotę. Postawa Marigny'ego, jego ton, nawet jego obecność zbyt wyraźnie przypomniały młodemu królowi, że nie dorósł do poziomu swego ojca.

Ludwik X również wpadł w gniew i krzyknął:

- Dobrze! Ta komisja będzie mianowana, ponieważ wy sami tego żądacie!

Tym słowem zerwał z jedynym człowiekiem zdolnym rządzić miast niego i kierować jego panowaniem. Francja długie lata miała płacić za ten wyskok humoru.

Marigny zabrał swą sakwę, włożył do niej dokumenty i skierował się ku drzwiom. Jego gesty rozdrażniły jeszcze bardziej Kłótliwego, który rzucił:

- A do tego czasu raczcie nie zajmować się naszym Skarbcem.

- Będę się tego wystrzegał, Sire - rzekł Marigny już z progu.

Usłyszano, jak kroki jego oddalają się w przedpokoju.

Niemal zdziwiony szybkością wykonania planu, Valois triumfował.

- Popełniliście błąd, bracie - rzekł doń hrabia d'Evreux - nie zadaje się gwałtu takiemu człowiekowi, i to w taki sposób.

- Miałem wielką rację, mój bracie - odparł Valois - i niebawem będziecie mi za to wdzięczni. Ten Marigny to wrzód na obliczu królestwa, trzeba było przyspieszyć jego pęknięcie.

- Mój stryju - zapytał Ludwik, powracając z niecierpliwością do swojej jedynej troski - kiedy wyślecie w drogę nasze poselstwo na dwór w Neapolu?

Gdy tylko Valois obiecał, że wyśle Bouville'a w tym tygodniu, król natychmiast zamknął obrady. Był niezadowolony ze wszystkiego i ze wszystkich, bo w istocie rzeczy był niezadowolony z samego siebie.

II

Enguerrand de Marigny

Poprzedzany jak zwykłe przez dwóch portierów w randze sierżantów, trzymających w ręku kije zakończone kwiatem lilii, eskortowany przez sekretarzy i giermków, Enguerrand de Marigny, wracając do domu, dławił się z wściekłości: „Ten łajdak, ten żarłoczny szczupak oskarża mnie o frymarczenie traktatami! Zarzut to tym przykrzejszy, że pochodzi od niego, co całe życie przeżył sprzedając się temu, kto da więcej... A ten królik, z móżdżkiem jak mucha i z żądłem jak osa, ani słowem nie odezwał się do mnie, tylko odebrał mi zarząd Skarbcem!”.

Szedł nie widząc ani ulic, ani ludzi. Rządził ludźmi z tak wysoka i od tak dawna, że zatracił zwyczaj patrzenia na nich. Paryżanie ustępowali mu z drogi, kłaniali się, powiewali czapkami, a później śledzili go wzrokiem, wymieniając jakąś gorzką uwagę. Nie był albo już przestał być lubiany.

Dotarłszy do swego pałacu przy ulicy Fosses-Saint-Germain, przeciął dziedziniec pospiesznym krokiem, rzucił płaszcz w pierwsze lepsze wyciągnięte ręce i wciąż trzymając swoją sakwę z dokumentami, wszedł po krętych schodach.

Wszędzie masywne skrzynie, wielkie świeczniki, grube kobierce, ciężkie obicia; pałac był umeblowany tylko sprzętami solidnymi i trwałymi. Armia pachołków czekała tu skinienia pana i armia kleryków pracowała tu w służbie królestwa.

Enguerrand pchnął drzwi wiodące do komnaty, w której wiedział, że zastanie żonę. Haftowała w kącie przy kominku; przy niej siedziała jej siostra, pani de Chanteloup, gadatliwa wdowa. Dwie karłowate drżące lewretki włoskie skakały u ich stóp.

Pani de Marigny, widząc twarz męża, od razu zaniepokoiła się:

- Drogi mój, co się stało? - zapytała.

Alpis de Marigny, z domu de Mons, już blisko pięć lat żyła w podziwie dla tego mężczyzny, którego była drugą żoną, i pałała doń uczuciem bezustannym i namiętnym.

- Stało się to, że gdy zabrakło króla Filipa, który by trzymał ich pod batem, psy rzuciły się na mnie.

- Czy mogę wam pomóc w jakiś sposób?

Podziękował jej, ale tak twardo i dorzucając ponadto, że sam wie dość dobrze, jak ma postępować, iż łzy napłynęły do oczu młodej kobiety. Wtedy Marigny pochylił się, by pocałować jej czoło, i wyszeptał:

- Wiem dobrze, Alpis, że tylko ty jedna kochasz mnie naprawdę!

Później przeszedł do swego gabinetu, rzucił sakwę z dokumentami na skrzynię. Chwilę chodził od okna do okna, żeby rozsądek miał czas zapanować nad gniewem.

„Odebraliście mi Skarbiec, młody królu, ale zapomnieliście o reszcie.

Poczekajcie więc; nie złamiecie mnie tak łatwo”.

Potrząsnął dzwoneczkiem.

- Czterech sierżantów, szybko - rozkazał portierowi, który się pojawił.

Weszli sierżanci wezwani z kordegardy. Marigny wydał im rozkazy:

- Ty idź do Luwru, po pana Alaina de Pareilles. Ty po mego brata arcybiskupa, powinien dziś być w pałacu biskupim. Ty po panów Dubois i Raula de Presles, ty po pana Le Loquetier. Gdyby nie było ich w domu, starajcie się odszukać. Powiedzcie wszystkim, że ich oczekuję, i to natychmiast.

Po wyjściu czterech ludzi odchylił portiery i otworzył drzwi wiodące do pokoju prywatnych sekretarzy.

- Kogoś do dyktanda.

Przybył kleryk, dźwigając pulpit z piórami.

Marigny, stojąc plecami do ognia, zaczął dyktować:

Do wielce potężnego, wielce umiłowanego, wielce groźnego Sire Edwarda, króla Anglii, diuka Akwitanii... w stanie, w jakim znajduję się po powrocie do Boga mego pana, władcy i suzerena, nieodżałowanego króla Filipa, największego monarchy, jakiego posiadało królestwo, uciekam się do Was, aby Wam donieść o sprawach dotyczących dobra obu narodów…

Przerwał, aby znowu potrząsnąć dzwoneczkiem. Pojawił się woźny. Marigny rozkazał mu sprowadzić Ludwika de Marigny, swego syna. Później dalej dyktował list.

Od 1308 roku, od ślubu Izabeli Francuskiej z Edwardem II Angielskim, Marigny miał okazję oddać temu królowi wiele przysług politycznych lub osobistych.

Sytuacja w księstwie Akwitanii była zawsze trudna i napięta na skutek szczególnego statutu tego olbrzymiego francuskiego lenna we władaniu obcego monarchy. Przeszło sto lat wojen, nieustannych waśni, spornych lub nie uznawanych traktatów pozostawiło swe ślady. Kiedy wasale z Gujenny, kierując się własnym interesem lub rywalizacją, zwracali się do jednego lub drugiego monarchy, Marigny zawsze usiłował uniknąć konfliktu. Kiedy Izabela uskarżała się na sprzeczne z naturą obyczaje męża i wymawiała mu jego faworytów, z którymi żyła w otwartej walce, Marigny, w imię dobra obu królestw, zalecał spokój i cierpliwość. Wreszcie finanse Anglii znajdowały się często w kłopotliwej sytuacji. Kiedy Edward bywał już prawie bez grosza, Marigny załatwiał mu udzielenie pożyczki.

W podzięce za tyle interwencji Edward w ubiegłym roku wynagrodził koadiutora, wyznaczając mu dożywotnią pensję w wysokości tysiąca liwrów.[9]

Dzisiaj Marigny z kolei odwoływał się do króla angielskiego i prosił go o wsparcie. Zależało mu na utrzymaniu dobrych stosunków między obu królestwami, aby Francja nie zmieniła swej polityki.

... O ważniejszą rzecz chodzi, Sire, niż o łaski dla mnie, czy też moje dobra; Wy pojmiecie, iż chodzi o pokój między państwami, i w tej sprawie

jestem i będę Waszym najwierniejszym sługą.

Kazał przeczytać list i wniósł kilka poprawek.

- Przepisać i przedłożyć mi do podpisu.

- Czy list ma zostać wysłany przez jeźdźców, Dostojny Panie? - zapytał sekretarz.

- Nie, nie. I zapieczętuję moją małą pieczęcią.

Sekretarz wyszedł. Marigny rozpiął górę swej szaty; od wytężonego działania nabrzmiała mu szyja.

„Biedne królestwo - myślał. - W jaki zamęt i nędzę je wepchną, jeżeli ja się nie sprzeciwię! Czyżbym tyle czynił po to tylko, by widzieć, jak moje wysiłki poszły na marne!".

Ludzie, którzy przez bardzo długi czas sprawowali władzę, identyfikują się w końcu ze swoim urzędem i uważają za bezpośredni zamach na rację stanu każdy zamach na własną osobę. Marigny był gotów - nie zdając sobie wcale z tego sprawy - działać na szkodę królestwa, z chwilą gdy ograniczono mu możność kierowania państwem.

W takim nastroju powitał swego brata, arcybiskupa.

Jan de Marigny, wysoki, owinięty fioletowym płaszczem, miał wystudiowaną zawsze postawę, która nie podobała się koadiutorowi. Enguerrand zapragnął powiedzieć młodszemu bratu: „Przybierz tę minę wobec swoich kanoników, jeżeli tak ci się podoba, ale nie wobec mnie, bo widziałem, jak się zapluwałeś i smarkałeś we własne palce".

W dziesięciu zdaniach streścił mu przebieg narady, którą przed chwilą opuścił, i przekazał polecenia tonem nieznoszącym sprzeciwu, jakim przemawiał do swych urzędników.

- Na razie nie chcę wyboru papieża, bo jak długo nie ma papieża, ten złośliwy królik jest w moim ręku. Żadnych więc zgromadzeń kardynałów, gotowych wysłuchać Bouville'a, kiedy już będzie wracał z Neapolu. Precz ze spokojem w Awinionie. Mają się kłócić i żreć między sobą. Zrobicie wszystko, co należy, mój bracie, by tak było.

Jan de Marigny początkowo okazywał oburzenie, słuchając słów Enguerranda, ale spochmurniał natychmiast, gdy brat wzmiankował o konklawe. Chwilę rozważał, oglądając swój pierścień biskupi.

- No więc, bracie? Oczekuję waszego potwierdzenia - rzekł Enguerrand.

- Mój bracie, jak wiecie, niczego bym tak nie pragnął, jak być wam pomocnym we wszystkich sprawach, ale sądzę, że jeszcze skuteczniej wspierałbym was, gdybym został pewnego dnia kardynałem. Otóż siejąc więcej niezgody, niż tam się już teraz pleni, mógłbym bardzo się narazić na utratę przyjaźni tego lub innego kandydata na papieża. Na przykład Francesca Gaetani, gdyby to on później został wybrany; odmówiłby mi wtedy kapelusza...

Enguerrand wybuchnął:

- Wasz kapelusz! Oto czas odpowiedni, żeby o nim bajać! Wasz kapelusz... jeśli kiedykolwiek go otrzymacie, mój biedny Janie, to ja wam go włożę na głowę, jak już na nią wcisnąłem mitrę. Ale jeżeli głupie obrachunki każą wam oszczędzać moich przeciwników, jak tego Gaetaniego, to oświadczam, że wkrótce będziecie nie tylko bez kapelusza,

ale jako nędznego mnicha ześlą was do jakiegoś klasztoru. Za prędko zapominacie, Janie, co mi zawdzięczacie i z jakich was wyciągnąłem tarapatów ledwie dwa miesiące temu za ten handel skarbami templariuszy, któryście uprawiali. A przy okazji... - dorzucił, a jego spojrzenie pod gęstymi brwiami zaiskrzyło się, stało się jeszcze bardziej przeszywające -... przy tej okazji: czy udało wam się zniszczyć dowody, jakie nierozsądnie pozostawiliście u bankiera Tolomei, a którymi posłużyli się Lombardowie, żeby mnie ugiąć?

Arcybiskup kiwnął głową, co można było zrozumieć jako potwierdzenie; ale natychmiast stał się bardziej uległy i poprosił brata, aby ten udzielił mu instrukcji bardziej szczegółowych.

- Wyślijcie do Awinionu dwóch emisariuszy duchownych - podjął Enguerrand - absolutnie pewnych, to znaczy zdanych na waszą łaskę. Każcie im rozjeżdżać się od Carpentras i Chateauneuf do Orange, wszędzie, gdziekolwiek są kardynałowie; niech rozsiewają, jakoby całkowicie pewne wiadomości pochodzące z dworu Francji, jednak zupełnie sprzeczne. Jeden oznajmi francuskim kardynałom, że nowy król zezwoli na powrót Stolicy Apostolskiej do Rzymu; drugi powie Włochom, że skłonni jesteśmy osadzić papiestwo jeszcze bliżej Paryża, aby jeszcze bardziej je od nas uzależnić. Co zresztą jest prawdą, i to w obu przypadkach, ponieważ król nie jest zdolny wydać sądu o tych sprawach, zaś Valois chce widzieć papieża w Rzymie, a ja we Francji. Król ma w głowie tylko unieważnienie swego małżeństwa i nie widzi dalej własnego nosa. Otrzyma je, ale tylko wtedy, kiedy ja zechcę, i od takiego papieża, który mi będzie odpowiadał... Na razie więc opóźniamy elekcję. Czuwajcie, by wasi dwaj wysłannicy nie mieli ze sobą styczności; byłoby pożądane, żeby się wcale nie znali.

Po tych słowach odprawił brata, aby przyjąć swego syna Ludwika, który czekał w przedpokoju. Ale kiedy młody człowiek wszedł, Marigny chwilę stał w milczeniu. Rozmyślał ze smutkiem i goryczą: „Jan mnie zdradzi, skoro będzie pewny, że mu to przyniesie zysk...".

Ludwik de Marigny był szczupłym chłopcem o pięknej postawie i ubierał się wytwornie. Z rysów twarzy trochę przypominał swego stryja arcybiskupa.

Jako syn męża stanu, przed którym kłoniło się całe królestwo, a co więcej chrześniak nowego króla, młody Marigny nie znał ani walk, ani wysiłków. Chociaż okazywał, oczywiście, podziw i szacunek dla ojca, w skrytości cierpiał z powodu jego brutalnej apodyktyczności oraz sposobu bycia, który świadczył, iż człowiek ten doszedł do władzy dzięki swoim zasługom. Mało brakowało, a zarzucałby ojcu, że nie pochodzi z dość wysokiego rodu.

- Ludwiku, szykujcie się - powiedział Enguerrand - wyjedziecie niezwłocznie do Londynu, aby doręczyć list.

Twarz młodego człowieka spochmurniała.- Czy nie można by zaczekać do pojutrza, mój ojcze, lub czy ktoś nie mógłby mnie zastąpić? Mam jutro polować w Lasku Bulońskim... małe polowanko, bo żałoba, ale...

- Polować! Myślicie tylko o polowaniu! - krzyknął Marigny. - Czyż nigdy nie mogę zażądać najmniejszej usługi od swoich i żeby nie stawali

dęba ci, dla których robię wszystko? Wiedz, że to na mnie teraz polują, aby obedrzeć mnie ze skóry, a razem ze mną i was... Gdyby wystarczał mi byle jeździec, pomyślałbym o tym sam. Do króla Anglii was wysyłam, abyście oddali list z ręki do ręki, żeby nie krążył w odpisach, które wiatr mógłby przywiać także i tu. Król Anglii! Czy to dość schlebia waszej dumie, żeby wyrzec się polowania?

- Wybaczcie mi, ojcze - odpowiedział Ludwik de Marigny - słucham waszych poleceń.

- Doręczając mój list królowi Edwardowi, przypomnijcie mu, że wyróżnił was tamtego roku w Maubuisson, i powiedzcie to, czego nie napisałem, a mianowicie, że Karol de Valois knuje plany, żeby ożenić powtórnie naszego króla z księżniczką neapolitańską, to zaś zmierza do aliansów z Południem raczej niż z Północą. To wszystko. Rozumiecie mnie. A gdy król Edward zapyta, co może dla mnie zrobić, powiedzcie mu, że wspomógłby mnie najlepiej, gdyby mnie usilnie polecił królowi Ludwikowi, swemu szwagrowi... Weźcie, ilu trzeba giermków i szafarzy, ale nie jedźcie ze zbyteczną książęcą okazałością. I każcie skarbnikowi wydać wam sto liwrów.

Ktoś kilkakrotnie zapukał do drzwi.

- Pan de Pareilles przybył - oznajmił odźwierny.

- Niech wejdzie... Żegnajcie, Ludwiku. Mój sekretarz zaniesie wam list. Niech Pan czuwa nad wami w czasie drogi.

Enguerrand de Marigny uściskał syna z niezwykłą u niego serdecznością. Później zwrócił się do Alaina de Pareilles, który właśnie wchodził, ujął go za ramię i rzekł, wskazując mu krzesło przed kominkiem:

- Ogrzej się, Pareilles.

Naczelny dowódca łuczników miał włosy koloru stali, wiek i wojna poorały mu twarz w bruzdy, zaś jego oczy widziały tyle walk, zamachów, buntów, tortur i egzekucji, że nic już nie mogło ich zadziwić. Wisielcy na szubienicach w Montfaucon byli dla niego codziennym widowiskiem. W bieżącym tylko roku powiódł na stos wielkiego mistrza templariuszy, zaprowadził na szafot braci d'Aunay, księżniczki z domu królewskiego zawiózł do więzienia.

Dowodził korpusem łuczników i załogami we wszystkich warowniach. Do niego należało utrzymanie ładu w królestwie, wykonywanie wyroków sądowych w sprawach politycznych i kryminalnych. Marigny, który nie używał słowa „ty" w stosunku do kogokolwiek z własnej rodziny, tykał tego starego druha - niezawodne, bezbłędne, nie znające słabości narzędzie władzy państwa.

- Dwa polecenia dla ciebie, Pareilles - rzekł Marigny - i oba dotyczą nadzoru warowni. Najpierw proszę, żebyś udał się do zamku Gaillard i wyłajał tego osła strażnika... Jak mu tam na imię?

- Bersumee, Robert Bersumee.

- Powiedz więc temu Bersumee, żeby dokładniej stosował się do otrzymanych instrukcji. Dowiedziałem się, że był tam Robert d'Artois i uzyskał dostęp do Pani Burgundzkiej. To jest sprzeczne z rozkazami. Królowa, jeżeli tak ją można nazwać, została skazana na mur, to znaczy na ścisłą izolację. Żaden glejt nie uprawnia do widzenia się z nią, chyba z

pieczęcią moją albo twoją. Jedynie król mógłby ją odwiedzić, ale bardzo wątpię, żeby go naszła taka chętka. Więc ani posłów, ani listów. I niechaj osioł wie, że obetnę mu uszy, jeżeli nie będzie posłuszny.

- Co sobie życzysz, Dostojny Panie, aby stało się z Małgorzatą Burgundzką? - zapytał Pareilles.

- Nic. Niech żyje. Służy mi za zakładniczkę i chcę ją jako taką zachować. Bacznie czuwać nad jej bezpieczeństwem. W miarę potrzeby złagodzić wikt i polepszyć warunki życia, o ile miałyby zaszkodzić jej zdrowiu... Po drugie: natychmiast po powrocie z zamku Gaillard skoczysz na Południe z trzema kompaniami łuczników, których osadzisz w forcie Villeneuve, żeby wzmocnić garnizon naprzeciw Awinionu. Proszę cię, żebyś wyjeżdżał z całą okazałością i kazał defilować łucznikom sześć razy przed twierdzą, tak by na drugim brzegu mogli pomyśleć, że wchodzi tam dwa tysiące. Tę paradę wojskową przeznaczam dla kardynałów, żeby uzupełnić fortel, który ukartowałem z drugiej strony. To zrobiwszy, powracaj co prędzej; twoja obecność może mi być bardzo potrzebna w tym czasie...

- ...kiedy wiatr, co wieje w tej okolicy, wcale nam nie odpowiada, nieprawdaż, Dostojny Panie?

- Zapewne... Żegnaj, Pareilles, podyktuję instrukcje dla ciebie.

Marigny trochę się uspokoił. Poszczególne części jego łamigłówki zaczęły się układać. Pozostawszy sam, przez chwilę rozmyślał. Później wszedł do sali sekretarzy. Stalle z rzeźbionego dębu osłaniały do połowy ściany jak na kościelnym chórze. Przed każdą stallą była umieszczona tabliczka do pisania, przy której zwisały ciężarki napinające pergaminy, do oparcia krzeseł były przymocowane wydrążone rogi wypełnione atramentem. Rejestry i dokumenty spoczywały na obrotowych, czteroskrzydłowych pulpitach. Pracowało tu w milczeniu piętnastu skrybów.

Marigny przechodząc podpisał list do króla Edwarda i przyłożył pieczęć; wszedł do następnej sali, gdzie zebrali się już zawezwani przez niego legiści, a razem z nimi również tacy jak Bourdenai i Briangon, którzy z własnej woli przybyli po nowiny.

- Panowie - przemówił Enguerrand - nie zaszczycono was zaproszeniem na naradę dziś rano. Odbędziemy więc naradę w bardzo wąskim gronie.

- Brak tylko naszego Miłościwego Pana króla Filipa - rzekł Raul de Presles, uśmiechając się ze smutkiem.

- Módlmy się, aby jego dusza była z nami obecna - dodał Galfryd de Briangon.

A Mikołaj Le Loquetier dorzucił:

- On w nas nie wątpił.

- Siadajmy, panowie - rzekł Marigny. A gdy zasiedli, powiedział: - Przede wszystkim muszę wam oznajmić, że został mi odebrany zarząd Skarbcem, a król ma nakazać kontrolę rachunków. Obelga uderza tak w was, jak i we mnie. Proszę was, panowie, nie oburzajcie się, coś lepszego mamy do roboty. Bo zamierzam przedstawić rachunki zupełnie na czysto. W tym celu...

Zaczekał dobrą chwilę i rozparł się na siedzeniu, odrzuciwszy w tył

głowę.

- ...w tym celu - powtórzył - bądźcie łaskawi rozkazać wszystkim prewotom i poborcom podatków we wszystkich okręgach podległych bajlifom i seneszalom, aby zapłacili wszystkie należności, i to natychmiast. Niech wyrównają rachunki za dostawy, za prace bieżące, za wszystko, co zostało zamówione przez Koronę, nie pomijając zadłużeń domu Nawarry. Płacić wszędzie, aż do całkowitego wyczerpania złota, nawet za to, co mogłoby ulec zwłoce. Zaś żołd wnieść na poczet długów.

Legiści spojrzeli na Marigny'ego. Spojrzeli nawzajem na siebie. Zrozumieli, a kilku z nich nie mogło powstrzymać uśmiechu. Marigny załamał z trzaskiem palce, jakby łupał orzechy.

- Dostojny Pan de Valois chce teraz położyć swą rękę na Skarbie? - dokończył. - Świetnie! Zedrze sobie paznokcie skrobiąc dno i będzie musiał szukać gdzie indziej pieniędzy na swoje intrygi!

III

Pałac Karola de Valois

Pełne napięcia zabiegi w pałacu Marigny'ego na lewym brzegu Sekwany były tylko niewielkim poruszeniem w porównaniu z tym, co działo się na prawym brzegu, w pałacu Valois. Tu śpiewano hymny zwycięstwa, głoszono triumf i mało brakowało, a wywieszono by chorągwie w oknach.

„Marigny już nie włada skarbem!". Ludzie najpierw szeptem przekazywali sobie tę nowinę, a teraz ją wykrzykiwali. Każdy ją znał i każdy chciał okazać, że ją zna; każdy komentował, jakby oceniał, każdy przepowiadał, a te głosy urastały we wrzawę przechwałek, pokątnych narad, uniżonych pochlebstw. Najskromniejszy giermek stroił się w autorytet konetabla, gdy ofukiwał pachołków. Kobiety rozkazując stawiały większe wymagania, dzieci popiskiwały z większą energią. Szambelani z majestatyczną powagą przekazywali sobie nawzajem błahe polecenia i każdy, aż po ostatniego skrybę w kancelarii włącznie, chciał grać rolę wielkiego dostojnika.

Damy dworu paplały, kręcąc się wokół wysokiej, chudej, wyniosłej hrabiny de Valois. Kanclerz hrabiego, kanonik Stefan de Mornay, przepływał jak okręt wśród fal karków chylących się z szacunkiem. Potok klienteli, gwarnej a chytrej, wpływał, wypływał, przystawał we wnękach okien, wyrokował o sprawach państwa. Woń władzy rozchodziła się stąd po całym Paryżu i każdy spieszył powąchać ją z bliska.

Tak się działo przez cały tydzień. Ludzie przychodzili udając, że zostali wezwani, lub spodziewając się, że ich zawezwą, bo Dostojny Pan de Valois zamknął się w swym gabinecie, bez ustanku wiodąc narady. Przed oczami dworaków pojawiło się nawet widmo z ubiegłego wieku, podtrzymywany przez siwobrodego giermka - zgrzybiały i wysuszony sędziwy pan de Joiville. Dziedziczny seneszal Szampanii, towarzysz Ludwika Świętego podczas wyprawy krzyżowej 1248 roku, a który mianował się jego kadzicielem, miał już dziewięćdziesiąt jeden lat. Na wpół ślepy, z załzawionymi oczami i przytępionym umysłem był dla hrabiego de Valois żywym symbolem poparcia dawnego rycerstwa i społeczeństwa feudalnego.

Po raz pierwszy od lat trzydziestu partia baronów brała górę i - widząc natłok tych wszystkich, którzy spieszyli stanąć w szeregach - rzec by można, że prawdziwy dwór rezydował nie w pałacu na Cite, ale w pałacu Valois.

Zaprawdę królewska to siedziba! Każda belka w suficie była tu rzeźbiona, każdy kominek posiadał monumentalny okap pokryty tarczami Francji, Andegawenii, Valois, Perche, Maine czy też Romanii, a nawet herbami Aragonii albo cesarskimi godłami Konstantynopola - ponieważ

Karol de Valois, przelotnie i nominalnie, nosił kolejno koronę aragońską oraz koronę łacińskiego cesarstwa Wschodu. Wszędzie posadzki niknęły pod wełnianymi kobiercami ze Smyrny, a ściany pod dywanami z Cypru. Kredensy i bufety uginały się pod błyszczącymi naczyniami ze złota, emalii i cyzelowanego, pozłacanego srebra.

Ta bogata i szacowna fasada kryła jednak trąd - brak pieniędzy. Wszystkie te cuda w trzech czwartych zastawiono, aby pokryć bajeczne wydatki tego dworu. Valois lubił błyszczeć. Jeśli wraz z nim zasiadało mniej niż sześćdziesięciu współbiesiadników, sala jadalna wydawała mu się pusta, jeśli podawano kolejno na stół mniej niż dwadzieścia potraw, czuł się skazany na post. Równie niezbędne jak honory i tytuły były dlań klejnoty, stroje, konie, kosztowne meble, zastawy stołowe; musiał mieć wszystkiego za dużo, aby doznawać uczucia, że ma dosyć.

Każdy w jego otoczeniu korzystał z tego przepychu. Mahaut de Chatillon, trzecia pani de Valois, ze znawstwem kolekcjonowała szaty i ozdoby i w całej Francji nie było księżnej, która by paradowała tak wspaniale przystrojona perłami i gemmami. Filip de Valois, najstarszy syn Karola z małżeństwa z Andegawenką Sycylijską, kochał się w zbrojach z Padwy, w butach z Kordoby, włóczniach z północnych drzew, w mieczach z Niemiec.

Żaden kupiec, co oferował rzadki lub cenny przedmiot, a jednocześnie zręcznie dał odczuć, że inny możny pan mógłby ten towar nabyć, nigdy już go nie zabierał z powrotem.

Hafciarki zamieszkałe w pałacu oraz zatrudnione w mieście nie mogły nastarczyć kubraków pod zbroje, chorągwi, kropierzy i kap na konie, szat dla Dostojnego Pana, płaszczyków dla Dostojnej Pani.

Podczaszy kradł wina, giermkowie kradli obrok, szambelani kradli świece, kuchmistrz podkradał korzenie. Jak kradzieże panowały w komorach z bielizną, tak marnotrawstwo szerzyło się w kuchniach. A była to zwykła kolej rzeczy.

Hrabia de Valois musiał bowiem stawić czoło innym potrzebom.

Płodny rodziciel miał niezliczoną ilość córek, zrodzonych mu z trzech łóż. Kiedy Karol którąś z nich wydawał za mąż, był zmuszony jeszcze bardziej zadłużać się, aby wiano i uroczystości weselne były na miarę tronów, wokół których wybierał sobie zięciów. Majątek jego topniał w sieci aliansów.

Oczywiście posiadał olbrzymie dobra, największe po królu. Lecz dochody z nich ledwie pokrywały procenty od pożyczek. Wierzyciele z miesiąca na miesiąc stawali się bardziej dokuczliwi. Gdyby Dostojny Pan de Valois nie tak pilnie potrzebował nowego kredytu, okazywałby mniejszy pośpiech w przejęciu spraw królestwa.

Niektóre potyczki nastręczają jednak więcej kłopotów zwycięzcy niż zwyciężonemu. Obejmując Skarb, Valois schwytał w garść tylko wiatr. Wysłannicy, których pogonił do prewotów i seneszalów, by zebrali trochę funduszy, powrócili z żałosną miną. Wszystkich ich wyprzedzili ludzie Marigny'ego, w skrzyniach prewotów nie pozostał ani jeden denar, bo ci, jak mogli, spłacili wszystkie należności, by przedstawić „rachunki ładnie wyczyszczone".

Podczas gdy na parterze tłum ogrzewał się i raczył na koszt hrabiego de Valois, on sam w swoim gabinecie na pierwszym piętrze przyjmował gościa za gościem, na wszelki sposób starając się zasilić już nie tylko własne skrzynie, ale i państwa.

Pewnego ranka w końcu tego tygodnia zamknął się ze swoim kuzynem, Robertem d'Artois. Oczekiwali trzeciej osoby.

- Czy na pewno na dziś rano wezwaliście tego bankiera, tego Lombarda? - zapytał Valois. - Wyznam, że spieszno mi go zobaczyć.

- Ach, kuzynie! - odparł olbrzym. - Wierzcie, że mnie nie mniej spieszno niż wam. Bo zamierzam wam przedłożyć pewną prośbę, zależnie od odpowiedzi, jakiej wam udzieli Tolomei. Stary rabuś to on jest, ale na finansach zna się nielicho.

- A jakaż to prośba?

- O spłatę należności, mój kuzynie, zaległych dochodów z tego hrabstwa Beaumont, które mi nadano już przed pięciu laty, aby rzekomo zapłacić mi za Artois, ale nie zobaczyłem z nich nawet ochłapów.[10] Dzisiaj należy mi się przeszło dwadzieścia tysięcy liwrów, a Tolomei pod zastaw pożycza mi na lichwiarski procent. Ale ponieważ teraz wy rządzicie Skarbem...

Valois wzniósł ręce ku niebu.

- Mój kuzynie - przerwał - dzisiaj naszym pierwszym zadaniem jest znaleźć nieodzowne sumy, żeby wyprawić Bouville'a do Neapolu, bo król bez przerwy trąbi mi do ucha o tym wyjeździe. Następną sprawą, jaką się zajmę, będzie wasza, solennie wam to przyrzekam.

Iluż osobom od tygodnia udzielał takiego samego zapewnienia?

- Ale figiel, który nam spłatał Marigny, będzie już ostatni, to również przyrzekam. Pies za to gardłem zapłaci i z jego dóbr ściągniemy wasze zaległości. Bo dokąd, sądzicie, poszły dochody z waszego hrabstwa? Do jego szkatuły, kuzynie, do jego szkatuły!

I Dostojny Pan de Valois, przechadzając się po komnacie, raz jeszcze wylewał swe żale na koadiutora, uchylając się takim fortelem od dalszych żądań.

Jego zdaniem Marigny ponosi odpowiedzialność za wszystko. W Paryżu popełniono kradzież? Marigny nie trzymał dość krótko w garści strażników, a może nawet podzielił się łupem z opryszkami. Parlament wydał nieprzychylny wyrok na feudała? Marigny go podyktował.

Biedy wielkie i małe, błotniste drogi, bunty we Flandrii, niedostatek zboża miały jedno źródło, były wynikiem działalności tego samego sprawcy. Cudzołóstwo księżniczek, śmierć króla, a nawet przedwczesna zima nastąpiły z winy Marigny'ego. Bóg karał królestwo, ponieważ tak długo tolerowało tak niecnego ministra.

Hałaśliwy samochwał d'Artois milcząc i bez znużenia wpatrywał się w kuzyna. Zaprawdę, Dostojny Pan de Valois mógł zafascynować kogoś, kto miał pokrewną naturę.

Co za zdumiewająca indywidualność ten książę! Niecierpliwy, a zarazem uparty, gwałtowny, a przebiegły, odważny ciałem, ale tak bezsilny wobec pochwał i zawsze pełen wygórowanych ambicji, zawsze gotów rzucić się w olbrzymie przedsięwzięcia, zawsze ponosił porażki wskutek braku właściwej oceny rzeczywistości. Wojna raczej była jego rzemiosłem

niż rządy państwem w okresie pokoju.

Mianowany przez brata w dwudziestym siódmym roku życia wodzem wojsk francuskich spustoszył zbuntowaną Gujennę; pamięć o tej wyprawie upoiła go na całe życie. Gdy miał lat trzydzieści jeden, wezwany przez papieża Bonifacego i króla Neapolu, aby pokonał gibelinów i zaprowadził ład w Toskanii, wymógł dla siebie odpusty przysługujące krzyżowcom, a jednocześnie tytuły generalnego wikariusza apostolskiego oraz hrabiego Romanii. Otóż ta jego „krucjata" polegała na złupieniu miast włoskich; z samej tylko Florencji wydusił dwieście tysięcy złotych florenów za łaskę, że uda się plądrować gdzie indziej.

Ten wielki pan i megaloman posiadał temperament awanturnika, gusty parweniusza i zachcianki założyciela dynastii. Nie było na świecie wolnego berła, nie było pustego tronu, żeby natychmiast nie sięgał po nie Valois. I zawsze bez powodzenia.

Teraz, przeżywszy czterdzieści cztery lata, Karol de Valois chętnie wykrzykiwał:

- Tak hojnie sobą szafowałem tylko po to, żeby zmarnować życie. Los zawsze mnie zdradzał! Dodawał bowiem wówczas wszystkie rozwiane marzenia: sen o Aragonii, sen o królestwie w Arles, sen o Bizancjum, sen o Niemczech, łącząc je w gigantyczny sen o cesarstwie, które rozciągałoby się od Hiszpanii po Bosfor, podobne rzymskiemu imperium sprzed lat tysiąca, za panowania Konstantyna.

Nie udało mu się opanować świata. Teraz przynajmniej pozostała Francja, gdzie mógł rozwijać swą burzliwą działalność.

- Czy naprawdę sądzicie, że się ten wasz bankier zgodzi? - zapytał nagle Valois.

- Ależ tak; będzie żądać gwarancji, ale się zgodzi.

- Otóż na co mi zeszło, kuzynie! - powiedział Valois z wielkim przygnębieniem, tym razem wcale nie udawanym. - Zależę od dobrej woli jakiegoś lichwiarza sieneńskiego, żeby zaprowadzić jaki taki ład w tym królestwie.

IV

Stopka Ludwika Świętego

Messer Tolomei został wprowadzony do komnaty, a Robert d'Artois aż rozpostarł ramiona, witając go serdecznie.

- Przyjacielu bankierze, mam wobec was wielkie zobowiązania i zawsze przyrzekałem was spłacić przy pierwszym szczęśliwym zwrocie mego losu. Nareszcie ta chwila nadeszła.

- Pomyślna nowina, Dostojny Panie - odrzekł Spinello Tolomei z ukłonem.

- A przede wszystkim - mówił dalej d'Artois - chcę spłacić wam dług wdzięczności, kierując do was królewskiego klienta.

Tolomei skłonił się ponownie, i to jeszcze głębiej, przed Karolem de Valois, i powiedział:

- Któż by nie znał Jego Wielmożności, przynajmniej z widzenia i rozgłosu... Pozostawił on niezatarte wspomnienie w Sienie...

Takie samo jak we Florencji, z tą tylko różnicą, że Siena była mniejsza, więc pobrał jedynie siedemnaście tysięcy liwrów „za zaprowadzenie ładu".

- Ja również zachowałem dobrą pamięć o waszym mieście - rzekł Valois.

- Moim miastem, Dostojny Panie, jest teraz Paryż.

Messer Tolomei, o smagłej cerze, tłustych i obwisłych policzkach, z lewym okiem chytrze przymkniętym, oczekiwał, aż poproszą go, by usiadł, co też Valois uczynił, wskazując mu krzesło. Bo messer Tolomei zasługiwał na pewne względy. Jego konfratrzy, włoscy kupcy i bankierzy, obrali go ostatnio, po śmierci starego Bocanegry, „generalnym kapitanem" ich kompanii. To stanowisko uprawniało go do kontroli i wnikania we wszystkie niemal operacje bankowe w kraju i obdarzało władzą skrytą, ale wszechogarniającą. Tolomei był jakby konetablem kredytu.

- Wiecie doskonale, przyjacielu bankierze - podjął d'Artois - o wielkich zmianach, jakie nastąpiły w tych dniach. Pan de Marigny, który, jak sądzę, nie jest waszym wielkim przyjacielem, podobnie jak i naszym, znalazł się w niełasce...

- Wiem - szepnął Tolomei.

- Poradziłem więc Dostojnemu Panu de Valois, który potrzebował wezwać człowieka biegłego w finansach, aby zwrócił się do was, bo znam zarówno waszą biegłość, jak i oddanie.

Tolomei podziękował ugrzecznionym uśmieszkiem. Spod przymkniętej powieki obserwował obu wielkich baronów i rozmyślał: „Gdyby zamierzali mi powierzyć zarząd Skarbem, nie prawiliby mi tylu komplementów".

- Czym mógłbym wam służyć, Dostojny Panie? - zapytał, zwracając się do Valois.

- No cóż! Tym, czym może bankier, messer Tolomei! - odpowiedział stryj króla z elegancką czelnością, którą posługiwał się, kiedy zamierzał

żądać pieniędzy.

- I ja tak to rozumiem, Dostojny Panie. Czy zamierzacie inwestować swe fundusze w jakieś intratne towary, których wartość podwoi się za sześć miesięcy? A może pragniecie jakichś partycypacji w handlu morskim, który tak świetnie się rozwija teraz, gdy trzeba sprowadzać morzem brakujące artykuły? Tego rodzaju usługi miałbym zaszczyt wam zaproponować.

- Nie, wcale nie o to mi chodzi - rzekł żywo Valois.

- Ubolewam, Dostojny Panie, ubolewam za was. Właśnie najlepsze zyski osiąga się w czasach głodu...

- Chwilowo pragnę, byście mi wyłożyli trochę płynnej gotówki... na rzecz Skarbu.

Tolomei przybrał zrozpaczoną minę.

- Ach! Wielce Dostojny Panie, raczcie nie wątpić o moim pragnieniu, aby wam oddać przysługę; ale to właśnie jest jedyna sprawa, w której nie mogę was zadowolić. Nasze kompanie mocno wykrwawiły się w ostatnich miesiącach. Musieliśmy, aby opłacić koszta wojny z Flandrią, udzielić na rzecz Skarbu grubej pożyczki, która nam przecież nie procentuje.

- To była sprawa Marigny'ego.

- Zapewne, Dostojny Panie, ale pieniądze były nasze. Stąd zamki w naszych skrzyniach nieco pordzewiały. A ile wynosi wasze zapotrzebowanie?

- Dziesięć tysięcy liwrów.

W tę sumę wliczył Valois pięć tysięcy liwrów na poselstwo Bouville'a, tysiąc dla Roberta d'Artois, a z pomocą reszty chciał stawić czoło własnym najbardziej dotkliwym trudnościom.

Bankier załamał ręce nad głową.

- *Sancta* Madonna! A gdzież je znajdę? - wykrzyknął. Lamenty te należało pojmować jako zwyczajny wstęp.

D'Artois uprzedził już o tym Karola de Valois. Więc ten przyjął ton władczy, jakiego zwykł używać wobec swych rozmówców.

- Spokojnie, spokojnie, messer Tolomei! Nie oszukujmy się, nie trwońmy czasu. Wezwałem was, abyście wykonywali swój zawód, jak go zawsze wykonujecie, z korzyścią dla was, sądzę.

- Mój zawód, Dostojny Panie - odpowiedział spokojnie Tolomei - mój zawód to pieniądze pożyczać, a nie dawać. Zaś od pewnego czasu dużo dawałem, nie otrzymując zwrotów. Przecież ja nie biję monety i nie wynalazłem kamienia filozoficznego.

- Jak to, więc nie pomożecie mi wcale pozbyć się Marigny'ego? To chyba w waszym interesie!

- Dostojny Panie, płacić haracz wrogowi, kiedy jest potężny, a później jeszcze płacić, by nie powrócił do władzy, to operacja podwójna i zgodzicie się, czcza. Przynajmniej musiałbym wiedzieć, co potem nastąpi, i czy mam jakąś szansę się odkuć.

Karol de Valois natychmiast zaintonował grzmiące strofy, które recytował od tygodnia każdemu z gości. Zamierzał, jeśli tylko dostarczy mu się środków, znieść wszystkie „nowinki" Marigny'ego i mieszczańskich legistów; zamierzał zwrócić wielkim baronom należne im

wpływy; zamierzał doprowadzić królestwo do dawnego rozkwitu, powracając do starych praw feudalnych, które zawsze były fundamentem wielkości Francji. Zamierzał zaprowadzić „ład". Jak każdy polityczny warchoł tylko to jedno słowo miał na języku i nie nadawał mu żadnych nowych treści oprócz dawnych praw, wspomnień czy też złudzeń przeszłości.

- Wkrótce, zapewniam was, powrócimy do zacnych zwyczajów mego dziada Ludwika Świętego!

Mówiąc to wskazywał na stojący jakby na ołtarzyku relikwiarz w kształcie stopki, która zawierała kość z pięty jego dziadka; stopka była srebrna, paznokcie ze złota.

Albowiem szczątki świętego króla zostały rozdzielone, każdy z krewniaków, każda królewska kaplica - wszyscy chcieli przechowywać cząsteczkę. Górna część czaszki była zabezpieczona w Sainte-Chapelle, w pięknym popiersiu wykonanym przez złotników; hrabina Mahaut d'Artois w swoim zamku Hesdin miała kilka włosów, a także kawałek szczęki; tyle rozdano cząstek palców, odłamków i okruchów kości, że można było rozważać, co też zawierał grobowiec w bazylice Saint-Denis. Jeśli prawdziwe zwłoki zostały tam kiedykolwiek złożone... Bo po Afryce krążyła uporczywa legenda, wedle której ciało króla zostało pochowane w pobliżu Tunisu, zaś wojska przywiozły do Francji tylko trumnę pustą względnie z podłożonym trupem.[11]

Tolomei podszedł i pobożnie ucałował srebrną stopkę, a następnie rzekł:

- Dostojny Panie, a w jakimże celu potrzeba wam tych dziesięciu tysięcy liwrów?

Valois musiał ujawnić część swoich najbliższych zamysłów. Sieneńczyk kiwał głową i powtarzał, jakby notując w pamięci:

- Pan de Bouville, w Neapolu... tak... tak; prowadzimy handel z Neapolem za pośrednictwem naszych kuzynów Bardich... Ożenić króla... Tak, tak, rozumiem was, Dostojny Panie... Zebrać konklawe... Och! Dostojny Panie, konklawe kosztuje drożej niż budowa pałacu, a i fundamenty są mniej trwałe... Tak, Dostojny Panie, tak, słucham was.

Kiedy wreszcie dowiedział się tego, co chciał wiedzieć, kapitan generalny Lombardów oświadczył:

- To wszystko jest zaprawdę bardzo dobrze pomyślane, Dostojny Panie, i z całego serca życzę wam powodzenia; nic jednak nie upewnia mnie, że ożenicie króla, ani że będziecie mieć papieża, a nawet gdyby się tak stało, że ujrzę moje złoto, zakładając oczywiście, iż mógłbym je wam dostarczyć.

Valois rzucił rozdrażnione spojrzenie na d'Artois, które zdawało się mówić: „Co za dziwnego jegomościa mi tu sprowadziliście, czyż miałbym tyle mówić, nic w zamian nie uzyskując?".

- Mówcie, bankierze - krzyknął Artois, prostując się - jakiego procentu żądacie? Jakich gwarancji? Jakich przywilejów czy też zysków?

- Żadnych, Dostojny Panie, żadnej gwarancji - zaprotestował Tolomei - nigdy od was, sami wiecie o tym dobrze, ani też od Dostojnego Pana de Valois, bo zbyt jest dla mnie cenne jego poparcie. Rozważam po prostu... rozważam, jak mógłbym wam usłużyć.

Następnie, ponownie zwracając się do srebrnej stopki, łagodnie dorzucił:

- Dostojny Pan de Valois powiedział przed chwilą, że zamierza wskrzesić w królestwie zacne zwyczaje Miłościwego Pana Ludwika Świętego. Co przez to pojmuje? Czy powróciłby do życia wszystkie zwyczaje?

- Oczywiście - odparł Valois, niezbyt dobrze pojmując, ku czemu tamten zmierza.

- Czy na przykład przywrócone zostanie baronom prawo bicia monety na ich ziemiach? Bo gdyby takie zarządzenie zostało wskrzeszone, Dostojny Panie, łatwiej by mi było was wesprzeć!

Valois i d'Artois spojrzeli na siebie. Bankier celował w najważniejsze zarządzenie projektowane przez Valois, które ten najgłębiej taił, godziło bowiem w interesy Skarbu i z tego powodu mogło wywołać największe zastrzeżenia.

Istotnie, unifikacja pieniądza w królestwie, a także monopol króla na jego emisję były dziełem Filipa Pięknego. Niegdyś możnowładcy bili lub kazali bić własne złote i srebrne monety, które jak i pieniądz królewski miały prawo obiegu w ich lennach. Ten przywilej był dla nich źródłem grubych zysków. Również ciągnęli z tego przywileju zysk inni, na przykład bankierzy lombardzcy, którzy dostarczali surowy metal i grali na różnicy cen w poszczególnych prowincjach. Valois bardzo liczył na ten „zacny zwyczaj", żeby podźwignąć własną fortunę.

- Czy zamierzaliście jeszcze powiedzieć, Dostojny Panie - mówił dalej Tolomei, wpatrując się w relikwiarz, jakby go wyceniał - czy zamierzaliście powiedzieć, że zostanie wznowione prawo do prowadzenia prywatnej wojny?

To był drugi zasadniczy przywilej feudalny, który obalił „król z żelaza", tym samym nie zezwalając wielkim wasalom zbierać chorągwi i wykrwawiać królestwa, by załatwiać prywatne porachunki, chełpić się czczą sławą lub trochę pohulać.

- Ach, obyśmy odzyskali ten zdrowy zwyczaj - zawołał Robert - a nie zwlekałbym i odebrałbym hrabstwo Artois mojej stryjnie Mahaut!

- Gdybyście chcieli wyszykować zastępy, Dostojny Panie - powiedział Tolomei - mógłbym dla was uzyskać najlepsze ceny u toskańskich płatnerzy.

- Messer Tolomei, właśnie wyrzekliście wszystko to, co chcę wprowadzić w życie - rzekł, pusząc się, Valois. - Więc proszę was, abyście z zaufaniem ze mną współdziałali.

Finansiści mają nie mniej fantazji niż zdobywcy i ten tylko, kto ich mało zna, sądzi, że kieruje nimi jedynie chęć zysku. Kalkulacje ich często osłaniają mgliste sny o potędze.

Generalny kapitan Lombardów także marzył, inaczej niż hrabia de Valois, ale marzył: widział już siebie, jak dostarcza wielkim baronom surowego złota, jak steruje ich sporami, bo sprzedawałby im broń. Ten zaś, kto ma złoto i ma broń, posiada prawdziwą władzę. Messer Tolomei już poczuł smak władzy...

- A zatem - podjął Valois - czy jesteście teraz zdecydowani dostarczyć mi sumy, której od was żądam?

- Być może, Dostojny Panie, być może. Nie jestem w stanie dać jej wam

osobiście, ale bez wątpienia mogę ją dla was znaleźć w Italii, co wam jak najbardziej odpowiada, ponieważ tam właśnie udaje się wasze poselstwo. Nie czyni wam to żadnej różnicy.

- Pewnie, że nie - musiał odpowiedzieć Valois.

Ale takie załatwienie sprawy wcale nie zaspokajało jego życzeń, utrudniało bowiem, a nawet uniemożliwiało czerpanie z pożyczki na własne potrzeby. Tolomei widząc, że Valois spochmurniał, poszedł jeszcze dalej.

- Wy dajecie gwarancję Skarbu, ale każdy wie, przynajmniej u nas, że Skarb jest pusty, a takie pogłoski rozchodzą się szybko po kantorach bankowych. Musiałbym więc udzielić własnej gwarancji i uczynię to ze szczerego serca, Dostojny Panie, aby wam służyć. Ale jest konieczne, żeby człowiek z mojej kompanii, zaopatrzony w list kredytowy, towarzyszył waszemu poselstwu, by podjąć pieniądze i z nich się rozliczyć.

Valois coraz mocniej marszczył czoło.

- Och, Dostojny Panie! - rzekł Tolomei. - Nie będę działał sam w tej sprawie, zaś kompanie włoskie są jeszcze bardziej nieufne niż nasze i będę musiał całkowicie je upewnić, że nie zostaną zawiedzione.

W rzeczywistości chciał mieć własnego emisariusza przy poselstwie, wysłannika, który by w jego imieniu i na jego rachunek szpiegował posła, kontrolował, na co zostały wydane pieniądze, wtajemniczał się w plany sojuszów, poznawał nastroje wśród kardynałów i po cichu działał tak, jak on mu rozkaże. Messer Spinello Tolomei już teraz władał, choćby troszeczkę.

Robert d'Artois uprzedził Valois, że sieneńczyk będzie żądał gwarancji; obaj nie pomyśleli, że gwarancją mogłaby być cząstka władzy.

Stryj króla musiał ostatecznie przyjąć warunki bankiera, aby zadowolić bratanka.

- A kogóż wy wyznaczycie, aby zbyt nie raził przy panu de Bouville? - zapytał Valois.

- Pomyślę nad tym, Dostojny Panie, pomyślę nad tym. Nie dysponuję w tej chwili ludźmi. Moi dwaj najlepsi podróżnicy są w drodze... Kiedy pan de Bouville ma wyjechać?

- Nawet jutro, jeżeli to będzie możliwe, lub pojutrze.

- A ten chłopak - poddał myśl Robert d'Artois - który w mojej sprawie jeździł do Anglii...

- Mój siostrzeniec Guccio? - zapytał Tolomei.

- O, właśnie on, wasz siostrzeniec. Czy zawsze kręci się przy was?... Doskonale! Czemu byście go nie wysłali? Jest sprytny, rozgarnięty i dobrze się prezentuje. Pomoże naszemu przyjacielowi Bouville'owi, który pewnie wcale nie gada po włosku, wybrnąć z kłopotów w drodze. Bądźcie spokojni, kuzynie - dorzucił d'Artois, zwracając się do Valois - ten chłopak jest dobrego chowu.

- Będzie mi go bardzo tu brakowało - rzekł Tolomei. - Ale niech tak będzie, Dostojny Panie, oddaję go wam. Widać zawsze ode mnie otrzymacie wszystko, czego sobie życzycie.

Wkrótce potem pożegnał się.

Gdy tylko Tolomei wyszedł z komnaty, Robert d'Artois przeciągnął się

szeroko i rzekł:

- No cóż, Karolu, czy się myliłem?

Jak każdy dłużnik po tego rodzaju pertraktacjach, Valois był jednocześnie i zadowolony i niezadowolony. Przybrał więc postawę, która nie ujawniałaby zbyt wyraźnie ani jego ulgi, ani rozczarowania. Zatrzymując się z kolei przed stopką Ludwika Świętego, powiedział:

- Widzicie, kuzynie, to właśnie, właśnie widok tej świętej relikwii wpłynął na postanowienie waszego człowieka. Widać cześć dla wszystkiego, co szlachetne, nie zatraciła się we Francji i można podźwignąć to królestwo.

- Cud to zatem - rzekł olbrzym, przymrużając oko. Kazali sobie podać płaszcze i wezwać świty, aby zanieść królowi pomyślną wiadomość o wyjeździe poselstwa.

W tym samym czasie Tolomei polecał swemu siostrzeńcowi, Gucciowi Baglioni, przygotować się do drogi za dwa dni i wyliczał mu instrukcje. Młody człowiek nie objawiał zbyt wielkiego entuzjazmu.

- *Come sei strano, figlio mio!*[*] - wykrzyknął Tolomei. - Los obdarza cię okazją pięknej podróży, która ciebie nie będzie kosztować ani denara, bo w ostatecznym rozrachunku zapłaci Skarb. Zobaczysz Neapol, dwór Andegawenów, otrzesz się o książąt, a jeżeli jesteś sprytny, pozyskasz tam przyjaciół. Może nawet będziesz obecny przy rozpoczęciu konklawe. Przecież to sprawa pasjonująca - konklawe! Ambicje, naciski, pieniądze, rywalizacja... a u niektórych nawet wiara. Wszystkie interesy świata uczestniczą w tej rozgrywce. Zobaczysz to wszystko. A ty spuszczasz nos, jakbym cię powiadamiał o nieszczęściu. Na twoim miejscu i w twoim wieku skakałbym z radości i już domykał swój kufer... Jeżeli taką masz minę, to pewnie jest jakaś dziewczyna, z którą żal ci się rozstać. Czy to przypadkiem nie panna de Cressay?

Oliwkowa cera młodego Guccia trochę pociemniała, co oznaczało, że się rumieni.

- Zaczeka na ciebie, jeżeli cię kocha - mówił dalej bankier. - Kobiety są stworzone do czekania. Zawsze się je odnajduje. A jeżeli boisz się, że o tobie zapomni, wykorzystaj spotkanie z tymi, które poznasz na swej drodze. Jednego tylko nie można odzyskać - młodości i siły, by jeździć po świecie.

[*] Jakiś ty dziwny, mój chłopcze!

V

Panie węgierskie na zamku w Neapolu

Istnieją miasta trwalsze niż wieki; nie narusza ich czas. Rządy następują tu po rządach, cywilizacje odkładają swe złoża, lecz owe miasta zachowują przez stulecia swój charakter, swój własny zapach, swój rytm i gwar, które odróżniają je od innych ludzkich skupisk na całej ziemi. Neapol zawsze należał do takich miast. Jakim był, takim pozostał i trwać będzie; będzie przez pokolenia na wpół afrykański, na wpół latyński, z wąskimi uliczkami, hałaśliwym mrowiem ludzi, zapachem oliwy, szafranu i smażonej ryby, ze swym kurzem o barwie słońca, pobrzękiwaniem dzwonków u szyi mułów.

Grecy go założyli, Rzymianie zdobyli, barbarzyńcy splądrowali, Bizantyńczycy i Normanowie kolejno zakładali tam swoje siedziby. Neapol wchłonął, przetrawił, stopił ich sztukę, prawa, słownictwo; fantazja ludowa żywiła się ich dziejami, rytuałami i mitami.

Lud nie był ani grecki, ani rzymski, ani bizantyjski, był niezmiennie ludem neapolitańskim, ludem niepodobnym do żadnego innego na świecie; stroił się w wesołość jak w maskę mima, aby przykryć tragedię nędzy, używał patosu, zaprawiając pieprzykiem jednostajną codzienność, a jego pozorne lenistwo wynikało wyłącznie z rozsądku, bo nie chciał udawać krzątaniny, skoro nie miał nic do roboty; lud ten ukochał na zawsze życie i słowa, wciąż musiał przechytrzać los i zawsze okazywał wielką pogardę wobec wojennych podżegań, ponieważ nigdy nie znudził go pokój, którym nader rzadko był obdarzany.

Od około pół wieku Neapol przeszedł spod rządów Hohenstaufów pod rządy książąt andegaweńskich. Wezwani przez Stolicę Apostolską objęli oni władzę przy akompaniamencie mordów, represji i rzezi, które wówczas skrwawiły cały półwysep. Najbardziej widocznym wkładem nowej monarchii były z jednej strony warsztaty do tkania wełny, założone przez nią na przedmieściach dla czerpania zysków, a z drugiej strony olbrzymia rezydencja, pół warownia, pół pałac. Na rozkaz Andegawenów Piotr de Chaulnes, francuski architekt, zbudował Nowy Zamek nad brzegiem morza. Gigantyczna, różowa baszta sterczała ku niebu, a neapolitańczycy, mając poczucie humoru i przywiązani do antycznych kultów fallicznych, przezwali ją niezwłocznie Maschio Angioino, Kusicą Andegawską.

Pewnego styczniowego poranka 1315 roku w tym zamku, w komnacie o wysokim sklepieniu, młody neapolitański malarz Roberto Oderisi, uczeń Giotta, wpatrywał się w ukończony przed chwilą portret tworzący środkową część tryptyku. Stojąc nieruchomo przed sztalugami, z pędzlem w zębach, nie mógł oderwać wzroku od obrazu, na którym świeży jeszcze olej lśnił wilgocią. Rozważał, czy pociągając farbą o żółtej jaśniejszej tonacji albo przeciwnie, o nieco bardziej pomarańczowej, nie oddałby wyraźniej złocistego połysku włosów; czy czoło dość było jasne, a oko -

piękne, błękitne oko, nieco okrągławe - czy w dostatecznej mierze promieniuje życiem. Rysy były wiernie oddane, tak, na pewno... ale spojrzenie? Od czego zależy spojrzenie? Od białej kropki na źrenicy? Czy od nieco głębszego cienia w kącie powieki? Jak wreszcie za pomocą barw zmieszanych i nałożonych obok siebie można odtworzyć rzeczywistą twarz i osobliwą grę światła na konturach! A może, mimo wszystko, przyczyna tkwi nie w oku, ale w przezroczystości skrzydełka nosa lub też w jasnym połysku warg...

„Za dużo malowałem dziewic zawsze z tak samo pochyloną głową i zawsze z tym samym wyrazem ekstazy i oderwania od świata" - pomyślał malarz.

- Więc, signor Oderisi, to już koniec? - spytała piękna księżniczka, która służyła mu za model.

Od tygodnia codziennie siedziała w tej komnacie przez trzy godziny, pozując do portretu zamówionego przez dwór Francji.

Przez ogromny ostrołuk otwartego okna widać było omasztowanie okrętów ze Wschodu, zakotwiczonych w porcie, a dalej rozszerzającą się Zatokę Neapolitańską, morze intensywnie niebieskie, migocące w słońcu i trójkątny profil Wezuwiusza. Powietrze było łagodne, a dzień promieniował radością życia.

Oderisi wyjął z ust pędzel.

- Niestety, tak - odparł - już koniec.

- Dlaczego niestety?

- Ponieważ będę pozbawiony szczęścia oglądania co rano Donny Clemenzy i od tej chwili będzie mi się wydawać, że słońce już nigdy nie wzejdzie.

Był to skromny komplement, bo dla neapolitańczyka oświadczyć - zarówno księżniczce, jak służącej z oberży - że ciężko zachoruje, jeśli nie będzie już jej oglądał, to minimum obowiązującej kurtuazji. A dama dworu, która haftowała w milczeniu w kącie komnaty i służyła za przyzwoitkę podczas spotkania, nie uznała nawet za właściwe podnieść głowę.

- A poza tym, Dostojna Pani, a wreszcie... mówię niestety, bo ten portret wcale nie jest dobry - dodał Oderisi. - Nie oddaje w pełni waszej urody tak w rzeczywistości doskonałej.

Gdyby się z nim ktoś zgodził, czułby się urażony, lecz krytykując siebie był szczery. Odczuwał smutek, jak każdy artysta po ukończeniu dzieła, i żal, że nie mógł uczynić go doskonalszym. Ten młody, siedemnastoletni chłopiec posiadał już cechy wielkiego malarza.

- Czy mogę zobaczyć? - spytała Klemencja Węgierska.

- Ach, Dostojna Pani, proszę mnie nie przygnębiać! Nazbyt dobrze wiem, że to mojemu mistrzowi powinien był przypaść zaszczyt wykonania tego portretu.

Istotnie, dwór andegaweński zwrócił się do Giotta i przez Italię wysłał doń jeźdźca. Lecz sławny Toskańczyk zajęty był w tym roku malowaniem fresków z życia świętego Franciszka z Asyżu na ścianach kościoła Santa Croce we Florencji i ze szczytu rusztowania odpowiedział, by zwrócono się do jego młodego ucznia w Neapolu.

Klemencja Węgierska powstała i zbliżyła się do sztalug. Wysoka i jasnowłosa, miała mniej wdzięku niż majestatu i może była bardziej wytworna niż kobieca. Ale wrażenie surowości, jaką narzucała jej postawa, równoważyły nieskazitelność twarzy i spojrzenie pełne zachwytu.

- Ależ, signor Oderisi - zawołała - namalowaliście mnie piękniejszą, niż jestem!

- Wiernie odtwarzałem wasze rysy, Donna Clemenza, a także usiłowałem odmalować waszą duszę.

- Więc chciałabym, aby moje lustro posiadało tyle talentu, co wy.

Uśmiechnęli się do siebie, dziękując sobie wzajemnie za komplementy.

- Miejmy nadzieję, że ten obraz spodoba się we Francji... chciałam powiedzieć... mojemu stryjowi Valois - dodała nieco zmieszana.

Na dworze bowiem zachowywano pozory - w które zresztą nikt nie wierzył - jakoby portret był przeznaczony dla Karola de Valois ze względu na sentyment, jaki ten żywi do swojej bratanicy.

Wypowiadając te słowa Klemencja uczuła, że się czerwieni. W dwudziestym drugim roku życia nadal zbyt łatwo się rumieniła i tę skłonność wyrzucała sobie jako słabostkę. Ileż to razy powtarzała jej babka, królowa Maria Węgierska: „Klemencjo, księżniczka, i to przeznaczona na królową, nie powinna się czerwienić!".

Czy to naprawdę możliwe, że zostanie królową? Z oczyma skierowanymi w morze marzyła o tym dalekim kuzynie, o tym nieznanym królu, o którym tyle jej opowiadano od dwudziestu dni, od chwili gdy przybył z Paryża poufny poseł...

Pan de Bouville przedstawił jej króla Ludwika X jako księcia nieszczęśliwego, bo srodze dotkniętego w swych uczuciach, ale obdarzonego wszelkimi zaletami oblicza, umysłu i serca, jakie mogły spodobać się damie wysokiego rodu. Zaś dwór Francji był zaprawdę wzorem dla innych dworów, niedościgłym powiązaniem rodzinnych radości i królewskich splendorów... A cóż mogło skuteczniej uwieść Klemencję Węgierską niż perspektywa uleczenia ran serca mężczyzny, raz po raz doświadczanego losem: zdradą niegodnej małżonki i przedwczesną śmiercią uwielbianego ojca? W mniemaniu Klemencji miłość była nieodłączna od przywiązania. A z tym łączyła się ponadto duma, że została wybranką Francji... „Zaprawdę, czekałam na zamążpójście tak długo, aż już traciłam nadzieję. A oto może Bóg obdarzy mnie najlepszym małżonkiem i najszczęśliwszym królestwem".

Tak więc od trzech tygodni żyła w odczuciu cudu, Przepełniona wdzięcznością do Stwórcy i całego wszechświata. Uchyliła się kotara haftowana w lwy i orły i młody człowiek niskiego wzrostu, o cienkim nosie, oczach pałających i wesołych oraz kruczych włosach wszedł i skłonił się.

- O! Signor Baglioni, oto jesteście... - powiedziała radosnym głosem Klemencja Węgierska.

Bardzo lubiła młodego sieneńczyka, tłumacza posła, jednego ze zwiastunów szczęścia.

- Dostojna Pani - rzekł - pan de Bouville przysyła mnie z zapytaniem, czy wolno mu przyjść złożyć wam wizytę?

- Zawsze bardzo rada widzę pana de Bouville. Ale podejdźcie i powiedzcie mi, co sądzicie o tym portrecie, jest już ukończony.

- Powiem, Dostojna Pani - odparł Guccio, patrząc przez chwilę w milczeniu na obraz - powiem, że ten portret cudownie, wiernie was przedstawia i ukazuje najpiękniejszą damę, jaką moje oczy podziwiały.

Oderisi, z rękami poplamionymi po łokcie ochrą i cynobrem, łykał pochwały.

- Nie kochacie więc już owej panny we Francji, jak tego mogłam się domyślać - rzekła z uśmiechem Klemencja.

- Oczywiście, że kocham, Dostojna Pani...

- A zatem zabrakło wam szczerości albo wobec niej, albo wobec mnie, panie Guccio, bo zawsze mi mówiono, że dla tego, kto miłuje, nie ma piękniejszej twarzy na świecie nad tę, w której jest zakochany.

- Dama, której ślubowałem wierność, a która przyrzekła mi dochować swojej - odparł z zapałem Guccio - na pewno jest najpiękniejsza... po was, Donna Clemenza, zaś to, że mówi się prawdę, nie oznacza, że się nie kocha.

W rzeczywistości jego namiętność nieźle godziła się z oddaleniem i nie pozwalał umykać okazjom do rozrywek, jakie nastręczają się w czasie podróży.

Księżniczka Klemencja ze swej strony była pełna ciekawości i tkliwych uczuć względem miłości innych ludzi. Pragnęła, aby wszyscy młodzieńcy i wszystkie dziewczęta na całym świecie byli szczęśliwi.

- Jeśli Bóg zechce, abym pewnego dnia udała się do Francji...

Ponownie oblała się pąsem:

- ...będę rada poznać tę, o której tyle myślicie i którą niebawem poślubicie, jak ufam.

- Ach, Dostojna Pani, oby niebo dopomogło do waszego przyjazdu! Nie znajdziecie wierniejszego sługi ode mnie, a jestem pewien, że i bardziej oddanej wam służki niż ona...

I przyklęknął, bardzo swobodnie, jakby znajdował się na turnieju przed lożą dam. Podziękowała mu ruchem ręki; miała piękne, wysmukłe, nieco za długie palce, jakie widuje się u świętych na freskach.

„Ach! jaki dobry naród, jacy mili ludzie” - myślała Klemencja, patrząc na małego Włocha, który w owej chwili był dla niej uosobieniem całej Francji.

- Czy możecie mi powiedzieć, jak się ona nazywa? - zapytała jeszcze. - Czy też to tajemnica?

- Dla was nie może być tajemnicą, jeśli życzycie sobie znać jej imię, Donna Clemenza. Nazywa się Maria... Maria de Cressay. Pochodzi ze szlachetnego rodu, jej ojciec był rycerzem; czeka na mnie w swoim zamku o dziesięć mil od Paryża... Ma szesnaście lat.

Guccio wyszedł i w pląsach pędził przez galerię. Już widział królową Francji na swoim weselu. Aby ziścić to marzenie, trzeba było jeszcze z jednej strony, by król Ludwik mógł poślubić Donnę Clemenzę, a z drugiej strony, by rodzina Cressay zgodziła się oddać rękę Marii Lombardowi...

Młodzieniec odszukał Hugona de Bouville w przydzielonym mu apartamencie. Były wielki szambelan, z lustrem w ręku, starał się uzyskać

korzystne oświetlenie i wykręcał się na wszystkie strony, chcąc upewnić się co do swojej aparycji i ułożyć należycie czarne i białe kosmyki, które upodobniały go do grubego, srokatego konia. Właśnie rozważał, czy nie byłoby dlań korzystniej ubarwić włosy.

Podróże kształcą młodzież, ale zdarza się również, że wprowadzają zamęt w dusze mężów doletnich. Włoskie powietrze upoiło Bouville'a. Ten godny a możny pan, wielki skrupulant w wypełnianiu swych obowiązków, już we Florencji nie mógł się powstrzymać przed zdradą żony i natychmiast po tym popędził do kościoła wyspowiadać się. W Sienie, gdzie Guccio znał kilka rozpustniczek, popadł w recydywę, ale już czynił sobie mniej wyrzutów. W Rzymie zachowywał się, jakby odmłodniał o dwadzieścia lat. Neapol, obfitujący w łatwe rozkosze pod warunkiem, że jest się zaopatrzonym w nieco złota, wprowadził go w stan upojenia. To, co gdzie indziej uchodziłoby za grzech, tutaj przybierało pozór czegoś rozbrajająco naturalnego, niemal naiwnego. Mali, dwunastoletni stręczyciele - oberwańcy o złocistej cerze - zachwalali z latyńską elokwencją pupkę starszej siostry, a później grzecznie siedzieli w przedpokoju, drapiąc się po nogach. Co więcej, człowiek był zadowolony, że spełnił dobry uczynek, bo przecież cała rodzina miała za co jeść przez cały tydzień. A poza tym co za rozkosz przechadzać się w styczniu bez płaszcza! Bouville wystroił się zgodnie z ostatnią modą i nosił teraz zwierzchnią szatę o dwubarwnych rękawach w poprzeczne pasy. Oczywiście okradano go cokolwiek na każdym rogu ulicy. Zaiste drobna to zapłata za tyle uciech!

- Mój przyjacielu - rzekł do wchodzącego Guccia - czy wiecie, tak schudłem, że jest zupełnie możliwe, iż odzyskam wysmukłą talię.

To przypuszczenie świadczyło o wielkim optymizmie.

- Panie - rzekł młodzieniec - Donna Clemenza już może was przyjąć.

- Mam nadzieję, że portret nie jest ukończony.

- Już jest, panie.

Bouville ciężko westchnął.

- A więc trzeba nam wracać do Francji. Wyznaję, żal mi, bo polubiłem ten naród i chętnie bym dał kilka florenów temu malarzowi, żeby trochę przeciągnął swoją robotę. Chodźmy, nawet najlepsze rzeczy się kończą.

Wymienili porozumiewawczy uśmiech i, udając się do apartamentów księżniczki, zażywny poseł ujął serdecznie Guccia pod ramię.

Pomiędzy tymi dwoma ludźmi, o tak różnym wieku, pochodzeniu i stanowisku, zrodziła się prawdziwa przyjaźń

I utrwalała z etapu na etap. W oczach Bouville'a młody Toskańczyk zdawał się być wcieleniem tej podróży, z jej niewymuszoną swobodą, odkryciami i uczuciem odzyskanej młodości. Oprócz tego chłopak okazał się żwawy, subtelny, targował się z dostawcami, zarządzał wydatkami, łagodził trudności, dostarczał rozrywek. Zaś Guccio przy Bouville'u uczestniczył w splendorach wielkiego pana i przebywał w kręgu książąt. Jego niejasno określone stanowisko tłumacza, sekretarza i skarbnika zapewniało mu względy, wreszcie Bouville nie skąpił wspomnień; podczas długiej podróży konno lub wieczorem przy wieczerzy w oberżach czy też klasztornych gospodach pouczał Guccia o wielu sprawach dotyczących

króla Filipa Pięknego, dworu Francji, rodów królewskich. W ten sposób dopełniali się wzajemnie, odsłaniali przed sobą nieznane światy i uzupełniając je doskonale, tworzyli osobliwą parę, w której młodzieniaszek często wiódł męża aż nazbyt źrzałego.

Tak weszli do komnat Donny Clemenzy; ale ich beztroska mina natychmiast znikła, kiedy ujrzeli sztywno stojącą przed obrazem starą królową matkę, Marię Węgierską. Gnąc się w ukłonach, zbliżyli się ostrożnym krokiem.

Pani Węgierska miała siedemdziesiąt lat. Wdowa po królu Neapolu, Karolu II Kulawym, matka trzynaściorga dzieci, z których prawie połowa już umarła na jej oczach, zachowała po swym macierzyństwie szeroką miednicę, a po swych żałobach długie bruzdy łączące powieki z bezzębnymi ustami. Wysokiego wzrostu, miała szarą cerę, śnieżne włosy, a na obliczu wyraz siły, stanowczości i autorytetu, którego nie przyćmiła starość. Ledwie przetarła oczy, wkładała koronę. Spokrewniona z całą Europą, domagała się dla swego potomstwa królestwa węgierskiego i wreszcie je zdobyła po dwudziestu latach walki.

Teraz - kiedy jej wnuk, Karol Robert, czyli Karobert, spadkobierca najstarszego syna, przedwcześnie zmarłego Karola Martela, zasiadał na tronie w Budzie, kiedy kanonizacja drugiego syna, zmarłego biskupa Tuluzy, zdawała się być zapewniona, kiedy trzeci syn, Robert, panował w Neapolu i Pouilles, czwarty był księciem Tarentu i tytularnym cesarzem Konstantynopola, piąty diukiem w Durazzo, a z żyjących córek jedna była zamężna za królem Majorki, zaś druga żoną Fryderyka Aragońskiego, królowa Maria zajmowała się swoją wnuczką, siostrą Karoberta, sierotą Klemencją, swoją wychowanką; uważała, że misja jej nie została jeszcze zakończona. Zwróciwszy się nagle do Bouville'a, niby górski sokół, co godzi w kapłona, dała mu znak, aby się zbliżył.

- I cóż, panie - zapytała - sądzicie o tym obrazie?

Bouville pogrążył się w medytację przed sztalugami.

Ale wpatrywał się nie tyle w twarz księżniczki, ile w dwa boczne skrzydła obrazu, które zamykały się, aby chronić portret. Oderisi wymalował na jednym z nich Maschio Angioino, a na drugim w perspektywie port i za nim Zatokę Neapolitańską. Patrząc na ukształtowanie krajobrazu, który musiał wkrótce opuścić, Bouville już odczuwał nostalgię.

- Sztuka wydaje mi się bez zarzutu - rzekł wreszcie. - Może tylko obramowanie jest trochę za skromne na tak piękną twarz. Czy nie sądzicie, że jakieś złote festony...

Starał się uzyskać jeden lub dwa dni.

- Nie ma znaczenia - ucięła stara królowa. - Uważacie, że jest podobny? Tak. To najważniejsze. Sztuka to rzecz płocha i dziwiłoby mnie, gdyby król Ludwik troszczył się zbytnio o girlandy. Przecież interesuje go twarz, prawda?

Nie bawiła się w gładkie słówka i w odróżnieniu od całego dworu nie starała się ukrywać celu poselstwa. Odprawiła jednak Oderisiego, mówiąc:

- Dzieło jest dobrze wykonane, młodzieńcze; każcie naszemu skarbnikowi wypłacić waszą należność. A teraz wracajcie malować nasz

kościół i pilnujcie, żeby diabeł był należycie czarny, zaś anioły jaśniały blaskiem.

I żeby pozbyć się także Guccia, kazała mu pomóc malarzowi i zabrać pędzle. Tym samym tonem odesłała damę dworu, każąc jej haftować gdzie indziej.

Usunąwszy świadków, znów zwróciła się do Bouville'a.

- Tak więc, panie, wyjeżdżacie do Francji.

- Z niesłychanym żalem, Dostojna Pani, bo wszystkie uprzejmości, których doznałem tutaj...

- Lecz ostatecznie - przerywając mu, rzekła - wasza misja jest spełniona. Przynajmniej prawie...

Jej czarne oczy wbiły się w źrenice Bouville'a.

- Prawie, Dostojna Pani?

- Chcę powiedzieć, że ta sprawa jest zasadniczo załatwiona, ponieważ król, mój syn, i ja sama udzieliliśmy zgody na projekt. Ale ta zgoda, mości panie...

Poruszyła szczęką, aż napięły się ścięgna na szyi.

- ... ta zgoda, nie zapominajcie o tym, jest warunkowa. Bo chociaż w pełni doceniamy, że król Francji, nasz kuzyn, wyświadczył nam niezmierny zaszczyt swymi intencjami, choć jesteśmy gotowi kochać go z prawdziwie chrześcijańską wiernością i obdarzyć licznym potomstwem, boć niewiasty w naszej rodzinie są płodne, niemniej jest oczywiste, że nasza odpowiedź ostatecznie zależy od tego, czy wasz władca uwolni się od Pani Burgundzkiej bardzo szybko i w sposób rzeczywisty. Nie potrafimy zadowolić się odsunięciem, zaakceptowanym przez powolnych mu biskupów, czemu Kościół w swej najwyższej instancji mógłby się sprzeciwić.

- Uzyskamy unieważnienie niebawem, Dostojna Pani, jak miałem już zaszczyt was o tym zapewnić.

- Panie, rozmawiamy bez świadków. Nie zapewniajcie mnie o tym, co się jeszcze nie dokonało.

Bouville zakasłał, by ukryć zakłopotanie.

- To unieważnienie - odpowiedział - jest najpierwszą troską Dostojnego Pana de Valois, który wszystko zrobi, żeby je przyspieszyć, i uważa sprawę już teraz za załatwioną...

- Tak, tak - warknęła stara królowa - znam mego zięcia. W słowach nikt mu nie sprosta, a konie jego nie łamią nóg, dopóki ich sam nie wpędzi do rowu.

Choć jej córka Małgorzata zmarła już przed piętnastu laty, a Karol de Valois od tego czasu ożenił się dwukrotnie, w dalszym ciągu nazywała go „moim zięciem".

- Oczywiście, że nie damy w posagu ziemi, Francja ma jej dość. Niegdyś, kiedy nasza córka poślubiła Karola, wniosła mu we wianie Andegawenię, a to był spory kęs. Ale tamtego roku, kiedy córka Karola z drugiego łoża zawierała związek małżeński z naszym synem z Tarentu, wniosła mu Konstantynopol.

I stara królowa wykonała artretyczną ręką ruch, który oznaczał, że ten piękny tytuł wart był tyle co wiatr.

Na uboczu, przy otwartym oknie, Klemencja spoglądała na morze i czuła się skrępowana własną obecnością przy tych targach. Czyż miłości powinny towarzyszyć te wstępne rozmowy podobne debatom nad traktatem? Przecież przede wszystkim chodziło tu o jej szczęście i o jej życie. Odmówiono w jej imieniu, nie pytając o zdanie, tylu konkurentom, których uznano za nie dość godnych. A oto ofiarowują jej tron Francji, choć jeszcze przed miesiącem sama rozważała, czy nie należałoby wstąpić do klasztoru! Uważała, że babka rozprawia zbyt oschłym tonem. Ze swej strony była skłonna bardziej wyrozumiale potraktować okazję i odczuwać mniej skrupułów wobec prawa kanonicznego... Bardzo daleko w zatoce wojenny okręt żeglował ku brzegom Barbarii[12].

- W drodze powrotnej, Dostojna Pani - mówił Bouville - zatrzymam się w Awinionie, mam bowiem instrukcje Dostojnego Pana de Valois. I wkrótce będziemy mieć papieża, którego tak nam brakuje.

- Chciałabym w to uwierzyć - odparła Maria Węgierska. - Ale my pragniemy, aby sprawa została załatwiona przed latem. Nie brak nam pretendentów do ręki Pani Klemencji; jeszcze inni książęta życzą sobie pojąć ją za żonę. Nie możemy zgodzić się na długą zwłokę.

Ścięgna na jej szyi napięły się ponownie.

- Pamiętajcie, że w Awinionie - mówiła dalej - kardynał Dueze jest naszym kandydatem. Bardzo sobie życzę, żeby poparł go również król Francji. Tym prędzej otrzymacie unieważnienie, jeśli kardynał zostanie wybrany papieżem, że on wiele nam zawdzięcza i jest nam całkowicie oddany. Zresztą Awinion to ziemia andegaweńska, na której suwerenami jesteśmy my, pod zwierzchnictwem króla Francji oczywiście. Nie zapominajcie o tym. Idźcie złożyć pożegnalną wizytę królowi, mojemu synowi, i niech spełni się wasze życzenie. Przed latem, panie, przypominam o tym, przed latem.

Bouville pokłonił się i wyszedł.

- Moja Pani Babko - rzekła zaniepokojona Klemencja - czy sądzicie, że...

Stara królowa poklepała ją łagodnie po ramieniu.

- Wszystko jest w ręku Boga, moje dziecko, i cokolwiek nas spotyka, dzieje się wedle Jego woli.

Z kolei wyszła i ona.

„Król Ludwik może myśli o innych księżniczkach - pomyślała Klemencja, gdy została sama. - Czy wypada tak na niego nalegać i czy nie zacznie wypatrywać innej narzeczonej?”.

Stała przed sztalugami i skrzyżowawszy ręce na piersi przybrała machinalnie pozę jak na portrecie.

- Czy król rad będzie - zastanawiała się - złożyć pocałunek na tej dłoni?

VI

Polowanie na kardynałów

W dwa dni później Bouville i Guccio wsiedli rankiem na statek. Ostatecznie postanowili wracać morzem, aby zyskać na czasie. Razem z bagażem uwozili okuty metalem kuferek, w którym znajdowało się złoto, wypłacone im przez Bardich w Neapolu. Guccio klucz do niego przechowywał na piersi. Oparłszy się o barierę otaczającą kasztel rufowy[13], patrzyli z melancholią, jak oddala się Neapol, Wezuwiusz i wyspy. Widać było gromadki białych żagli, które opuszczały wybrzeże, udając się na dzienny połów. Później wypłynęli na pełne morze.

Morze Śródziemne było spokojne i okręt sunął gładko pełnym wiatrem. Guccio pamiętał swoją okropną przeprawę przez La Manche w poprzednim roku i był zaniepokojony wchodząc na pokład, ale teraz cieszył się, że nie choruje. Po dwóch zaledwie godzinach nabrał szacunku dla wspaniałej równowagi statku i niewiele brakowało, a porównałby siebie do pana Marco Polo, wielkiego żeglarza weneckiego, którego *Opisanie świata,* ostatnio opracowane na podstawie jego podróży, było bardzo poczytne i wielce sławne w tych latach.

Guccio chodził tam i z powrotem od jednego marynarza do drugiego, uczył się terminów nawigacyjnych i bawił z samym sobą w poszukiwacza przygód, podczas gdy były wielki szambelan nadal nie mógł odżałować cudownego Ciasta, które musiał nagle opuścić. Po pięciu dniach przybyli do Aigues-Mortes. Stąd wyruszył niegdyś Ludwik Święty na wyprawę krzyżową, ale budowę portu ostatecznie zakończono za Filipa Pięknego.

- Jazda - rzekł gruby Bouville, starając się otrząsnąć z nostalgii - teraz trzeba nam się wziąć do pilnej roboty.

Giermkowie mieli wyszukać konie i muły, pachołkowie przytroczyć toboły, skrzynię z portretem Oderisiego i kufer Bardich, którego Guccio nie spuszczał z oka.

Pogoda była przykra, pochmurna, a Neapol wydawał się już tylko sennym marzeniem.

Aby dotrzeć do Awinionu, potrzeba półtora dnia jazdy konno, wliczając postój w Arles. Podczas drogi pan de Bouville zaziębił się. Nazbyt przyzwyczajony do włoskiego słońca zaniedbał przyodziać się dostatecznie ciepło. Zimy zaś w Prowansji są krótkie, ale bywają ostre. Kaszląc, plując i wycierając nos, Bouville złorzeczył na srogi klimat kraju, który jakby przestał być jego ojczyzną.

Rozczarował ich przyjazd do Awinionu, gdzie mistral dął w gwałtownych podmuchach, nie było tam bowiem ani jednego kardynała. Rzecz co najmniej dziwna w mieście będącym siedzibą papieża! Nikt nie mógł udzielić wiadomości wysłannikowi króla Francji, nikt nic nie wiedział, czy też wiedzieć nie chciał.

Drzwi i okna pałacu papieskiego były na głucho zamknięte; pilnował go tylko odźwierny, niemy albo nawiedzony.[14] Ponieważ zapadała już noc, Bouville i Guccio postanowili przenocować w twierdzy Villeneuve po drugiej stronie mostu na Rodanie. Dowódca warowni, bardzo ponury i skąpy w słowach, powiedział im, że kardynałowie na pewno znajdą się w Carpentras i szukać ich należy raczej w tamtych stronach. Dostarczył podróżnym jadła i posłań, nie okazując jednak cienia skwapliwości.

- Ten kapitan łuczników - rzekł Bouville do Guccia - nie jest wcale uprzejmy wobec wysłanników króla. Zwrócę na to uwagę zaraz po powrocie do Paryża.

O świcie wszyscy już byli na koniach, gdyż mieli przebyć sześć mil, jakie dzieliły Awinion od Carpentras. Bouville nabrał nieco otuchy. Papież Klemens V nakazał bowiem w swej ostatniej woli, aby konklawe zebrało się w Carpentras, można więc było sądzić, że kardynałowie tam powrócili i konklawe wreszcie obraduje bądź przygotowuje się do obrad.

W Carpentras znów się zawiedli. Ani śladu czerwonego kapelusza. Był za to mróz i wiatr dął w dalszym ciągu, wpadał w uliczki i siekł ludzi po twarzach. A z tym wszystkim łączyło się niejasne przeczucie, jakby coś zagrażało podróżnym czy też coś przeciw nim knowano; bo zaledwie Bouville ze swoją świtą wyjechał rankiem z Awinionu, a już ich minęło dwóch jeźdźców i nie odpowiadając na pozdrowienia, pocwałowało do Carpentras.

- Dziwne - zauważył Guccio - wydaje się, jakby ci ludzie troskali się tylko o to, żeby przybyć przed nami tam, gdzie my jedziemy.

Miasteczko było wyludnione, mieszkańcy jakby zaszyli się pod ziemię czy też pouciekali.

- Czyżby to nasze zbliżanie się wywoływało przed nami tę pustkę? - zapytał Bouville. - Przecież nasz orszak nie jest dość liczny, by wzbudzać strach.

W katedrze odnaleźli tylko jakiegoś starego kanonika, który najpierw udał, jakoby myślał, że chcą się wyspowiadać, i zaprowadził ich do zakrystii. Wypowiadał się tylko szeptem lub gestami. Guccio, obawiając się zasadzki i niepokojąc o kufry pozostawione przy mułach, sięgnął po sztylet. Stary kanonik najpierw kazał sobie po sześć razy powtarzać każde pytanie, rozważał, kiwał głową, strzepywał pył z wyleniałej peleryny, wreszcie zdecydował się powiedzieć w zaufaniu, że kardynałowie wyjechali do Orange. Zostawili go tu samiutkiego...

- Do Orange? - wykrzyknął pan de Bouville. Później zaczął tak kichać, aż odgłos rozlegał się echem w całej katedrze.

- Ależ na rany boskie - powiedział, odzyskawszy oddech - toż to nie prałaci, ale jaskółki, ci wasi kardynałowie! Czy przynajmniej jesteście pewni, że są w Orange?

- Pewni... - odparł stary kanonik zgorszony zniewagą, jaką usłyszał. - Czego można być pewnym na tym świecie oprócz istnienia Boga? Myślę, że w Orange przynajmniej będziecie mogli dogonić Włochów.

Później zamilkł, jakby się obawiał, że już powiedział za wiele. Z wszelką pewnością chciał ulżyć jakiejś niechęci, lecz nie śmiał się zwierzyć.

- Więc dobrze, zgoda! Jedźmy do Orange - postanowił Bouville, zmęczony i rozdrażniony. - Jak to daleko? Tak samo sześć mil? Niech będzie sześć mil. Pachołki, na konie!

Gdy Bouville i Guccio wjechali na drogę wiodącą do Orange, natychmiast znów minęło ich dwóch jeźdźców pędzących w cwał; tym razem podróżni nie mogli już mieć wątpliwości, że to oni są powodem tych rozjazdów.

Bouville wpadł nagle w wojowniczy nastrój i chciał puścić się w pogoń za jeźdźcami, ale Guccio stanowczo się temu sprzeciwił.

- Nasz tabor jest za ciężki, panie Hugonie, byśmy mogli dogonić tych ludzi; ich wierzchowce są wypoczęte, nasze są zmęczone, a przede wszystkim nie chcę zostawiać w tyle kufra.

- To prawda, że moja szkapa jest nędzna - przyznał Bouville - czuję, jak jej grzbiet zaokrągla się pode mną i chętnie bym ją wymienił.

Wcale nie byli zdziwieni, gdy po przybyciu do Orange stwierdzili, że Monsignori są nieobecni. Jednakże Bouville uniósł się gniewem, kiedy usłyszał odpowiedź, że należy ich raczej szukać w Awinionie.

- Ależ przejeżdżaliśmy wczoraj przez Awinion - krzyczał do kleryka, który zgodził się udzielić im informacji - i było tam pusto jak na mojej dłoni. A Jego Wielebność Pan Dueze? Gdzie jest Wielebny Pan Dueze?

Kleryk odparł, że Wielebny Pan Dueze jest biskupem w Awinionie, a zatem należy pytać o niego w biskupstwie. Dyskusja wydawała się próżna.

Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności prewot z Orange był tego dnia w podróży, zaś urzędnik, który go zastępował, nie miał żadnych poleceń, aby kłopotać się o wygody przybyszów. Musieli więc spędzić noc w bardzo brudnej i bardzo zimnej karczmie, koło pola pełnego ruin, porośniętego chwastami, gdzie hulał wiatr. Siedząc naprzeciw Bouville'a złamanego zmęczeniem, Guccio myślał, że będzie musiał przejąć kierownictwo wyprawy, jeżeli kiedykolwiek mają powrócić do Paryża, osiągnąwszy coś lub nie.

Jednego z ludzi ze świty trzeba było pozostawić w Orange, bo muł przy rozjuczaniu złamał mu nogę kopytem. Dwa wierzchowce miały poranione kłęby, inne należało podkuć. Panu de Bouville ciekło z nosa, aż litość brała patrzeć. Tak mało okazywał energii i tak był zrozpaczony, widząc znów mury Awinionu, że nie czyniąc żadnych trudności zezwolił, by Guccio go zastąpił.

- Nigdy już nie ośmielę się stanąć przed królem - lamentował. - Ale jak wybrać papieża, pytam się, skoro wszystko, co nosi sutannę, ucieka przed nami. Nigdy już nie zasiądę w Radzie, już nigdy. Jedna misja, a zhańbiłem się na całe życie.

Kłopotał się o byle drobiazgi. Czy portret Pani Klemencji był aby dobrze przytroczony, czy nie uległ uszkodzeniu w czasie podróży.

- Pozwólcie mi działać, panie Hugonie - odpowiedział mu Guccio z powagą. - Przede wszystkim muszę was umieścić w jakiejś ciepłej izbie, bo, jak mi się zdaje, bardzo wam tego potrzeba.

Guccio poszedł szukać wojskowego dowódcy miasta i przemówił doń tonem, jaki winien był od samego początku przybrać de Bouville. Tak głośno wymienił wyraźnym akcentem włoskim wszystkie tytuły swego

przełożonego oraz własne, które sam sobie nadał, z taką swobodą wyraził własne żądania, że w niespełna godzinę opróżniono dom, który mogli zająć. Guccio rozlokował swoich ludzi, a Bouville'a ułożył w dobrze wygrzanym łóżku. Później, kiedy gruby jegomość, który z hipokryzją wymawiał się przeziębieniem, by nie podjąć żadnej decyzji, już zagrzebał się pod kołdrami, Guccio powiedział:

- Wcale mi się nie podoba ten smród pułapki, jaki się unosi wciąż koło nas, i chciałbym teraz zabezpieczyć nasze złoto. Jest tu agent Bardich, u niego złożę nasz depozyt. Potem będzie mi już łatwiej poszukać waszych przeklętych kardynałów.

- Moi kardynałowie, moi kardynałowie! - mruczał Bouville. - To wcale nie są moi kardynałowie i bardziej od was jestem zmartwiony z powodu tych fortelów, jakich wobec mnie używają. Pomówimy o tym, jak się trochę prześpij jeśli pozwolicie, bo czuję, że przemarzłem do kości. A czy jesteście przynajmniej pewni waszego Lombarda? Czy możemy mu zaufać? To złoto przede wszystkim należy do króla Francji...

Guccio potraktował go z góry.

- Pamiętajcie, panie Hugonie, że niepokoję się o te pieniądze zupełnie tak, jakby były własnością mojej własnej rodziny.

Następnie udał się do banku w dzielnicy Saint-Agricol. Agent Bardich - kuzyn szefa tej potężnej kompanii - przyjął Guccia tak serdecznie, jak należało powitać siostrzeńca znakomitego konfratra i osobiście umieścił złoto w opancerzonej komorze. Wymieniono podpisy, a następnie Lombard zaprowadził gościa do wielkiej sali, aby ten mu opowiedział o swoich tarapatach.

Gdy weszli, szczupły, z lekka przygarbiony mężczyzna, który stał przed kominkiem, odwrócił się i zawołał:

- *Guccio Baglioni! Per Bacco, sei tu? Che piacere di vederti!*[*]

- *Carrisimo Boccaccio, che fortuna! Che fai qua?*[**]

Zawsze ci sami ludzie spotykają się w drodze, bo w istocie podróżują zawsze ci sami. Nie był to żaden nadzwyczajny traf, że signor Boccaccio tu się znalazł, był przecież głównym podróżnikiem w kompanii Bardich.

Ale przyjaźń zawarta przypadkowo w drodze między ludźmi, którzy wiele podróżują, szybciej ich łączy, jest gorętsza, a często i trwalsza niż więzy między ludźmi osiadłymi.

Boccaccio i Guccio poznali się przed rokiem w drodze do Londynu; kilkakrotnie spotykali się w Paryżu i uważali się za przyjaciół od dzieciństwa. Radość ich wyrażała się w przednich obelgach toskańskich, barwnie okraszonych sprośnością. Słuchacz nie znający zwyczajów florenckich nie zrozumiałby, czemu ci dwaj rozradowani kompani wymyślają sobie od bękartów, szankrowatych i samcołożników.

Kiedy Bardi z Awinionu nalewał im wino zaprawione korzeniami, Guccio opowiedział o swojej podróży, o nieszczęśliwych wypadkach, jakie ich spotkały, gdy gonili kardynałów, i opisał żałosny stan grubego pana de Bouville.

Wkrótce Boccaccio pękał ze śmiechu.

---

[*] Guccio Baglioni! Na Bachusa, to ty? Jak miło cię zobaczyć!

[**] Najdroższy Boccaccio, co za traf! Co tu robisz?

- *La caccia ai cardinali, la caccia ai cardinali! Vi hanno preso per ii culo, i Monsignori!*[*]

Później spoważniał i udzielił Gucciowi kilku wyjaśnień.

- Nie dziw się, jeśli kardynałowie się chowają - mówił. - Nauczono ich ostrożności, zmusza ich do ucieczki każdy, kto przybywa jako wysłannik francuskiego dworu lub za takiego się podaje. Ubiegłego lata Bertrand de Got i Wilhelm de Budos, siostrzeńcy zmarłego papieża, przybyli tutaj wysłani przez twojego zacnego przyjaciela Marigny'ego jakoby po to, aby przewieźć do Bordelais ciało wuja. Mieli ze sobą tylko pięciuset zbrojnych ludzi, a to bardzo wielu tragarzy na jednego trupa! Ich zadaniem było przygotować wybór francuskiego kardynała, a nie używali jako argumentu słodkich słówek. Pewnego pięknego poranka splądrowali wszystkie domy Ich Eminencji, a jednocześnie oblegli klasztor w Carpentras, gdzie obradowało konklawe. Kardynałowie wyskoczyli przez wyłom w ścianie i uciekli na wieś, chcąc ocalić własną skórę. Gdyby nie ten wyłom przygotowany przez Opatrzność, źle wyglądałyby ich sprawy. Niektórzy biegli dobrą milę z podkasaną do kolan sutanną. Inni pochowali się w stodołach. Pamięć o tym jeszcze się w nich nie zatarła.

- Dodajcie jeszcze - powiedział kuzyn Bardich - że garnizon w Villeneuve został wzmocniony, a kardynałowie oczekują, iż lada chwila łucznicy przekroczą most. Widziano was, jak jechaliście do Villeneuve i jak stamtąd wracaliście, to wystarcza... A wiecie, kim są ci jeźdźcy, co was kilkakrotnie mijali? To ludzie arcybiskupa Marigny'ego, przysiągłbym na to. Mrowi się od nich teraz w okolicy. Nie mogę dokładnie zrozumieć, jaką oni robią tu robotę, ale na pewno nie waszą.

- Niczego nie uzyskacie, ani Bouville, ani ty - podjął Boccaccio - podając się za wysłanników króla Francji. Co najwyżej ryzykujecie, że pewnego wieczoru zjecie zupę tak przyprawioną, że już się nie obudzicie. Na razie może polecać kogoś kardynałom... kilku kardynałom... tylko król Neapolu. Mówiłeś, że stamtąd wracacie?

- Prościutko - odparł Guccio - i mamy nawet błogosławieństwo królowej Marii, żeby się zobaczyć z kardynałem Dueze.

- Ej! Czemuż tego nie powiedziałeś? My znamy tylko jego! Od dwudziestu lat jest naszym klientem. Dziwna to zresztą osobistość, ten Wielebny Pan Dueze. Zdaje się, że w Carpentras miał dobre warunki, by zostać papieżem.

- Dlaczego więc nie pozwolono go wybrać? Jest Francuzem.

- Urodził się Francuzem, ale był kanclerzem w Neapolu i właśnie dlatego nie życzy go sobie Marigny. Mogę ci z nim urządzić spotkanie nawet jutro, jeżeli chcesz.

- Więc wiesz, gdzie go znaleźć?

- Nigdy się stąd nie ruszał - rzekł, śmiejąc się, Boccaccio. - Wracaj do swojego mieszkania, a zawiadomię cię przed nocą. A jeżeli macie trochę wolnej gotówki, jak mi powiedziałeś, spotkanie będzie tym łatwiejsze. Bo zacny kardynał często jest bez grosza, a winien jest nam sporo.

W trzy godziny później signor Boccaccio stukał do drzwi domu, w

---

[*] Polowanie na kardynałów, polowanie na kardynałów! Przednio was nabrali ci Monsignori!

którym zamieszkał Bouville. Przynosił pomyślne wiadomości. Kardynał Dueze mógłby nazajutrz około godziny dziewiątej udać się na przechadzkę w celach zdrowotnych do miejscowości położonej o milę na północ od Awinionu, a zwanej Pontet* od mostku, który tam się znajdował.

Kardynał zgodziłby się spotkać pana de Bouville całkiem przypadkowo, gdyby ten przejeżdżał w pobliżu, pod warunkiem, że nie będzie mu towarzyszyć więcej niż sześciu ludzi. Orszaki winny się zatrzymać na skraju wielkiego pola, po obu jego stronach, zaś Dueze i Bouville spotkaliby się pośrodku, z dala od czyjegokolwiek oka i czyjegokolwiek ucha. Kardynał z kurii pragnął zabezpieczyć sobie pełną tajność spotkania.

- Guccio, moje dziecko, wybawiliście mnie i zawsze was zachowam we wdzięcznej pamięci - rzekł Bouville, którego zdrowie trochę się polepszyło wraz z odzyskaną nadzieją.

Więc nazajutrz rano Bouville w towarzystwie Guccia, signora Boccaccia oraz czterech giermków udał się do Pontet. Gęsta mgła zacierała kontury i tłumiła dźwięki, zaś miejscowość, wedle życzenia, była pusta. Pan de Bouville przywdział aż trzy płaszcze. Przez długą chwilę czekali.

Wreszcie z mgły wyłoniła się grupka jeźdźców, którzy otaczali młodzieńca jadącego na białej mulicy. Zeskoczył on lekko z wierzchowca. Odziany był w ciemną pelerynę, pod którą można się było domyśleć purpurowych szat, głowę zaś okrywała mu ciepła czapa z nausznikami. Zbliżał się dość żwawym krokiem, prawie podskakując po oszronionej trawie, i wtedy okazało się, że tym młodym człowiekiem był kardynał Dueze we własnej osobie, zaś Jego Młodzieńcza Mość liczyła sobie siedemdziesiąt lat. Jedynie twarz o zapadłych policzkach, zapadłych skroniach i białych brwiach na pergaminowej skórze ujawniała jego wiek, ale oczy zachowały żywy, czujny i młodzieńczy wyraz.

Bouville również ruszył ku niemu i spotkał się z kardynałem koło mostku. Obaj mężowie stali przez chwilę obserwując się, obaj zbici z tropu wzajemnym wyglądem. Bouville z wrodzonym szacunkiem dla Kościoła oczekiwał, że ujrzy prałata pełnego majestatu, trochę namaszczonego, nie zaś ognika skaczącego we mgle. Kardynał z kurii, sądząc, że wysłano do niego wojskowego dowódcę w stylu Nogareta lub Bertranda de Got, wpatrywał się w grubego jegomościa, opatulonego jak cebula i hałaśliwie wycierającego nos.

Kardynał zaatakował pierwszy. Jego głos musiał zaskoczyć każdego, kto go jeszcze nie słyszał. Głuchy jak werbel pogrzebowy, jednocześnie żywy, szybki a stłumiony, zdawał się wydobywać nie z jego gardła, a z gardła kogoś, kto znajdował się w pobliżu i kogo szukało się instynktownie.

- Więc przybywacie, panie de Bouville, z ramienia króla Roberta Neapolitańskiego, który zaszczyca mnie swoim chrześcijańskim zaufaniem. Król Neapolu... król Neapolu - powtórzył. - To bardzo ładnie. Ale jesteście także wysłannikiem króla Francji. Byliście wielkim szambelanem króla Filipa, który wcale mnie nie miłował... nie wiem zresztą, dlaczego, bo działałem zgodnie z jego życzeniem podczas koncylium we Vienne w sprawie rozwiązania zakonu templariuszy.

Bouville pojął, że rozmowa przybiera prawdziwie polityczny aspekt, i

---

* Mostkowo.

stojąc na polu Prowansji czuł się tak, jakby żądano od niego wyjaśnień na ścisłej Radzie. Pobłogosławił własną pamięć, że dostarczyła mu argumentu w odpowiedzi:

- Wydaje mi się, Dostojny Panie, że sprzeciwiliście się, aby uznano papieża Bonifacego za heretyka, i Filip wam tego nie zapomniał.

- Zaprawdę, Panie, za wiele ode mnie żądano. Królowie nie zdają sobie sprawy z tego, czego wymagają. Jeżeli ktoś należy do kolegium, spośród którego wybiera się papieży, to odczuwa odrazę do stwarzania takich precedensów. Kiedy król wstępuje na tron, nie rozgłasza wcale, że jego ojciec był zdrajcą, cudzołożnikiem i rabusiem, choć często tak bywa. Papież Bonifacy zmarł w obłędzie, wiemy o tym, odmawiał przyjęcia sakramentów i straszliwie bluźnił. Ale stracił rozum, ponieważ spoliczkowano go na tronie. Cóż zyskałby Kościół, wystawiając na pokaz tę hańbę? Co zaś do bulli, które ogłosił Bonifacy, zanim popadł w obłęd, całą ich herezją jest fakt, że nie spodobały się królowi Francji. Zaś w tej materii sąd należy do papieża raczej niż do króla. A papież Klemens V, mój czcigodny dobroczyńca... wiecie, że jemu zawdzięczam tę odrobinę wpływów, jakie posiadam... papież Klemens był tegoż zdania. Dostojny pan de Marigny również wcale mnie nie miłuje, czyni wszystko, aby mi się przeciwstawić, od kiedy wakuje tron świętego Piotra. Więc nic nie rozumiem! Dlaczego pragnęliście mnie zobaczyć? Czy Marigny nadal jest tak wszechwładny we Francji, czy też udaje, że nim jest? Powiadają, że już nie rządzi, wszyscy jednak nadal są mu posłuszni.

Osobliwy człowiek ten kardynał. Na wszelkie sposoby starał się unikać posła, a później uchylał się od spotkania teraz zaś od pierwszej chwili wchodzi w sedno sprawy, jakby od dawna znał swego rozmówcę.

- Prawdą, Wielebny Panie - odparł Bouville, który nie chciał wdawać się w dyskurs na temat Marigny'ego - prawdą jest to, że mam wam przekazać życzenie króla Ludwika, a także Dostojnego Pana de Valois, abyśmy jak najprędzej mieli papieża.

Białe brwi kardynała uniosły się.

- Piękne pragnienie, kiedy przeszkadza się podstępem, pieniędzmi czy też siłą, by mnie wybrano, i to już od dziewięciu miesięcy! Nie, żebym czuł się godny tak wysokiego posłannictwa... ale, pytam, któż jest godny? Ani też żebym był bardziej niż ktokolwiek łasy na tiarę, której wagę znam aż nazbyt dobrze. Wystarczy mi zupełnie biskupstwo w Awinionie, a także traktaty, którym poświęcam cały mój wolny czas. Rozpocząłem pisać *Thesaurus pauperum", Sztukę transmutacji* opartą na receptach alchemii, a także *Eliksir filozofów.* Prace te są już daleko posunięte i chciałbym je zakończyć przed śmiercią... Czyżby w Paryżu zmieniono decyzję w stosunku do mnie? Czy teraz mnie chcą mieć za papieża?

W tej chwili Bouville stwierdził, że instrukcje Dostojnego Pana de Valois były jak zawsze równie kategoryczne co niejasne. Otrzymał polecenie: „Papieża".

- Ależ oczywiście, Wielebny Panie - odpowiedział miękkim tonem - czemuż by nie was?

- A zatem żąda się ode mnie czegoś ważnego... chcę powiedzieć: od tego, kto zostanie wybrany. Jakiej oczekuje się przysługi?

- Rzeczywiście, Przewielebny Panie, król musi unieważnić swoje małżeństwo...

- ...aby móc wstąpić w powtórny związek małżeński z Panią Klemencją Węgierską? - dokończył kardynał.

Skarbiec maluczkich.

- Więc znacie ten plan?

- Czyż nie spędziliście trzech długich tygodni w Neapolu i czy nie przywozicie portretu Pani Klemencji?

- Widzę, że jesteście dokładnie poinformowani, Przewielebny Panie.

Kardynał nie odpowiedział, ale jął obserwować niebo, jakby dojrzał tam przechadzające się anioły.

- Unieważnienie... - rzekł swym stłumionym głosem, który rozpływał się we mgle. - Zapewne, zawsze można unieważnić. Czy drzwi kościoła były w dzień ślubu szeroko otwarte? Byliście tam obecni... i nie przypominacie sobie? Może inni pamiętają, czy przez nieuwagę nie zostały zamknięte... Wasz król jest bardzo bliskim kuzynem swojej małżonki! Być może zapomniano poprosić o dyspensę. Z tego powodu można by rozwieść prawie wszystkich książąt Europy; skuzynowani są na wszystkie strony, wystarczy popatrzeć na owoce ich związków, aby się o tym przekonać. Ten kuleje, tamten jest głuchy, ów bez żadnego skutku wysila się w sprawach cielesnych. Gdyby od czasu do czasu nie wślizgiwał się między nich jakiś grzech lub mezalians, wkrótce wymarliby wszyscy ze skrofułów i niemocy.

- Ród francuski - odparł urażony Bouville - czuje się doskonale, a nasi książęta krwi są silni jak kołodzieje.

- Tak, tak... ale jeśli choroba nie atakuje ciała, to atakuje głowę. A poza tym wiele dzieci umiera tam w niemowlęctwie... Nie, naprawdę, nie spieszno mi zostać papieżem.

- Ale gdybyście zostali wybrani - mówił Bouville, starając się podtrzymać wątek - czy unieważnienie waszym zdaniem byłoby możliwe... przed latem?

- Unieważnić jest łatwiej, niż odzyskać głosy, które z ich winy straciłem - z goryczą powiedział Jakub Dueze.

Rozmowa była jałowa. Bouville, patrząc na swoich ludzi przytupujących na skraju pola, żałował, że nie może wezwać Guccia albo tego signora Boccaccia, który wydawał się taki sprytny. Mgła trochę się rozwiała i można było domyślać się poza nią bladej tarczy słonecznej. Dzień był bezwietrzny. Bouville doceniał to; ale zmęczył się, stojąc, i zaczęły mu ciążyć jego trzy płaszcze. Machinalnie usiadł na murku, zbudowanym z ułożonych jeden na drugim płaskich kamieni, i zapytał:

- Raczcie w końcu powiedzieć, Wielebny Panie, w jakim stanie jest konklawe?

- Konklawe? Ależ wcale go nie ma. Kardynał d'Albano...

- Mówicie o osobie pana Arnolda d'Auch, który przybył do Paryża w ubiegłym roku...

- ...jako legat, żeby skazać wielkiego mistrza templariuszy. Tak, to ten sam. Jest kardynałem kamerlingiem i on winien nas zebrać; ale stara się od tego uchylić, odkąd otrzymał instrukcje pana de Marigny, za którego człowieka uchodzi.

- Ale jeżeli, w końcu...

W tej chwili Bouville spostrzegł się, że sam siedzi, zaś prałat wciąż stoi, więc nagle powstał, przepraszając.

- Nie, nie, proszę was... - rzekł Dueze, zmuszając go, aby usiadł.

Sam zaś lekko wskoczył na murek.

- Jeżeli nareszcie konklawe zebrałoby się - podjął Bouville - to do czego by doszło?

- Do niczego. Bardzo łatwo to zrozumieć.

Bardzo łatwo, na pewno, pojąć kardynałowi, który jak każdy elekt codziennie oblicza ewentualne głosy; trudniej Bouville'owi, który z pewnym trudem słuchał dalszego ciągu, wciąż wypowiadanego tym samym tonem niby z konfesjonału.

- Papież winien być wybrany przez dwie trzecie głosujących. Jest nas dwudziestu trzech: piętnastu Francuzów i ośmiu Włochów. Z tych ośmiu pięciu jest za kardynałem Gaetanim, siostrzeńcem Bonifacego... nie do zdobycia. Nigdy ich sobie nie pozyskamy. Chcą pomścić Bonifacego, nienawidzą francuskiej korony i wszystkich, którzy jej służyli bezpośrednio lub za pośrednictwem papieża Klemensa, mego czcigodnego dobroczyńcy.

- A trzech innych?

- ...nienawidzą Gaetaniego; chodzi o dwóch Colonnów i Orsiniego. Współzawodnictwo rodowe. Ponieważ żaden z tych trzech nie może niczego spodziewać się dla siebie, są mi przychylni o tyle, o ile stanowię przeszkodę dla Francesca Gaetaniego. Chyba... chyba, że otrzymają obietnicę, iż Stolica Apostolska powróci do Rzymu. To mogłoby na razie pogodzić wszystkich Włochów, choć potem mogą swobodnie powyrzynać się nawzajem.

- A piętnastu Francuzów?

- Ach! Gdyby Francuzi głosowali razem, już od dawna mielibyśmy papieża! Początkowo było za mną sześciu, wobec których, za moim pośrednictwem, król Neapolu okazał się szczodry.

- Sześciu Francuzów - liczył Bouville - i trzech Włochów, to razem daje dziewięciu.

- A tak, panie... to razem dziewięciu, a trzeba nam szesnastu głosów, by mieć dostateczną ilość. Zwróćcie uwagę, że nie wystarcza dziewięciu pozostałych Francuzów, żeby wybrać papieża, jakiego chciałby Marigny.

- O to więc chodzi, żeby zdobyć dla was siedem głosów. Czy przypuszczacie, iż niektóre można by pozyskać pieniędzmi? Mam możność zostawić wam trochę funduszy. Ile liczycie na kardynała?

Bouville był pewny, że bardzo zręcznie poprowadził sprawę. Ku jego zdziwieniu Dueze nie był skłonny rzucić się z radością na tę propozycję.

- Nie sądzę - odparł - aby kardynałowie francuscy, których nam brak, byli wrażliwi na ten argument. Nie oznacza to wcale, że uczciwość jest ich największą cnotą ani też że żyją w umartwieniu; ale na razie strach, jaki w nich wzbudza Marigny, góruje nad urokiem dóbr tego świata. Włosi są bardziej zacięci, ale nienawiść zastępuje im sumienie.

- Tak więc - rzekł Bouville - wszystko zależy od Marigny'ego i od władzy, jaką ma nad dziewięciu francuskimi kardynałami.

- Wszystko, panie, od tego zależy dzisiaj... Jutro może zależeć od czego

innego. Ile złota możecie mi przekazać?

Bouville szeroko otworzył oczy.

- Ależ wyście mi przed chwilą powiedzieli, Wielebny Panie, że to złoto nie przyda wam się na nic!

- Źle mnie zrozumieliście, panie. To złoto nie może mi pomóc do zjednania nowych zwolenników, ale jest mi bardzo potrzebne, abym zachował tych, których mam, a którym nie mogę dać beneficjów, dopóki jeszcze nie zostałem wybrany. Ładna to byłaby sprawa, gdybym pozyskał brakujące mi głosy, a tymczasem utracił te, które mnie popierają.

- Jaką sumą pragnęlibyście dysponować?

- Gdyby król Francji był dość bogaty i przekazał mi sześć tysięcy liwrów, zobowiązuję się właściwie je zużytkować.

W tejże chwili Bouville znów musiał wytrzeć nos. Tamten uznał to za unik i zląkł się, że wymienił za wysoką cyfrę. Był to jedyny punkt, jaki zdobył Bouville w czasie całej tej rozmowy.- Nawet z pięciu tysiącami - szepnął Dueze - byłbym w stanie stawić czoło... przez pewien czas.

Wiedział już, że to złoto po większej części nie opuści jego trzosu, a raczej pozwoli mu wybrnąć z długów.

- Ta suma - rzekł Bouville - zostanie wam doręczona przez Bardich.

- Niech ją zachowają w depozycie - odparł kardynał - mam u nich bieżący rachunek. Będę tam czerpał wedle potrzeb.

Po czym nagle objawił pośpiech, aby dosiąść mulicy. Zapewnił Bouville'a, że nie omieszka modlić się za niego i będzie rad znów go zobaczyć. Podał grubemu jegomościowi pierścień do ucałowania, a później odszedł, tak jak i przyszedł, podskakując po trawie.

„Osobliwego papieża będziemy mieli, zajmuje się tyleż alchemią, co Kościołem - myślał Bouville, patrząc, jak się oddala. - Czy został on stworzony do stanu, który sobie wybrał?".

Ostatecznie Bouville był raczej zadowolony z siebie samego. Nakazano mu zobaczyć się z kardynałami? Zdołał podejść do jednego z nich... Znaleźć papieża? Ten Dueze zdaje się niczego tak nie pragnął, jak nim zostać... Rozdać złoto? To była już sprawa załatwiona.

Kiedy Bouville znów spotkał się z Gucciem i z zadowoloną miną opowiedział mu o wynikach swej rozmowy, siostrzeniec Tolomeia zawołał:

- Tak więc, panie Hugonie, zdołaliście kupić, i to bardzo drogo, jedynego kardynała, który już był po naszej stronie.

A złoto Bardich z Neapolu, pożyczone za pośrednictwem Tolomei królowi Francji, powróciło do Bardich z Awinionu, aby spłacić dług kandydata króla Neapolu.

VII

Kwit w zamian za papieża

Filip de Poitiers, chudonogi, podobny z postawy do czapli, pochyliwszy głowę, stał przed Ludwikiem Kłótliwym.

- Sire, mój bracie - mówił ostrym, chłodnym tonem, który przypominał nieco ton głosu Filipa Pięknego - przekazałem wam wyniki naszej kontroli. Nie możecie żądać ode mnie, abym zaprzeczał faktom jasnym jak słońce.

Komisja mianowana celem sprawdzenia rachunków Enguerranda de Marigny zakończyła wczoraj swe prace.

W ciągu kilku tygodni Filip de Poitiers, hrabiowie de Valois, d'Evreux i de Saint-Pol, wielki pokojowiec Ludwik de Bourbon, arcybiskup Jan de Marigny, kanonik Stefan de Mornay oraz szambelan Mateusz de Trye, zebrani pod wysokim przewodnictwem hrabiego de Poitiers badali linijka po linijce dziennik Skarbu za okres lat szesnastu. Domagali się wyjaśnień i kazali sobie przedstawiać dowody i dokumenty z archiwum, nie opuszczając żadnego działu. Otóż to surowe śledztwo, przeprowadzone w atmosferze rywalizacji, a często i nienawiści, ponieważ w skład komisji wchodziło tyluż prawie przeciwników, co i zwolenników Marigny'ego, nie zdołało ujawnić niczego, co mogłoby stanowić dowód przeciw koadiutorowi. Zarząd dobrami Korony oraz pieniądzem publicznym okazał się celowy i skrupulatny. Jeśli Marigny się wzbogacił, zawdzięczał to faworom zmarłego króla i swoim własnym finansowym umiejętnościom. Nic nie zezwalało wysunąć oskarżenia, że kiedykolwiek łączył on swoje prywatne interesy z państwowymi, a tym bardziej - okradał Skarb. Valois, wściekły i rozczarowany jak gracz, który postawił na złą kartę, upierał się aż do końca i przeczył oczywistym faktom; jedynie jego kanclerz popierał go wbrew własnemu przekonaniu i podtrzymywał na tej pozycji nie do obrony.

Ludwik X znalazł się więc w posiadaniu wniosków komisji przegłosowanych sześciu głosami przeciw dwom, a jednakże wahał się je zatwierdzić. To wahanie do żywego raniło jego brata.

- Rachunki Marigny'ego są czyste; doręczyłem wam dowód - podjął Filip de Poitiers. - Jeśli chcieliście mieć inne sprawozdanie niż to, co jest zgodne ze stanem rzeczywistym, trzeba wam było wyznaczyć innego sprawozdawcę, nie mnie.

- Rachunki... rachunki... - odrzekł Ludwik X. - Każdy wie dobrze, że można wykazać w nich to, co się zechce. I każdy wie także, że sprzyjacie Marigny'emu.

Poitiers popatrzył na brata ze spokojną wzgardą.

- Nie sprzyjam nikomu, Ludwiku, chyba królestwu i sprawiedliwości. Dlatego przedkładam wam do podpisu pokwitowanie, które należy dać Marigny'emu.

Wszystkie różnice charakteru, istniejące niegdyś między królem Filipem Pięknym a Karolem de Valois, pojawiły się ponownie między Ludwikiem X a Filipem de Poitiers. Ale tym razem role były odwrócone. Niegdyś panujący brat naprawdę posiadał wszystkie cechy monarchy, a Valois sprawiał przy nim wrażenie warchoła. Obecnie warchoł rządził, a młodszego brata cechowały zalety, którymi winien odznaczać się monarcha. W ciągu dwudziestu dziewięciu lat Valois wzdychał: „Ach! gdybym to ja urodził się pierwszy!". A teraz Poitiers jął mówić do siebie, ale mając większą rację: „Na stanowisku, na którym pierworództwo osadziło mego brata, na pewno godniej bym się zachowywał".

- Zresztą rachunki to jeszcze nie wszystko. Nie podobają mi się inne sprawy - powiedział Ludwik. - Na przykład ów list od króla Anglii, w którym ten mi zaleca, żebym zaufał Marigny'emu, jak nasz ojciec, i zachwala mi usługi, jakie oddał obu królestwom. Bardzo nie lubię, kiedy mi ktoś dyktuje, jak mam postępować.

- Czy dlatego, że nasz szwagier daje wam rozsądną radę, musicie ją natychmiast odrzucać?

Ludwik X skierował spojrzenie w bok i pokręcił się trochę na swoim krześle. Dawał wymijające odpowiedzi i wyraźnie chciał zyskać na czasie.

- Zanim wypowiem się, zaczekam, aż wysłucham Bouville'a. Oznajmiono mi przed chwilą, że już powrócił.

- Co Bouville ma wspólnego z naszą decyzją?

- Chcę wysłuchać nowin z Neapolu, a także z konklawe - odpowiedział niecierpliwie Kłótliwy. - Nie życzę sobie postępować wbrew woli stryja Karola właśnie wtedy, kiedy mi się stara o małżonkę i wybiera dla mnie papieża.

- Tak więc jesteście gotowi poświęcić dla kaprysów naszego stryja nieskazitelnego ministra i odsunąć od władzy jedynego człowieka, który potrafi rządzić, zwłaszcza dziś. Strzeżcie się, mój bracie, nie możecie stosować półśrodków. Widzieliście przecież, że kiedy my szperaliśmy w rachunkach Marigny'ego niczym u nieuczciwego sługi, we Francji nadal wszyscy byli mu posłuszni jak i przedtem. Trzeba więc wam albo przywrócić mu w pełni władzę, albo też zniszczyć go doszczętnie, oskarżając o nie popełnione zbrodnie i skazując go za jego wierność. Wybierajcie. Marigny może zwlekać jeszcze rok, zanim da wam papieża, ale wybierze go zgodnie z interesami królestwa. Nasz stryj Karol sam osobiście będzie wam obiecywał Ojca Świętego z dnia na dzień i z pewnością nie upora się z tym szybciej, natomiast wynajdzie jakiegoś Gaetaniego, który zechce powrócić do Rzymu, stamtąd będzie mianował waszych biskupów i wszystkim u was rządził.

Wziął kwit, który uprzednio przygotował, zbliżył go do oczu, bo miał bardzo krótki wzrok, i odczytał po raz ostatni:

...tedy zatwierdzam, pochwalam i przyjmuję do wiadomości rachunki Wielmożnego Pana Enguerranda de Marigny. Uważam go za wolnego od wszelkiej odpowiedzialności, zarówno jego, jak i jego spadkobierców, za wszelkie wydatki poczynione podczas zarządu Skarbem zakonu templariuszy, Luwru oraz Izby Królewskiej.

Na pergaminie brak było tylko parafy króla i przyłożonej pieczęci.

- Mój bracie - podjął Poitiers - zapewnialiście mnie, że po upływie żałoby zostanę mianowany parem i że już powinienem uważać, iż posiadam ten tytuł. Otóż jako par królestwa radzę wam podpisać. Spełnicie w ten sposób czyn nakazany przez sprawiedliwość.

- Sprawiedliwość jest w ręku króla! - wykrzyknął Kłótliwy nagle i gwałtownie, jak zawsze kiedy czuł, że nie ma racji.

- Nie, Sire - spokojnie odparł Poitiers - nie, Sire. To król jest w ręku sprawiedliwości, żeby być jej wyrazicielem i pozwolić jej zatriumfować.

Tego samego dnia i o tej samej godzinie Bouville i Guccio dotarli do Paryża. Stolica w chłodzie i we wczesnym zmroku zimowego wieczoru zapadała w odrętwienie. Mateusz de Trye oczekiwał podróżnych przy bramie Saint-Jacques. Miał polecenie powitać Bouville'a w imieniu króla i natychmiast go do niego zaprowadzić.

- Jak to? Bez chwili odpoczynku? - powiedział Bouville. - Jestem brudny, a takoż padam ze zmęczenia, mój zacny przyjacielu, tylko cudem trzymam się na nogach. Już nie na moje lata takie wyprawy. Czyż nie można mi pozwolić ogarnąć się i przespać krzynkę?

Był niezadowolony z narzuconego mu pośpiechu. Już wyobrażał sobie, że razem z Gucciem po raz ostatni, w zacisznej izbie jakiejś dobrej oberży, zje wieczerzę, że pogawędzą o wszystkich sprawach, z których nie mieli sposobności zwierzyć się w ciągu sześćdziesięciu dni podróży, a odczuwali potrzebę wypowiedzieć je w ostatni wieczór, jakby wyczuwając, że okazja nie nadarzy się już im chyba nigdy.

Zamiast tego musieli rozstać się na środku ulicy nawet bez okazywania wylewów przyjaźni, bo krępowała ich obecność Mateusza de Trye. Bouville'owi ciężko było na duszy; był pełen melancholii jak wobec ukończonego dzieła i patrząc na odchodzącego Guccia, widział, jak oddalają się piękne dni Neapolu, ta cudowna chwila młodości, jaką los raczył obdarzyć jego jesienne lata. Tak oto trawa z trzeciego pokosu została zebrana i już nigdy nie zakiełkuje.

„Temu młodemu kompanowi dostatecznie nie podziękowałem za wszystkie usługi, jakie mi oddał, i za uciechę, jaką odczuwałem w jego towarzystwie" - myślał Bouville.

Nie zauważył nawet - tak rzecz była sama przez się zrozumiała - że Guccio zabrał kuferek z resztką złota Bardich. Niewielka to była ostatecznie sumka, po pokryciu wydatków na podróż i wypłaceniu obola kardynałowi, ale pozwalała przynajmniej kompanii Tolomei pobrać swoje komisowe. Wcale to nie przeszkadzało Gucciowi odczuwać wzruszenia, gdy rozstawał się z grubym Bouville'em. U ludzi bardzo uzdolnionych do handlu zmysł do interesu nigdy nie przeszkadza sentymentom.

Wchodząc do pałacu, Bouville zanotował pewne szczegóły, które mu się nie spodobały. Słudzy jakby zatracili gorliwą dokładność, jaką umiał im wpoić za panowania króla Filipa, a także ów wygląd uroczysty i pełen szacunku, który w najbardziej błahym ruchu świadczył, iż należą do królewskiego dworu. Widać było rozluźnienie dyscypliny.

Jednakże kiedy były wielki szambelan stanął przed Ludwikiem X,

zatracił całkowicie zmysł krytyczny. Stał przed królem i myślał wyłącznie o tym, aby się dość nisko pokłonić.

- Więc, Bouville - zapytał Kłótliwy, uścisnąwszy krótko swego posła - więc jak wygląda Pani Węgierska?

- Groźna, Sire, bez przerwy przed nią drżałem. Ale ma zadziwiający umysł, jak na swój wiek.

- A jej wygląd, twarz?

- Bardzo jeszcze majestatyczny, Sire, mimo że brak jej zupełnie zębów.

Ludwik X cofnął się z niepokojem, a Karol de Valois, który był obecny na audiencji, głośno się roześmiał.

- Ależ nie, Bouville - powiedział - król nie pyta was wcale o królową Marię, lecz o Panią Klemencję.

- Och! wybaczcie, Sire - odparł, czerwieniąc się, Bouville. - Pani Klemencja? Zaraz wam ją pokażę.

I kazał przynieść wyjęty ze skrzyni obraz Oderisiego. Ustawiono go na kredensie. Skrzydła chroniące portret zostały otwarte; przysunięto świece.

Ludwik zbliżył się ostrożnie, jakby obawiał się konfrontacji. Później uśmiechnął się do stryja.

- Jaki to piękny kraj, Sire, gdybyście wiedzieli - wykrzyknął Bouville, widząc znów Neapol na skrzydłach tryptyku. - Słońce tam świeci krągły rok. Ludzie tam są weseli, wszędzie słychać śpiewy...

- Więc bratanku, czyż was oszukałem? - mówił Valois. - Podziwiajcie tę cerę, te włosy jak miód, tę piękną, szlachetną postawę! A szyja, mój bratanku, co za piękna niewieścia szyja!

On sam, co nie widział młodej księżniczki od jakiegoś dziesiątka lat, nabrał otuchy i był pełen zadowolenia z samego siebie.

- A muszę powiedzieć Waszej Królewskiej Mości - dorzucił Bouville - że Pani Klemencja jest jeszcze bardziej urocza, gdy się ją ogląda w rzeczywistości...

Ludwik milczał; zdawało się, że zapomniał o obecnych. Głowę wysunął naprzód, grzbiet nieco wygiął i pogrążył się w to dziwne sam na sam z portretem. O, nie tylko mu się przyglądał; pytał go i zapytywał samego siebie. Odnajdował w błękitnych oczach coś ze spojrzenia Eudeliny, jakąś rozmarzoną cierpliwość, kojącą dobroć. Uśmiech zaś, a nawet koloryt przywodziły trochę na myśl pewne cechy podobieństwa do pięknej szafarki z pałacu... Eudelina, ale zrodzona z królów i przeznaczona na królową.

Ludwik przez chwilę starał się przysłonić portret wspomnieniem twarzy Małgorzaty Burgundzkiej, jej czoła okrągłego i wypukłego, jej wijących się włosów, cery brunetki i oczu często nieprzyjaznych... Lecz za chwilę ta twarz znikła, ukazała się znów twarz Klemencji w blasku swojej kojącej urody. Ludwik doszedł do przekonania, że przy tej jasnowłosej księżniczce ciało jego może nie lękać się zawodu.

- Ach! Jaka ona piękna, ona naprawdę jest piękna! - powiedział wreszcie. - Mój stryju, przedni mieliście pomysł, a także, że zamówiliście ten obraz. Wysoce wam jestem wdzięczen. A wam, panie Bouville, każę wypłacać po dwieście liwrów rocznie jako wynagrodzenie ze Skarbu... po ślubie.

- Och, Sire - szepnął z wdzięcznością Bouville - zaszczyt, że wam służę,

już jest dla mnie wystarczającą nagrodą.

Król podniecony chodził po komnacie.

- Tak więc, jesteśmy zaręczeni - podjął - jesteśmy zaręczeni... Pozostaje mi tylko rozwieść się.

- Tak, Sire, i powinniście to uczynić przed latem. Pod tym tylko warunkiem możecie wstąpić w związek małżeński z Panią Klemencją.

- Mam nadzieję, że nie będę musiał tak długo czekać. Ale kto postawił ten warunek?

- Królowa Maria, Sire... - odrzekł Bouville. - Ma jeszcze innych pretendentów do ręki swojej wnuczki i aczkolwiek wy jesteście w jej oczach najbardziej znamienitym i najbardziej pożądanym, nie chce ona wiązać się poza ten termin.

Wtedy Ludwik X pytającym ruchem zwrócił się do Valois, a ten również przybrał zdziwioną minę.

W czasie nieobecności Bouville'a, będąc w listownym kontakcie z Neapolem, Valois miał czelność oświadczyć, że układ już niebawem zostanie zawarty, i to w sposób ostateczny, bez klauzuli mówiącej o terminie.

- Czy Pani Węgierska postawiła wam ten warunek w ostatniej chwili? - spytał Bouville'a.

- Nie, Dostojny Panie, mówiła o tym w kilku nawrotach i powróciła doń w ostatniej chwili.

- Ech, to tylko takie słówko rzucone, żeby nas ponaglić i podbić własną cenę... Gdyby przypadkiem, co zresztą jest całkiem nieprawdopodobne, unieważnienie opóźniało się, Pani Węgierska zdobędzie się na cierpliwość.

- Nie wiem, Dostojny Panie, mówiła o tej sprawie bardzo poważnie i bardzo stanowczo.

Valois stracił kontenans i zabębnił palcami po poręczy krzesła.

- Przed latem - szeptał Ludwik - przed latem... A w jakim stanie znajduje się konklawe?

Wtedy Bouville złożył sprawozdanie ze swej podróży do Awinionu, nie wdając się w szczegóły dotyczące jego własnych przygód. Podał informacje zebrane przez Guccia, opowiedział o swym spotkaniu z kardynałem Dueze i podkreślił fakt, że wybór papieża zależy w pierwszym rzędzie od Marigny'ego.

Ludwik X słuchał z wielką uwagą, często kierując spojrzenie w stronę portretu Klemencji Węgierskiej.

- Dueze... tak - mówił. - Dlaczego by nie Dueze?... Gotów jest ogłosić wyrok unieważniający... Brak mu siedmiu głosów Francuzów... Tak więc zapewniacie mnie, Bouville, że tylko Marigny może uporać się z tą sprawą?

- To jest moje niezłomne przekonanie, Sire.

Kłótliwy powoli zbliżył się do stołu, gdzie leżał kwit przygotowany przez Filipa de Poitiers. Wziął gęsie pióro, umoczył je w atramencie. Karol de Valois zbladł.

- Mój bratanku - krzyknął, rzucając się ku niemu. - Czy zamierzacie uniewinnić tego łajdaka?

- Są jeszcze inni oprócz was, stryju, a ci twierdzą, że jego rachunki są w

porządku. Sześciu z wyznaczonych do kontroli baronów jest tego zdania, tylko wasz kanclerz stoi po waszej stronie.

- Mój bratanku, zaczekajcie, błagam was... Ten człowiek was oszukuje, jak oszukiwał waszego ojca! - wołał Valois.

Bouville zapragnął znaleźć się za drzwiami. Ludwik X wpatrywał się w swego stryja upartym, złośliwym wzrokiem.

- Powiedziałem już wam, że potrzeba mi papieża - powiedział.

- Ależ Marigny nie zgadza się na Dueze'a!

- Świetnie! Niech wybiera sobie innego!

I żeby uciąć dalszą dyskusję, dorzucił od rzeczy, ale za to z wielką pewnością w głosie:

- Wspomnijcie, że król jest w ręku sprawiedliwości... aby pozwolić jej zatriumfować.

Valois pożegnał się, nie kryjąc swego rozczarowania. Dławiła go wściekłość. „Lepiej bym zrobił - myślał - gdybym mu wynalazł jakąś dziewkę pokręconą i szpetną. Mniej by mu wtedy zależało na pośpiechu. Nabrano mnie, a Marigny powróci na dwór dzięki tej broni, jaką ukułem, aby go stąd przepędzić".

VIII

Rozpaczliwy list

Gwałtowny wicher smagał wąski witraż i Małgorzata Burgundzka odskoczyła wstecz, jakby ktoś skryty w niebie usiłował ją uderzyć.

Pochmurny dzień wstawał nad polami Normandii. Była to godzina, kiedy pierwsze straże wstępowały na blanki zamku Gaillard. Wichura pędziła z zachodu zwały chmur, unoszące w ciemnych kłębach masy wody; topole wzdłuż Sekwany kłoniły bezlistne pnie.

Sierżant Lalaine odryglował już przy krętych schodach drzwi oddzielające obie księżniczki, łucznik Gros-Guillaume postawił w komnacie Małgorzaty dwie drewniane miseczki napełnione dymiącą polewką i powłócząc nogami wyszedł bez słowa.

- Blanko... - zawołała Małgorzata, zbliżając się do drzwi. Nie otrzymała odpowiedzi.

- Blanko! - powtórzyła głośniej.

Cisza, która nastąpiła, napełniła ją przerażeniem. Wreszcie usłyszała na schodach powolny stuk drewnianych chodaków. Weszła Blanka, zgnębiona, na chwiejnych nogach. W półmroku wypełniającym komnatę spojrzenie jej jasnych oczu było niepokojąco puste, a jednocześnie tkwił w nim upór.

- Czy spałaś choć trochę? - zapytała Małgorzata. Blanka podeszła w milczeniu do dzbanka z wodą, stojącego na stołku, uklękła i, nachylając dzban do ust, piła zeń długimi łykami. Od pewnego czasu miała zwyczaj przybierać dziwaczne pozy, wykonując najzwyklejsze w życiu czynności.

W pokoju nie pozostało ani śladu z mebli Bersumeego. Dowódca warowni odzyskał je przed trzema miesiącami po dość brutalnych odwiedzinach Alaina de Pareilles, który przybył, aby mu przypomnieć instrukcje Marigny'ego. Uprzątnięto skrzynie i krzesła przyniesione na cześć Dostojnego Pana d'Artois, uprzątnięto stół, przy którym uwięziona królowa spożywała obiad, siedząc naprzeciw swego kuzyna. Kilka prymitywnych sprzętów, z gratów należących do załogi, stanowiło skąpe umeblowanie okrągłej ciemnicy. Łóżko było zaopatrzone w materac wypchany zeschłymi grochowinami. Bersumee natomiast dbał, aby nie brakowało kołder, ponieważ Pareilles oświadczył, że Marigny'emu zależy na zdrowiu Pani Małgorzaty. Ale prześcieradeł nie zmieniono ani razu, ogień zaś rozniecano tylko w czasie mrozów.

Obie kobiety usiadły obok siebie na krawędzi łóżka z miseczkami na kolanach.

Blanka jęła chłeptać gryczaną polewkę wprost z miski, nie posługując się nawet łyżką.

Małgorzata nie tknęła jedzenia. Ogrzewała palce, obejmując drewnianą miseczkę. Były to jedyne znośne chwile podczas całego dnia i ostatnia

zmysłowa rozkosz, jaka jej pozostała. Przymknęła oczy i syciła dłonie odrobiną ciepła, skupiona w tej nędznej rozkoszy.

Nagle Blanka wstała i rzuciła miseczkę przez izbę. Polewka rozlała się na podłogę, gdzie miała kisnąć przez tydzień.

- Co ci się stało? - spytała Małgorzata.

- Ja chcę umrzeć, chcę się zabić! - wrzasnęła Blanka. - Rzucę się zaraz ze schodów... A ty zostaniesz sama... sama!

Małgorzata westchnęła i zanurzyła łyżkę w polewce.

- Nigdy stąd nie wyjdziemy, i to z twojej winy - podjęła Blanka - dlatego że nie chciałaś napisać tego listu, którego żądał od ciebie Robert. To twoja wina, to wszystko twoja wina. Co to za życie tu siedzieć! A ja właśnie umrę i ty zostaniesz sama.

Zawiedziona nadzieja często gubi więźniów. Blanka, dowiedziawszy się o śmierci Filipa Pięknego, a zwłaszcza widząc, że przybył Robert d'Artois, uwierzyła, że wkrótce zostanie uwolniona. Tymczasem nic się nie zdarzyło, chyba to tylko, że cofnięto prawie wszystkie ulgi, jakie uwięzione uzyskały na przeciąg kilku dni z powodu przyjazdu kuzyna. Od tego czasu Blanka stała się jakby kimś innym. Przestała się myć, chudła, raz miała napady furii, to znów wylewała potoki łez, które pozostawiały długie szare smugi na jej umorusanych policzkach. Kosmyki odrośniętych włosów, splątane i zlepione, wymykały się spod płóciennego czepca. Była pełna wymówek i żalów wobec Małgorzaty i bez przerwy je powtarzała. Obarczała Małgorzatę winą za wszystko, zarzucała jej, że to ona pchnęła ją w ramiona Gautiera d'Aunay, lżyła ją, a potem tupiąc nogami żądała, by pisała do Paryża i godziła się na propozycję, którą jej uczyniono. Między tymi dwoma kobietami zagnieździła się nienawiść, a przecież miały tylko siebie nawzajem jako podporę i towarzystwo.

- Dobrze, jak nie masz serca walczyć, to umieraj - odparła Małgorzata.

- Po co walczyć? Bić się z murami... Tylko po to, żebyś ty została królową? Bo ty jeszcze masz nadzieję, że będziesz królową? Królowa! Królowa! Patrzcie mi, królowa!

- Ale gdybym się zgodziła, mnie by uwolnili, ale nie ciebie.

- Sama, sama, zostaniesz sama! - wykrzykiwała Blanka.

- Tym lepiej! Niczego więcej nie chcę, jak być sama! - odpowiedziała Małgorzata.

Ją także ostatnie tygodnie wyniszczyły bardziej niż całe pierwsze pół roku więzienia. Twarz jej wychudła, zaostrzyła się, pokryła liszajami. Dnie biegły nie przynosząc zmiany, to samo pytanie nieustannie drążyło jej umysł. Czy nie popełniła błędu odrzucając propozycję?

Blanka rzuciła się ku schodom. Małgorzata pomyślała: „Niech się roztrzaska! Obym tylko nie słyszała, jak jęczy i wyje! Nie zabije się, ale przynajmniej zabiorą ją i wywiozą". Pobiegła za szwagierką z wyciągniętymi w przód rękami, jakby ją zamierzała pchnąć w głąb schodów.

Blanka odwróciła się. Przez chwilę mierzyły się wzrokiem. Nagle Małgorzata oparła się o ścianę, prawie opadła na nią.

- Zaczynamy obie wariować... - powiedziała. - Zgoda, myślę, że trzeba napisać ten list. Ja też już jestem wykończona.

I wychyliwszy się, krzyknęła:

- Straż! Straż! Zawołać kapelana.

Odpowiedział jej tylko wiatr, który szarpał dachówkami na baszcie.

- Sama widzisz... - wzruszając ramionami powiedziała Małgorzata. - Każę go wezwać, kiedy przyniosą nam obiad.

Ale Blanka popędziła po schodach i jęła walić w drzwi na dole, wrzeszcząc, że chce widzieć kapitana. W sali na parterze dyżurni łucznicy przerwali grę w kości i usłyszały, jak jeden z nich wyszedł.

Po chwili przybył Bersumee w czapie z wilczej skóry nasuniętej aż po brwi. Wysłuchał żądań Małgorzaty.

Kapelan? Był dziś nieobecny. Pióra, pergamin? Do czego? Uwięzione księżniczki nie mają prawa porozumiewać się z nikim ani słowem, ani pismem; takie były rozkazy Dostojnego Pana de Marigny.

- Muszę napisać do króla - rzekła Małgorzata.

Do króla. Aa! To postawiło Bersumeego przed dylematem. Czy określenie „nikt" oznaczało także i króla?

Małgorzata mówiła tak głośno i tak bardzo uniosła się gniewem, że kapitan uległ.

- Idźcie, nie zwlekajcie - krzyknęła.

Bersumee udał się do zakrystii i osobiście przyniósł przybory do pisania.

Rozpoczynając pisanie listu Małgorzata po raz ostatni zbuntowała się, po raz ostatni miała odruch sprzeciwu. Już nigdy, jeżeli nawet jakimś cudem zostanie wznowiony jej proces, już nigdy nie będzie mogła żądać uniewinnienia i twierdzić, że bracia d'Aunay złożyli fałszywe zeznania na torturach. Odbierała swojej córce wszelkie prawo do korony...

- Pisz, pisz! - syczała Blanka.

- W istocie, już nic nie może być gorszego od tego, co jest - szepnęła Małgorzata.

I redagowała swoje zrzeczenie się.

... Przyznaję się i wyznaję, że moja córka Joanna nie jest Waszym dzieckiem. Przyznaję się i wyznaję, że zawsze Warn odmawiałam mego ciała, tak że małżeństwo między nami nie mogło stać się sprawą dokonaną... Przyznaję się i wyznaję, że nie mam żadnego prawa uznawać się za Waszą małżonkę. Oczekuję, jak mi to przyrzekł w Waszym imieniu pan d'Artois, że o ile szczerze wyznam moje winy, Wy zlitujecie się nad moim ciężkim losem i uznając moją skruchę odeślecie mnie do jakiegoś klasztoru w Burgundii...

Podejrzliwy Bersumee stał koło niej przez cały czas, kiedy pisała. Później wziął list i przez chwilę go studiował, a było to najzwyklejszą komedią, bo nie umiał zbyt biegle czytać.

- Ten list ma dojść jak najszybciej do Dostojnego Pana d'Artois - rzekła Małgorzata.

- Ach! To zupełnie wszystko zmienia. Zapewnialiście, że list jest przeznaczony dla króla.

- ... do Dostojnego Pana d'Artois, żeby go oddał królowi! - krzyknęła Małgorzata. - Napisane to w nagłówku. Czyż jesteście takim głupcem, że

tego nie widzicie?

- Ach! Tak... A kto zawiezie ten list?

- Wy osobiście!

- Nie otrzymałem rozkazu.

Przez cały dzień nie mógł zdecydować się, jak postąpić, i zaczekał, aż powróci kapelan, aby zasięgnąć jego rady.

List nie był zapieczętowany, kapelan więc zapoznał się z jego treścią.

- Przyznaje się i wyznaje... przyznaje się i wyznaje... Albo kłamie, kiedy się przede mną spowiada, albo też kłamie, kiedy pisze - powiedział, drapiąc się w płową głowę.

Był podchmielony i czuć go było cydrem. Mimo to przypomniał sobie, że Dostojny Pan d'Artois kazał mu czekać na mrozie przez trzy godziny, żeby wziąć list od Pani Małgorzaty, i odjechał bez listu, rzucając mu obelgi prosto w nos... Namówił Bersumeego, aby odkorkował butelkę, i po długich wywodach doradził wysłać list, sądząc, że może świta mu nadzieja poprawy własnej sytuacji.

Bersumee chciał postąpić podobnie również ze względów osobistych. W Andelys szerzyła się pogłoska, że Marigny popadł w niełaskę, a ludzie twierdzili nawet, że król wytoczył mu proces. Jedna rzecz była pewna: chociaż Marigny nadal przysyłał instrukcje, już nie przysyłał pieniędzy. Bersumee pobrał niespodziewanie przed trzema miesiącami żołd, lecz od tego czasu nie otrzymał ani denara i zbliżał się dzień, gdy mogło zabraknąć mu niezbędnych środków na wikt dla załogi i dla uwięzionych. Nastręczała się całkiem niezła okazja, żeby dowiedzieć się na miejscu, skąd wieje wiatr.

- Na twoim miejscu, kapitanie - mówił kapelan - przekazałbym list wielkiemu inkwizytorowi, a jest on także spowiednikiem króla. Ona pisze: „wyznaję". Więc jest to sprawa Kościoła i sprawa króla. Jeśli ci dogadza, chętnie się tym zajmę. Znam brata inkwizytora, należy on do mego klasztoru w Poissy...

- Nie, sam pojadę - odpowiedział Bersumee.

- Więc nie zapomnij powiedzieć o mnie, gdybyś zobaczył brata inkwizytora.

Przekazawszy nazajutrz zastępstwo sierżantowi Lalaine, Bersumee wdział swój żelazny hełm, dosiadł najlepszej szkapy i udał się w drogę do Paryża.

Przybył następnego dnia w samo południe, podczas ulewnego deszczu. Zachlapany błotem po przyłbicę, w przemoczonym do cna płóciennym kubraku wszedł Bersumee do oberży sąsiadującej z Luwrem, żeby się tu posilić i rzecz rozważyć, bo podczas całej drogi wciąż go świdrował niepokój. Jakżeż tu wiedzieć, czy robi dobrze, czy źle, czy działa w myśl, czy wbrew własnym interesom? Czy powinien zwrócić się do Marigny'ego, czy też udać się do Dostojnego Pana d'Artois? Czy łamiąc rozkazy jednego, uzyska coś u drugiego? Marigny... d'Artois... d'Artois czy Marigny? A czemu by nie do wielkiego inkwizytora?

Opatrzność nieraz czuwa nad durniami. Kiedy Bersumee suszył brzuch przed kominkiem, jego medytacje przerwał potężny klaps wymierzony mu w plecy. Był to sierżant Quatre-Barbes, dawny kompan z garnizonu, który

wszedł i poznał go. Nie widzieli się już od sześciu lat. Uścisnęli się i odskoczyli od siebie, żeby się sobie przyjrzeć, jeszcze raz uścisnęli się i z głośnym okrzykiem zażądali wina, aby oblać to spotkanie.

Quatre-Barbes, chude drabisko o poczerniałych zębach i źrenicach zbiegających się w kącikach oczu, był sierżantem w kompanii łuczników w Luwrze i stałym bywalcem w tej karczmie. Bersumee zazdrościł mu przebywania w Paryżu. Quatre-Barbes natomiast zazdrościł Bersumeemu, że szybciej od niego awansował i już dowodzi twierdzą. Wszystko składało się więc wybornie, ponieważ każdy z nich mógł sądzić, że drugi go podziwia.

- Jak to? To ty pilnujesz królowej Małgorzaty? Mówią, że miała stu gachów? Udka ją pewno popiekują i ręczę, że się nie nudzisz, ty stary szubieniczniku! - wykrzyknął Quatre-Barbes.

- Ech! Nie wierz tym plotkom!

Od rubasznych żartów przeszli do wspominków, a później do spraw aktualnych. Czy to prawda, że Marigny jest jakoby w niełasce? Quatre-Barbes musi o tym wiedzieć, przecież on mieszka w stolicy. Tak to Bersumee dowiedział się, że Dostojny Pan de Marigny zatriumfował nad wszystkimi, którzy kopali pod nim dołki, król wezwał go przed trzema dniami, uściskał w obecności kilkunastu baronów i jest on teraz jeszcze potężniejszy niż kiedykolwiek.

„Alem sobie pościelił tym listem” - pomyślał Bersumee.

Ponieważ wino rozwiązało mu język, Bersumee zaczął się zwierzać i ujawnił właściwy powód swej podróży, zażądawszy wpierw od Quatre-Barbes’a przysięgi, iż dochowa tajemnicy, której sam, jak dowiódł, nie potrafił zachować.

- Co ty byś zrobił na moim miejscu?

Długonosy sierżant przez chwilę kiwał głową nad kubkiem, a później odpowiedział:

- Na twoim miejscu zgłosiłbym się po rozkazy do pana de Pareilles. Jest twoim przełożonym. Przynajmniej będziesz kryty.

- Dobra myśl! Tak i zrobię.

Popołudnie upłynęło na gawędach przy kuflu. Bersumee podpił sobie, ale przede wszystkim odczuwał ulgę, że ktoś za niego powziął decyzję. Nie mógł jej wykonać natychmiast, ponieważ godzina była zbyt późna. Obaj kompani zjedli wieczerzę w tawernie. Oberżysta mocno ekskuzował się, że może im podać tylko kiełbaski z grochem, i użalał się długo nad trudnościami, jakie napotyka, zaopatrując się w żywność. Jedynie wina mu nie brakowało.

- I tak jesteście w lepszym położeniu niż my w naszych wioskach. Tam zaczyna się już sprzedawać korę drzewną - powiedział Bersumee.

Po czym Quatre-Barbes, by godnie zakończyć święto, zaciągnął Bersumeego na uliczki za katedrą Notre Dame do swawolnych dziewek, które - zgodnie z zarządzeniem z czasów Ludwika Świętego - barwiły sobie włosy na kolor miedzi, aby je można było odróżnić od przyzwoitych niewiast.

O świcie Quatre-Barbes zaprosił swego przyjaciela do koszar Luwru, aby się oporządził, i około nony Bersumee wyszczotkowany, wypucowany,

wygolony aż do krwi, stawił się w pałacowej kordegardzie, prosząc o posłuchanie u pana de Pareilles.

Naczelny dowódca łuczników nie okazał żadnego wahania, kiedy Bersumee wyjaśnił mu swoją sytuację.

- Kto wam wydaje rozkazy?

- Wy, panie.

- Kto jako mój przełożony stoi na czele wszystkich królewskich warowni?

- Dostojny Pan de Marigny, panie.

- Do kogo macie się zwracać we wszystkich sprawach?

- Do was, panie.

- A jako do mego przełożonego?

- Do Dostojnego Pana de Marigny.

Bersumee odnalazł to uczucie szacunku, a jednocześnie opieki, których doznaje każdy dobry żołnierz w obecności człowieka wyższego rangą, nakazującego mu, jak winien postąpić.

- Więc - wyciągnął wniosek Alain de Pareilles - właśnie Dostojnemu Panu de Marigny winniście doręczyć ten list. Ale uważajcie, żeby mu przekazać do rąk własnych.

W pół godziny później na ulicy Fosses-Saint-Germain zaanonsowano Enguerrandowi de Marigny, który pracował w swym gabinecie, że niejaki kapitan Bersumee przybył z polecenia pana de Pareilles i nalega o posłuchanie.

- Bersumee... Bersumee... - powiedział Enguerrand. - Ach! to ten osioł, co dowodzi zamkiem Gaillard. Niech wejdzie.

Drżąc, że został wprowadzony przed oblicze tak wielkiego męża stanu, Bersumee wydobył z pewnym trudem spod płóciennego kubraka i kurty list przeznaczony dla Dostojnego Pana d'Artois. Marigny natychmiast go przeczytał, bardzo uważnie, lecz nic nie ujawniło się na jego obliczu.

- Kiedy to zostało napisane? - spytał.

- Przedwczoraj, Dostojny Panie.

- Bardzo dobrze postąpiliście, żeście mi go przynieśli. Gratuluję wam. Zapewnijcie Panią Małgorzatę, że jej list zostanie skierowany tam, gdzie należy. A gdyby przyszła jej chęć pisać nowe listy, wyślijcie je pod ten sam adres. Jak się czuje Pani Małgorzata?

- Tak jak można się czuć w więzieniu, Dostojny Panie. Ale znosi je na pewno lepiej niż Pani Blanka, bo jej rozum, zdaje się, trochę się pomieszał.

Marigny zrobił ręką nieokreślony ruch, który oznaczał, że mało go obchodzi rozum uwięzionych.

- Czuwajcie nad zdrowiem ich ciała, niech będą odżywiane i trzymane w cieple.

- Dostojny Panie, ja rozumiem, że takie są wasze rozkazy, ale mogę im podawać tylko grykę, ponieważ trochę jej mam w zapasie. A co do drzewa, to musiałbym wysyłać moich łuczników na wyrąb, nie mogę zaś za często wymagać dodatkowej roboty od ludzi, którzy nie jedzą do syta.

- A to dlaczego?

- Pieniędzy mi brakuje w zamku Gaillard. Denara nie otrzymałem na wypłatę żołdu moim ludziom ani na zakup żywności. A jakie są ceny w ten

czas głodu, to sami wiecie.

Marigny wzruszył ramionami.

- Wcale mnie tym nie dziwicie. Wszędzie jest tak samo. Ja nie zarządzałem Skarbem w ostatnich miesiącach. Ale wszystko niebawem wróci do ładu. Płatnik waszego bajlifa wypłaci wam, zanim minie tydzień. Ile się wam należy, wam osobiście?

- Piętnaście liwrów, sześć soldów, Dostojny Panie.

- Otrzymacie natychmiast trzydzieści.

Marigny wezwał sekretarza, nakazując mu odprowadzić Bersumeego i wypłacić dowódcy twierdzy należność za jego posłuszeństwo.

Gdy Marigny pozostał sam, przeczytał ponownie list Małgorzaty, przez chwilę rozmyślał, a później rzucił go w ogień. Stał przed kominkiem przez cały czas, gdy zwęglał się pergamin.

W tym momencie czuł się naprawdę najpotężniejszą osobą w królestwie. Dzierżył w swoim ręku los wszystkich, nawet samego króla.

CZĘŚĆ TRZECIA

Wiosna zbrodni

I

Głód

Mieszkańcy Francji w roku tym cierpieli nędzę większą niż kiedykolwiek od stu lat. Znów pojawił się bicz ubiegłych wieków - głód.

W Paryżu za baryłkę soli żądano dziesięć srebrnych soldów, a pół kwarty pszenicy sprzedawano za sześćdziesiąt soldów - ceny niebywałe. Oczywiście ta niesłychana drożyzna była przede wszystkim skutkiem fatalnych zbiorów ubiegłego lata, ale w znacznej mierze spowodowała ją dezorganizacja administracji, warcholstwo związków baronów w wielu prowincjach, co utrudniało wymianę towarów, panika wśród ludności magazynującej żywność w obawie, że jej zabraknie, wreszcie chciwość spekulantów.

W czasie klęski głodowej luty to miesiąc do przeżycia najcięższy. Już wyczerpały się ostatnie jesienne zasoby, a także odporność i ciała, i ducha. Do głodu dołącza się chłód. W tym miesiącu najczęściej się umiera. Ludzie rozpaczają, że już nigdy nie ujrzą wiosny, a rozpacz ta u jednych przekształca się w przygnębienie, u innych w nienawiść. Człowiek, zbyt często wędrując na cmentarz, zastanawia się, kiedy nadejdzie jego kolej.

Po wsiach zjadano psy, których nie było czym żywić, polowano na zdziczałe koty. Z powodu braku paszy bydło padało, a ludzie walczyli o resztki ścierwa. Kobiety rwały i zjadały przemarzniętą trawę. Wiadomo było, że kora buków daje lepszą mąkę niż kora dębu. Codziennie w stawach pod lodem tonęli chłopcy usiłujący schwytać rybę. Już prawie nie było starców. Wynędzniali stolarze, upadając ze zmęczenia, bez przerwy zbijali trumny. Młyny stały nieme. Oszalałe matki kołysały dziecięce trupki. Niekiedy oblegano klasztor, ale jałmużna była bezsilna, skoro można było kupić tylko całuny.

Niekiedy zataczające się z wyczerpania bandy wyruszały z pól do miasteczek w próżnej nadziei, że dadzą im kawałek chleba; ale spotykały inne zgłodniałe bandy, które szły z miasta i zdawały się wędrować na Sąd

Ostateczny.

Tak było zarówno w okolicach poczytywanych za bogate, jak i w okolicach ubogich, w Artois jak w Owernii, w Poitou jak w Szampanii, w Burgundii jak w Bretanii, a także w Valois, w Normandii, w Beauce i w Brie, i w Ile-de-France. Nie inaczej było w Neauphle i w Cressay.

Przekleństwo, które od roku ciążyło nad królewską rodziną, zdawało się podczas zimy ogarniać całe królestwo.

Kiedy Guccio, eskortując Bouville'a, powracał z Awinionu do Paryża, przejeżdżał oczywiście przez udręczony kraj. Ale z góry spoglądał na głodową klęskę, zatrzymywał się bowiem u prewotów lub w królewskich zamkach i był zaopatrzony w solidne złoto, którym mógł opłacać wygórowane ceny w oberżach.

Nie martwił się tym i później, kiedy w tydzień po powrocie kłusował drogą z Paryża do Neauphle. Płaszcz podbity futrem był ciepły, wierzchowiec chyży, a on sam spieszył do ukochanej. Szlifował zdania, w jakich miał opowiedzieć pięknej Marii de Cressay, jak to rozmawiał o niej z Panią Klemencją Węgierską, być może wkrótce królową Francji, i jak to pamięć o niej nie opuszczała go ani na chwilę... co zresztą było prawdą. Bo przypadkowe zdrady wcale nie przeszkadzają myśleć o osobie, którą się zdradza. Przeciwnie, to nawet najczęstszy sposób, w jaki mężczyźni są wierni. Następnie opisze Marii cuda Neapolu... Czuł, że zdobi go urok podróży i splendor wielkich misji. Podążał w ramiona ukochanej.

Guccio, zdziwiony, jął spostrzegać coś innego prócz siebie dopiero w pobliżu Cressay, ponieważ znał dobrze tę okolicę i żywił dlań sentyment.

Pustka na polach, cisza w wioskach, nieliczne dymy z kominów ponad lepiankami, brak zwierząt, nędza i brud kilku spotkanych ludzi, a zwłaszcza ich spojrzenia zaskoczyły młodego Toskańczyka, napełniając go przykrym odczuciem niebezpieczeństwa. A kiedy wjechał ponad ruczajem Mauldre w podwórze starego zamku, ogarnęło go przeczucie nieszczęścia.

Ani koguta na śmietniku, ani porykiwania bydła w oborach, ani szczekania psa. Młody człowiek wjeżdżał na podwórze, a nikt - ani sługa, ani gospodarz - nie wyszedł mu na spotkanie. Dom zdawał się wymarły.

„Czyżby wszyscy wyjechali? - pomyślał. - Czyżby ich aresztowali, kiedy mnie nie było? Co się stało? Czyżby zaraza jakaś tu grasowała?".

Przywiązał wodze konia do kółka w murze i wszedł do głównego budynku. Spotkał się oko w oko z panią de Cressay.

- Och! Pan Guccio! - wykrzyknęła. - Przeczuwałam... przeczuwałam... A wy już tu...

Łzy napłynęły do oczu damy Eliabel i oparła się o jakiś mebel, jakby zachwiało nią to niespodziane spotkanie. Schudła o dwadzieścia funtów, a postarzała się o dziesięć lat. Suknia, co niegdyś tak dokładnie opinała jej biodra i piersi, wprost wisiała na niej. Z twarzy jej biło przygnębienie, a policzki obwisły pod wdowią podwiką. Guccio, chcąc ukryć zdziwienie, widząc ją tak zmienioną, rozejrzał się wokoło po sali rycerskiej. Dawniej, mimo skromnych zasobów, można tu było dostrzec pewną rycerską dostojność; dziś wszystko mówiło o bezsilnej nędzy, o biedzie, rozprzężeniu i brudzie.

- Nie mamy najlepszych warunków na przyjęcie gościa - powiedziała ze

smutkiem dama Eliabel.

- Gdzie są wasi synowie?

- Na polowaniu, jak co dzień.

- A panna Maria? - spytał Guccio.

- Niestety! - spuściwszy oczy rzekła dama Eliabel.

- Co się stało?

Dama Eliabel rozpaczliwym ruchem wzruszyła ramionami.

- Jest taka słaba - powiedziała - tak słaba, że nie mam nadziei, aby kiedykolwiek wstała, a nawet by doczekała Wielkanocy.

- Na co jest chora? - zapytał niecierpliwie wystraszony Guccio.

- Choroba, na którą wszyscy cierpimy, a która tu kosi mnóstwo ludzi! Głód, signor Guccio. Pomyślcie tylko, jeżeli ludzie takiej tuszy jak ja niegdyś są zupełnie wyczerpani, pomyślcie, jakie spustoszenie może czynić głód wśród dziewcząt, które jeszcze rosną.

- Ależ, na Boga, damo Eliabel - wykrzyknął Guccio - myślałem, że klęska głodowa godzi tylko w biedaków!

- A czym jesteśmy my, jeśli nie biedakami? Przecież nasz los nie jest lepszy dlatego, że posiadamy herb i rozsypujący się zamek. Całe nasze bogactwo, nas, drobnej szlachty, to nasi niewolni i praca ich, z której żyjemy. Czyż możemy oczekiwać, aby nas żywili, jeżeli sami nie mają co jeść i umierają pod naszymi drzwiami, wyciągając do nas rękę? Musieliśmy wybić bydło, żeby się z nimi podzielić. A dodajcie do tego, że prewot zmusza nas, aby dostarczać mu żywności, z rozkazu króla, jak mówi, zapewne by żywić swoich sierżantów, bo ci są opaśli jak zawsze... Kiedy wszyscy nasi chłopi wymrą, cóż nam pozostanie innego jak pójść ich śladem? Ziemia nic nie jest warta. Wtedy jest coś warta, gdy się ją uprawia, a te trupy, co się w niej grzebie, nie zmuszą jej, aby rodziła... Nie mamy już ani pachołków, ani dziewek! Nasz biedny kulawiec...

- Ten, którego zwałyście waszym giermkiem krajczym?

- Tak, nasz giermek krajczy... - odpowiedziała ze smutnym uśmiechem. - W zeszłym tygodniu odjechał na cmentarz. I wielu innych.

Guccio kiwał głową na znak współczucia. A w całej tej tragedii obchodziła go tylko jedna osoba.

- Gdzie jest Maria? - spytał.

- Na górze, w swoim pokoju.

- Czy mogę ją zobaczyć?

- Chodźcie.

Guccio szedł za nią po schodach, po których wstępowała powoli, stopień po stopniu, trzymając się konopnego sznura zwisającego wzdłuż osi krętych schodów.

Maria de Cressay spoczywała na wąskim łóżku, z którego zgodnie ze staroświecką modą luźno zwisały kołdry, a pod plecami materace i poduszki były tak spiętrzone, że leżąca osoba wydawała się niby ułożona na równi pochyłej, nogami niemal dotykając ziemi.

- Pan Guccio... Pan Guccio... - wyszeptała Maria. Miała błękitne sińce pod oczami, długie, mieniące się złotem kasztanowate włosy rozsypywały się na aksamitnej poduszce, wytartej aż do osnowy. Wychudłe policzki i wątła szyja były niepokojąco przezroczyste. Przyćmiła się jej dawna

słoneczna promienność, jakby ją zasnuł wielki, biały obłok. Dama Eliabel wycofała się, aby nie okazywać łez.

- Mario, moja śliczna Mario - powiedział Guccio, zbliżając się do łoża.

- Nareszcie, wy tutaj; nareszcie wróciliście. Tak się bałam. Och! Tak się bałam, że umrę i już was nie zobaczę.

Wpatrywała się w Guccia, a w jej oczach tkwiło wielkie niespokojne pytanie. Wsparta na dziwacznie spiętrzonych materacach nie wydawała się postacią realną, lecz jakby figurą wyciętą z jakiegoś fresku, a raczej z lekko prześwietlonego witraża.

- Co ci dolega, Mario? - spytał Guccio.

- Słabość, mój najdroższy, słabość. A także wielki strach, że mnie opuściłeś.

- Musiałem w sprawie króla wyjechać do Italii i to wyjechać tak pospiesznie, że nie mogłem ciebie zawiadomić.

- W sprawie króla... - powtórzyła cichutko.

Wielkie nieme pytanie wciąż tkwiło w jej spojrzeniu. A Guccio nagle uczuł, że wstydzi się swego doskonałego zdrowia, swej podbitej futrem odzieży, beztroskich tygodni spędzonych w podróży, wstydził się nawet słońca w Neapolu, a zwłaszcza próżności, jaka wypełniała go aż do ostatniej chwili z powodu przebywania wśród możnych tego świata.

Maria wyciągnęła swą piękną, wychudłą rękę, a Guccio ujął tę dłoń. Palce ich rozpoznały się, zapytały wzajemnie, a wreszcie złączyły się, skrzyżowały w tym ruchu, w którym miłość ujawnia się mocniej niż w pocałunku, jak dłonie dwóch istot wiążących się we wspólnej modlitwie.

Dopiero wtedy ze spojrzenia Marii znikło nieme pytanie. Przymknęła powieki i trwali przy sobie chwilę bez słowa.

- Wydaje mi się, że trzymając tak wasze palce czerpię z nich siłę - rzekła wreszcie.

- Mario, widzisz, co ci przywiozłem!

Wyciągnął z jałmużniczki inkrustowane perłami i polerowanymi drogimi kamieniami dwie cienkie rzeźbione złote płytki, jakie przyszywano do kołnierza płaszcza, zgodnie z modą panującą w zamożnych warstwach. Maria wzięła płytki i podniosła je do warg. Gucciowi ścisnęło się serce, bo klejnot, choćby rzeźbiony przez najzręczniejszego złotnika z Florencji czy Wenecji, nie zaspokoi głodu.

„Garnek miodu albo smażonych owoców byłby dziś stosowniejszym upominkiem” - pomyślał. I ogarnęła go chęć szybkiego działania.

- Zaraz jadę poszukać dla was lekarstwa - wykrzyknął.

- Jak tu jesteście, jak myślicie o mnie, to już niczego innego nie pragnę... Już odchodzicie?

- Wrócę za parę godzin.

Zbliżając się do drzwi, zapytał półgłosem:

- Wasza matka... czy już wie?

Maria zaprzeczyła ruchem powiek.

- Nie chciałam rozporządzać waszą osobą - odparła. - To wy macie mną rządzić, jeśli Bóg chce, bym żyła.

Guccio, schodząc do sali rycerskiej, spotkał damę Eliabel w towarzystwie obu jej synów, którzy przed chwilą powrócili. Piotr i Jan de

Cressay mieli zapadłe policzki, oczy błyszczące ze zmęczenia, odzież porwaną i źle połataną - oni również byli napiętnowani nieszczęściem. Powitali Guccia z radością, z jaką spotyka się przyjaciela. Ale nie mogli obronić się przed odrobiną zazdrości i rozgoryczenia, spoglądając na dostatni wygląd młodego Lombarda.

„Stanowczo bank obroni się lepiej niż szlachta" - pomyślał Jan de Cressay.

- Nasza matka opowiedziała wam i widzieliście Marię... - mówił Piotr. - Podziwiajcie nasze poranne łowy. Kruk, który złamał nogę i mysz polna. Będzie z tego uczciwy rosół dla całej rodziny! No cóż! Wszystko wyłapane. Próżno przyrzeka się chłopom kije, jeżeli będą polować na własny rachunek, wolą dostać kije, a zjeść zwierzynę. Na ich miejscu zrobiłbym tak samo. Zostały nam tylko trzy psy...

- Przydają się wam przynajmniej sokoły mediolańskie, które wam dałem ostatniej jesieni? - zapytał Guccio.

Obaj bracia, zmieszani, spuścili oczy. Potem starszy, Jan, szarpiąc brodę, zdecydował się powiedzieć:

- Musieliśmy odstąpić je prewotowi Portefruit, żeby się zgodził zostawić nam ostatniego wieprza. Zresztą nie mieliśmy już czym ich podszczuwać.

- Mieliście zupełną rację - odparł Guccio. - Trafi się sposobność, dostarczę wam nowe.

- Ten borsuk prewot - wykrzyknął Piotr de Cressay - przysięgam, że nie stał się lepszy po tym, jak wyciągnęliście nas z jego pazurów. On sam jest gorszy niż ten głód i jeszcze podwaja nieszczęście.

- Wstydzę się, panie Guccio, prosić was, abyście pożywili się z nami tym nędznym jadłem - rzekła wdowa.

Guccio odmówił bardzo delikatnie, tłumacząc, że oczekują go w jego kantorze w Neauphle.

- Postaram się jakoś i wam wyszukać trochę żywności - dorzucił. - Nie możecie tak dłużej żyć, a zwłaszcza wasza córka.

- Wielce wam dziękujemy za wasze chęci - odparł Jan de Cressay - ale nic nie znajdziecie oprócz trawy przy drodze.

- Jazda więc - zawołał Guccio, potrząsając sakiewką. - Nie będę Lombardem, jeżeli mnie się to nie uda.

- Nawet złoto nie przyda się na nic.

- To się jeszcze okaże.

Było sądzone, żeby Guccio w czasie każdych odwiedzin u tej rodziny odgrywał rolę rycerza zbawcy, a nie wierzyciela. Już nawet nie myślał o długu trzystu liwrów niespłaconym od śmierci pana de Cressay.

Skierował się ku Neauphle przekonany, że urzędnicy z kantoru Tolomei wybawią go z kłopotu. „Jak ich znam, musieli przezornie zrobić zapasy, albo wiedzą, gdzie się zaopatrzyć, kiedy jest czym płacić".

Ale zastał trzech urzędników siedzących wokół palącego się torfu. Mieli twarze woskowożółte, a nosy smutno opuszczone na kwintę.

- Od dwóch tygodni cały handel jest wstrzymany, panie Guccio - oświadczył mu szef kantoru. - Na cały dzień nie przypada nawet jedna transakcja. Wierzytelności nie wpływają i na nic by się zdało dokonać zajęcia, bo nie naleje się z pustego... Żywność?

Wzruszył ramionami.

- Za chwilę przygotujemy sobie ucztę z jednego funta kasztanów - mówił dalej - i będziemy się oblizywać przez trzy dni. Czy macie jeszcze sól w Paryżu? Ten brak soli najbardziej wyniszcza. Gdybyście mogli dostarczyć nam chociaż jedną baryłkę! Prewot w Montfort, ten to ma, ale nie chce jej rozdawać. Ach, jemu niczego nie brak, bądźcie pewni. Rabował wszystko wokół jak w podbitym kraju.

- Ależ to prawdziwa zaraza ten Portefruit! - wykrzyknął Guccio. - Pomówię z nim ja sam. Już go raz zaszachowałem, tego złodzieja.

- Signor Guccio... - rzekł szef kantoru, chcąc skłonić młodzieńca do ostrożności.

Ale Guccio był już na dworze i dosiadał konia. Nienawiść, jakiej jeszcze nigdy nie doświadczył, rozpierała mu pierś. Ponieważ Maria de Cressay umierała z głodu, przeszedł na stronę ubogich i cierpiących. I to jedno wystarczyło, aby mógł spostrzec, że miłość jego jest prawdziwa. On, Lombard, dziecko pieniądza, stanął nagle po stronie klanu nędzarzy. Dostrzegł teraz, że ściany domów jakby zionęły śmiercią. Czuł się solidarny z tymi rodzinami, kroczącymi na chwiejnych nogach w ślad za trumnami, z tymi ludźmi, których skóra napinała się ciasno na policzkach, a spojrzenie nabierało zwierzęcego wyrazu.

Zanurzy zaraz sztylet w brzuchu prewota Portefruit. Był na to zdecydowany. Pomści Marię, pomści całą prowincję i dokona sprawiedliwego czynu. Na pewno go za to aresztują. Chciał być pojmany, niech sprawa potoczy się dalej. Jego wuj Tolomei poruszy niebo i ziemię. Pan de Bouville i Dostojny Pan de Valois zostaną powiadomieni. Proces będzie się toczył przed parlamentem w Paryżu, a nawet przed królem. I wtedy Guccio zawoła: „Sire, oto dlaczego zabiłem waszego prewota!".

Półtorej mili galopu ochłodziło nieco jego wyobraźnię. „Pamiętaj, mój chłopcze, że trup nie płaci procentów" - słyszał od wczesnego dzieciństwa, jak mawiali jego wujowie bankierzy. Ostatecznie każdy sprawnie walczy tylko bronią jemu właściwą. Guccio, jak każdy zamożny Toskańczyk, umiał nieźle władać sztyletem, ale to nie był jego fach.

Wjeżdżając do Montfort-l'Amaury zwolnił biegu, uspokoił tak konia, jak i własne myśli, i stanął przed siedzibą prewota. Ponieważ sierżant wartownik nie okazał należytego pośpiechu, Guccio wyciągnął spod płaszcza opatrzony królewską pieczęcią glejt, który kazał wystawić Valois celem ułatwienia mu podróży do Neapolu.

Formuła w nim była dostatecznie wieloznaczna: *... Nakazuję wszystkim bajlifom, seneszalom i prewotom okazać pomoc i opiekę...* aby Guccio mógł się nią posłużyć jeszcze i teraz.

- Służba królewska! - rzekł. Na widok królewskiej pieczęci sierżant prewota stał się natychmiast uprzejmy i gorliwy i pobiegł otworzyć wrota.

- Masz nakarmić mego konia! - rozkazał mu Guccio.

Ludzie, nad którymi już raz uzyskaliśmy przewagę, na ogół uważają się z góry za pokonanych, kiedy się znajdą po raz drugi w naszej obecności. Gdyby nawet chcieli wierzgać, niczego to nie zmieni. Woda płynie zawsze z nurtem. Tak też ułożyły się stosunki między Portefruitem a Gucciem.

Prewot o brwiach okrąglutkich, policzkach okrąglutkich, brzuszku

okrąglutkim, podszyty niepokojem, potoczył się raczej, niż wyszedł na spotkanie swego gościa.

Przeczytawszy glejt, zmieszał się jeszcze bardziej. Jakie mogły być tajne funkcje tego młodego Lombarda? Czy przybył przeprowadzić śledztwo, kontrolę? Król Filip Piękny posługiwał się przecież tajemniczymi wysłańcami, którzy pod pozorem innego zawodu przebiegali królestwo, składali raporty, a potem nagle otwierała się krata więzienna.

- Aha, panie Portefruit, przede wszystkim chcę was zawiadomić - mówił Guccio - że ani słówka nie powiedziałem najwyższym władzom o tej historii podatku spadkowego rodziny Cressay, z której powodu mieliśmy okazję spotkać się w przeszłym roku. Uznałem, że zapewne była to omyłka. Powiadam to, żeby was uspokoić.

Piękny w istocie sposób, żeby uspokoić prewota! Oznaczało to jasno i wyraźnie: „Przypominam wam, że przyłapałem was na gorącym uczynku popełniania nadużycia i mogę o tym zawiadomić, kiedy mi się spodoba".

Księżycowe oblicze prewota nieco zbladło, co uwydatniło na skutek kontrastu fioletowe znamię okrywające mu skroń i część czoła.

- Dzięki wam, panie Baglioni, za wasz osąd sprawy. Istotnie, to był błąd. Zresztą kazałem go wyskrobać w księgach.

- Więc trzeba było w nich skrobać? - zauważył Guccio. Tamten pojął, iż powiedział niebezpieczne głupstwo.

Stanowczo ten młody Lombard miał dar mącenia mu w głowie.

- Miałem właśnie zamiar zasiąść do obiadu - powiedział, czym prędzej zmieniając temat. - Czy uczynicie mi zaszczyt, aby podzielić go...

Jął się płaszczyć. Taktyka nakazywała Gucciowi przyjąć zaproszenie, ludzie najchętniej zwierzają się przy stole. Zresztą Guccio od rana wiele jeździł i nic nie jadł. Wyruszywszy przeto z Neauphle z zamiarem zabicia prewota, zasiadał oto wygodnie naprzeciw niego, sztyletem posługując się wyłącznie, aby kroić prosiaka wyśmienicie upieczonego i skąpanego w wybornym, złocistym tłuszczyku.

To, że prewot sycił się jadłem w zgłodniałym kraju, było po prostu skandaliczne. „I pomyśleć - mówił do siebie Guccio - że tu przybyłem, żeby móc czymś nakarmić Marię, a opycham się sam!".

Każdy kęs wzmagał jego nienawiść, a ponieważ prewot, sądząc, że ułagodził swego gościa, podawał najznakomitsze kęski i najprzedniejsze wina ze swej piwnicy, Guccio powtarzał sobie za każdym łykiem, który był zmuszony wypić: „Zda z tego wszystkiego sprawę ten złoczyńca. Doprowadzę do tego, że wyślę go na stryczek, żeby na nim zadyndał".

Nigdy gość nie zajadał z tak wielkim apetytem i z tak małą korzyścią dla gospodarza. Guccio nie zaniedbał żadnej okazji, aby go wprawić w zakłopotanie.

- Dowiedziałem się, że nabyliście sokoły, panie Portefruit - zapytał nagle. - Czy macie więc prawo polować jak szlachta?

Tamten zakrztusił się przy czarce.

- Poluję z okolicznymi panami, kiedy raczą mnie zaprosić na łowy - odpowiedział żywo.

Postarał się raz jeszcze zmienić tok rozmowy i dorzucił:

- Wiele podróżujecie, jak mi się wydaje, panie Baglioni?

- Istotnie, wiele - odparł Guccio niedbale. - Powracam z Italii, gdzie załatwiałem sprawę naszego króla u królowej Neapolu.

Portefruit przypomniał sobie, że kiedy się po raz pierwszy spotkali, Guccio powrócił właśnie z podróży do królowej Anglii. Ten młody człowiek musiał mieć wielkie wpływy i zdaje się, że zatrudniano go zwłaszcza w misjach do królowych. Oprócz tego znał przecie sprawy, o których lepiej zamilczeć...

- Panie Portefruit, urzędnicy z kantoru, który wuj mój posiada w Neauphle, cierpią wielką nędzę. Znalazłem ich chorych z głodu, a zapewniają mnie, że nie mogą nic kupić - oświadczył nagle Guccio. - Jak wyjaśnicie, że na kraj tak wyniszczony głodem nakładacie dziesięcinę w naturze i zabieracie wszystko, co pozostało do zjedzenia?

- Ech! Panie Baglioni, klnę się wam, że to dla mnie poważna sprawa i wielkie utrapienie. Ale muszę słuchać rozkazów z Paryża. Jestem zobowiązany wysyłać im co tydzień trzy wózki z żywnością, jak i wszyscy inni miejscowi prewotowie, ponieważ Dostojny Pan de Marigny obawia się zamieszek i chce trzymać w garści stolicę. Jak zawsze wieś cierpi najdotkliwiej.

- A kiedy wasi sierżanci gromadzą to, czym muszą napełnić trzy wózki, mogą również dobrze napełnić czwarty i zachować dla was jeden.

Przerażenie ścisnęło serce prewota. Ach, jaki to kłopotliwy obiad!

- Nigdy, panie Baglioni, przenigdy! Co wy myślicie?

- Spokojnie, spokojnie, prewocie! A skąd bierze się to wszystko - zawołał Guccio, wskazując na stół. - Szynki, jak mi wiadomo, nie przybiegają same, żeby zawisnąć na waszej kołatce. Wasi sierżanci nie wyglądaliby tak dostatnio, jak wyglądają, gdyby lizali tylko kwiaty lilii na swych kijach!

„Gdybym wiedział - pomyślał Portefruit - skromniej bym go ugościł".

- Widzicie - odparł - chcąc utrzymać porządek w królestwie, należy do syta żywić tych, co nad nim czuwają.

- Na pewno - rzekł Guccio - na pewno. Prawicie jak należy. Człowiek obarczony tak poważnym urzędem nie powinien rozumować jak ludzie z pospólstwa i nie potrafiłby postępować za ich przykładem.

Jął nagle go chwalić, stał się przyjazny i zdawał się całkowicie podzielać poglądy swego rozmówcy. Prewot, który dostatecznie wypił, żeby nabrać odwagi, dał się nabrać.

- Tak więc, jeśli idzie o wysokość podatków... - podjął Guccio.

- Wysokość podatków? - spytał prewot.

- A właśnie, tak. Pobieracie je z czynszów dzierżawnych. Więc musicie sami mieć za co żyć, a także móc opłacać waszych urzędników... Więc siłą rzeczy musicie ściągać więcej niż to, czego żąda od was Skarb. Jak wy się do tego zabieracie? Podwajacie podatki, prawda? Robią to, jak mi wiadomo, wszyscy prewotowie.

- Mniej więcej - rzekł Portefruit, rozpuściwszy język, sądził bowiem, że ma do czynienia z kimś dobrze obeznanym ze sprawą. - Jesteśmy do tego zmuszeni. Już aby otrzymać moje stanowisko, musiałem posmarować łapę jednego z urzędników Marigny'ego.

- Urzędnika Marigny'ego, naprawdę?

- A tak... i w dalszym ciągu wsuwam mu grzeczną sakiewkę na każdego Świętego Mikołaja. Muszę też dzielić się z moim poborcą podatkowym, nie mówiąc już o tym, co ode mnie wyłudza bajlif, któremu podlegam. W ostatecznym obrachunku...

- ... nie pozostaje wam tak wiele dla was samych, rozumiem to dobrze. Więc, prewocie, pomożecie mi, a ja wam to tak wynagrodzę, że nic nie stracicie. Mam kłopoty z wyżywieniem moich urzędników z Neauphle. Co tydzień wydacie im sól, mąkę, bób, miód i mięso świeże albo suszone, słowem to, czego potrzebują, a oni zapłacą wam najwyższą cenę paryską jeszcze z małym naddatkiem trzech soldów do każdego liwra. Jestem wam nawet gotów wypłacić dwadzieścia liwrów zadatku - powiedział, pobrzękując sakiewką.

Dźwięk złota ostatecznie uśpił nieufność prewota. Jeszcze podyskutował dla formy o ilościach i cenach. Dziwił się, że Guccio żąda tak wiele żywności.

- Przecie macie tylko trzech urzędników. Czy naprawdę potrzeba im tyle miodu i suszonych śliwek? Och, ja mogę, ja mogę dostarczyć...

Ponieważ Guccio życzył sobie zabrać trochę prowiantów, prewot zaprowadził go do spiżarni, która raczej przypominała skład żywności.

Teraz, kiedy dobili targu, po co się kryć? I w pewnej mierze prewot odczuł zadowolenie, pokazując bezkarnie, jak sądził, swoje skarby żywnościowe. Zadarłszy nosa, wymachiwał przykrótkimi rękami, kręcił się między worami soczewicy i suszonego grochu, wąchał sery, pieścił wzrokiem różańce kiełbasek.

Choć spędził dwie godziny przy stole, wydawało się, że powrócił mu apetyt.

„Drab zasługuje na to, żeby rzucić się na niego z widłami” - pomyślał Guccio. Pachołek przygotował mu pokaźny tobołek, który owinął płótnem, aby był niewidoczny. Guccio kazał przytroczyć go do siodła.

- A gdyby przypadkiem - mówił prewot, odprowadzając swego gościa - zabrakło wam czegoś w Paryżu...

- Dziękuję wam, prewocie, będę pamiętał. Ale z pewnością znów ujrzycie mnie niebawem. W każdym razie bądźcie pewni, że będę o was mówił jak należy.

Po czym Guccio odjechał do Neauphle, gdzie połowę swego łupu oddał trzem urzędnikom, olśnionym i zachłystującym się śliną.

- Tak będzie co tydzień - rzekł. - Ustaliłem rzecz z prewotem. To, czego wam dostarczy, podzielicie na dwie części, jedną dla was, a drugą zabierze ktoś z Cressay albo wy ją tam zaniesiecie, zachowując ostrożność. Wuj mój bardzo interesuje się tą rodziną, która jest lepiej widziana na dworze, niż na to wygląda. Trzeba więc czuwać nad jej odżywianiem.

- Czy będą płacić gotówką, czy też należy powiększyć ich wierzytelności? - zapytał szef kantoru.

- Załóżcie oddzielne konto, które ja sam będę nadzorował.

Po dziesięciu minutach Guccio był już w zamku i postawił u wezgłowia Marii de Cressay miód, suszone owoce i słodycze.

- Oddałem na dole waszej matce soloną wieprzowinę, mąkę i sól...

Oczy chorej napełniły się łzami.

- Jak to się wam udało?... Panie Guccio, czy jesteś czarodziejem? Miód... Och! miód...

- Zrobiłbym o wiele więcej, żeby zobaczyć, jak nabierasz sił, i radować się, że mnie miłujesz. Co tydzień otrzymacie to samo od moich urzędników... Wierzaj mi - dodał z uśmiechem - że to łatwiejsza robota, niż wyłuskać kardynała w Awinionie.

To mu przypomniało, że nie przybył tu wyłącznie po to, aby karmić zgłodniałych, i korzystając, że byli sami, zapytał Marię, czy depozyt, który jej powierzył ubiegłej jesieni, znajduje się wciąż w tym samym miejscu, w kaplicy.

- Nie ruszyłam go - odpowiedziała. - Bardzo się niepokoiłam, że umrę, nie wiedząc, co z nim zrobić.

- Nie martw się już tym, zabiorę go zaraz. I na miłość boską, jeśli mnie kochasz, nie myśl już o śmierci!

- Teraz już nie - odparła, uśmiechając się. Pozostawił ją, gdy z miną pełną ekstazy zajadała miód, czerpiąc go z garnuszka po odrobince.

„Oddałbym całe złoto świata, całe złoto świata, byleby widzieć jej uszczęśliwioną twarz! Będzie żyła, pewien jestem. Jest chora z głodu, na pewno, ale przede wszystkim choruje z powodu mnie” - myślał z dufną pychą młodości.

Zszedłszy do sali rycerskiej, odprowadził na bok damę Eliabel, aby jej powiedzieć, że przywiózł z Italii cenne relikwie, bardzo skuteczne, i chciałby się pomodlić do nich sam w kaplicy, aby uzyskać uleczenie Marii. Wdowa była zachwycona, że ten młodzieniec tak przywiązany, tak obrotny, tak sprytny, jest jednocześnie aż tak pobożny.

Guccio, otrzymawszy klucze, poszedł do kaplicy i tam się zamknął; bez trudu odnalazł płytę koło ołtarza, podniósł ją i spośród pokruszonych kości dawnego dziedzica na Cressay wyciągnął ołowiane pudełeczko, które zawierało oprócz duplikatów rachunków króla Anglii i Dostojnego Pana d’Artois dokument stwierdzający szacherki arcybiskupa Jana de Marigny.

„Oto skuteczne relikwie, żeby uleczyć królestwo” - pomyślał.

Położył płytę na miejscu, przysypał ją warstewką kurzu i wyszedł, przybierając pobożną minę. Wkrótce potem, obsypany podziękowaniami, pocałunkami i błogosławieństwami kasztelanki i jej synów, udał się w drogę.

Jeszcze nie przekroczył Mauldre, a już Cressayowie rzucili się do kuchni.

- Poczekajcie, synkowie, poczekajcie przynajmniej, aż przygotuję posiłek - rzekła dama Eliabel.

Ale nie zdołała ich powstrzymać, bo obaj bracia już krajali grube plastry suszonej kiełbasy.

- Czy nie myślicie, że Guccio jest zakochany w Marii i dlatego tak się o nas troszczy? - zapytał Piotr de Cressay. - Nie żąda od nas zwrotu długu ani nawet procentów, wprost przeciwnie, obsypuje nas darami.

- Ależ nie - zaprzeczyła żywo dama Eliabel. - Nas wszystkich on miłuje, oto racja, i zaszczyca go nasza przyjaźń.

- To wcale nie byłaby taka zła partia - zauważył jeszcze Piotr.

Jan burczał pod wąsem. W jego pojęciu, jako głowy rodu, perspektywa

oddania siostry Lombardowi naruszała wszystkie szlacheckie tradycje.

- Gdyby były takie jego intencje, nigdy bym się nie zgodził...

Ale mając pełne usta, nie dokończył zdania. Pewne okoliczności usypiają chwilowo skrupuły i przygłuszają zasady. Jan de Cressay, żując, stał zamyślony.

Tymczasem Guccio, kłusując w stronę Paryża, rozważał, czy nie popełnił błędu, odjeżdżając tak szybko i nie korzystając z okazji, aby oświadczyć się o rękę Marii.

„Nie, to byłoby niedelikatne. Nie można zwracać się z podobną prośbą do ludzi wygłodzonych. Wydawałoby się, że chcę wykorzystać ich nędzę. Poczekam, aż Maria wyzdrowieje". W rzeczywistości do podjęcia decyzji zabrakło mu odwagi i starał się sam przed sobą wytłumaczyć własną nieśmiałość.

U schyłku dnia zmęczenie zmusiło go do przerwania podróży. Przespał kilka godzin w Wersalu, małej wiosce, smutnej i odosobnionej wśród niezdrowych bagnisk. I tu również chłopi umierali z głodu.

Nazajutrz rano Guccio przybył na ulicę Lombardów. Natychmiast zamknął się ze swoim wujem, któremu opowiedział oburzonym tonem wszystko, co widział. Jego sprawozdanie trwało dobrą godzinę. Messer Tolomei, zasiadłszy przed ogniem, słuchał bardzo spokojnie.

- Czy dobrze postąpiłem wobec rodziny Cressay? Ty mnie pochwalasz, prawda, wujku?

- Oczywiście, oczywiście, że pochwalam. I to tym chętniej, że na nic się zda dyskutować z zakochanym... Czy przywiozłeś kwit arcybiskupa?

- Tak, wuju - odrzekł Guccio, podając mu ołowiane pudełko.

- Mówisz więc - podjął Tolomei - że prewot z Montfort oświadczył ci, że ściąga podatek w podwójnej wysokości, a z tego część przekazuje urzędnikowi Marigny'ego. Czy wiesz, co to za urzędnik?

- Mógłbym się dowiedzieć. Ten błazen uważa mnie teraz za swego wielkiego przyjaciela.

- I twierdzi, że inni prewotowie postępują tak samo?

- Bez wahania. Czyż to nie hańba? Spekulują nikczemnie na nieszczęściu i tuczą się jak wieprze, podczas kiedy wokół lud ginie z głodu. Czy nie należałoby zawiadomić o tym króla?

Lewe oko Tolomei, to oko, które zawsze było niewidoczne, otworzyło się niespodziewanie i cała twarz przybrała całkiem inny wyraz - ironiczny, a zarazem niepokojący. Jednocześnie bankier zacierał powoli, jedną o drugą, swoje tłuste ręce o spiczasto zakończonych palcach.

- Doskonale! Bardzo dobre nowiny przynosisz mi, mój drogi Guccio, bardzo dobre nowiny - powiedział z uśmiechem.

II

Rachunki królestwa

Spinello Tolomei nie był człowiekiem, który działa pospiesznie. Rozmyślał całe dwa dni, później, trzeciego dnia, narzucił pelerynę na podbity futrem płaszcz, bo zacinał deszcz ze śniegiem, i udał się do pałacu Valois. Natychmiast przyjęli go hrabia de Valois i Dostojny Pan d'Artois; obaj dosyć przygnębieni i cierpcy w rozmowie z trudem trawili własną porażkę, snując mgliste plany zemsty.

W pałacu było o wiele ciszej niż w ubiegłych miesiącach, wyraźnie odczuwało się, że powiew łaski na nowo skierował się w stronę Marigny'ego.

- Dostojni Panowie - zwrócił się Tolomei do dwóch wielkich baronów - postępowaliście w ostatnich tygodniach tak, że gdybyście kierowali bankiem albo sklepem, musielibyście po prostu zamknąć przedsiębiorstwo.

Mógł sobie pozwolić na ten ton nagany; nabył to prawo za dziesięć tysięcy liwrów, wprawdzie niewydatkowanych z własnej kieszeni, ale przez niego żyrowanych.

- Nie pytaliście mnie o radę, więc jej wam nie dałem - ciągnął dalej. - Ale mogę was zapewnić, że człowiek tak potężny i doświadczony jak pan Enguerrand nie zabawia się w sięganie do skrzyń królewskich. Rachunki czyste? Oczywiste, że rachunki są czyste. Jeżeli kombinował, to w inny sposób.

Następnie zwrócił się bezpośrednio do hrabiego de Valois:

- Uzyskałem dla was pewną sumę, Dostojny Panie Karolu, aby pomnożyć zaufanie króla do was. Pieniądze te miały być szybko oddane.

- Ależ będą, messer Tolomei, będą.

- A kiedyż to, Dostojny Panie? Nie śmiem wątpić w wasze słowo. Jestem pewien swej wierzytelności, ale chciałbym wiedzieć, kiedy i w jaki sposób zostaną zwrócone. Teraz zaś już nie rządzicie Skarbem; wrócił on do rąk Marigny'ego. Nie słyszałem też, aby publicznie ogłoszono jakiekolwiek zarządzenie dotyczące emisji pieniędzy, co nam szczególnie leży na sercu, ani jakiekolwiek inne przywracające prawo do prywatnej wojny. Sprzeciwia się temu Marigny.

- A co proponujecie, żeby skończyć z tym śmierdzącym odyńcem? - wykrzyknął Robert d'Artois. - Jesteśmy do niego tyleż przywiązani co i wy, wierzajcie, a jeżeli możecie podsunąć nam lepszy pomysł, powitamy go z radością. Na tym polowaniu trzeba nam psów na zmianę.

Tolomei wygładził fałdy swej szaty, skrzyżował ręce na brzuchu.

- Dostojni Panowie, nie jestem myśliwym - odpowiedział - alem się urodził w Toskanii i wiem, że jak nie można powalić wroga od frontu, należy podejść go z boku. Wyście zbyt otwarcie potykali się w tej walce. Przestańcie więc oskarżać Marigny'ego i rozgłaszać wszędzie, że jest on

złodziejem, ponieważ król zaświadczył, że nim nie jest. Przez pewien czas zachowujcie pozory, że godzicie się, aby rządził, udawajcie nawet, że się z nim pogodziliście, a potem, za plecami, przeprowadźcie dochodzenie na prowincji. Nie obarczajcie tym urzędników królewskich, przecież to są kreatury Marigny'ego i właśnie w nich należy godzić. Ale powiedzcie szlachcie, tak możnej jak i drobnej, żeby wam opowiedziała o działalności prewotów. W wielu miejscowościach tylko połowa ściągniętych podatków dociera do Skarbu. To, czego nie pobiera się w gotówce, pobiera się w żywności i odsprzedaje po wygórowanych cenach. Przeprowadźcie dochodzenie, powiadam wam, a z drugiej strony uzyskajcie od króla, żeby zwołał wszystkich prewotów, poborców i urzędników skarbowych w celu zbadania ich ksiąg. Przez kogo? Przez Marigny'ego, ale oczywiście w asyście baronów i radców z Obrachunków. W tym samym czasie przedstawicie własnych kontrolerów. Wtedy, powiadam wam, wyjdą na jaw nadużycia, i to tak straszliwe, że bez trudu będziecie mogli zrzucić winę na Marigny'ego, nie troszcząc się już więcej, czy jest niewinny czy winny. Postępując tak, Dostojny Panie Karolu, będziecie mieć za sobą szlachtę, która buntuje się, widząc, jak na jej ziemiach lennych panoszą się sierżanci Marigny'ego; będziecie mieć też po swej stronie pospólstwo, które ginie z głodu i szuka odpowiedzialnych za nędzę. Oto, Dostojni Panowie, rada, jakiej ośmielam się wam udzielić i z jaką poszedłbym do króla, gdybym piastował wasze stanowiska... Ponadto wiecie, że nasze kompanie lombardzkie, mając kantory w licznych miejscowościach, mogą, o ile sobie tego życzycie, pomóc wam w dochodzeniach.

Valois przez kilka minut namyślał się.

- Trudno będzie - rzekł - przekonać króla, bo na razie jest zaślepiony w Marignym i w jego bracie arcybiskupie, po których spodziewa się wyboru papieża.

- Co dotyczy arcybiskupa, nie niepokójcie się - odparł bankier. - Mam na niego kaganiec, którym już raz się posłużyłem, a który mogę mu nałożyć na nos w odpowiedniej chwili.

Kiedy Tolomei wyszedł, d'Artois powiedział do Valois:

- Ten jegomość stanowczo jest silniejszy od nas.

- Silniejszy... silniejszy... - odparł Valois. - To znaczy wypowiada on w swoim kupieckim języku to, o czym myśmy już dawno myśleli.

Od następnego dnia począwszy, Valois spiesznie jednak stosował się do pouczeń genialnego kapitana Lombardów który za żyro dziesięciu tysięcy liwrów, dane swoim włoskim konfratrom, zafundował sobie luksus kierowania Francją.

Dobry miesiąc musiał nalegać Dostojny Pan de Valois, by przekonać króla. Na próżno Valois powtarzał swemu bratankowi:

- Wspomnijcie ostatnie słowa waszego ojca. Wspomnijcie, jak wam mówił: „Ludwiku, zapoznajcie się jak najwcześniej ze stanem waszego królestwa". A więc właśnie zwołując wszystkich prewotów i poborców, zapoznacie się z tym stanem. I nasz święty przodek, którego imię nosicie, również w tym względzie służy wam za przykład. Nakazał wielki przegląd tego rodzaju w roku 1247...

Marigny w zasadzie nie był wrogi takiemu zebraniu. Widział w nim

dobrą sposobność ujęcia ponownie w garść królewskich urzędników. I on również stwierdził rozluźnienie dyscypliny w administracji. Ale uważał za roztropne odłożyć na później zwołanie zgromadzenia, twierdził, że moment był nieodpowiedni, bo nędza teraz rozgoryczała lud, a ligi baronów usiłowały usunąć ze swych rezydencji, za jednym zamachem, wszystkich urzędników królewskich.

Było niewątpliwe, że od śmierci Filipa Pięknego władza centralna osłabła. W rzeczywistości przeciwstawiały się sobie dwie potęgi. Wchodziły w drogę jedna drugiej, nawzajem unieważniały rozkazy. Słuchano albo Marigny'ego, albo Valois. Ludwik X szamotał się między obu stronnictwami, a źle poinformowany, nie umiejąc odróżnić kalumnii od prawdziwych informacji, z natury niezdolny do tego, by stanowczo przeciąć spór, obdarzał zaufaniem to lewicę, to prawicę i zdawało mu się, że rządzi, podczas gdy tylko ulegał biegowi wypadków.

Ustępując pod naporem lig i na skutek opinii większości swojej Rady, Ludwik 19 marca 1315 roku, to jest po trzech i pół miesiącu od wstąpienia na tron, podpisał kartę przywilejów panom normandzkim, po czym prawie natychmiast zostały nadane karty panom z Langwedocji, Burgundii, Szampanii, Pikardii - ta ostatnia szczególnie interesowała hrabiego de Valois i Roberta d'Artois. Edykty te znosiły wszystkie, skandaliczne w oczach uprzywilejowanych, rozporządzenia, na mocy których Filip Piękny zabronił turniejów, prywatnych wojen i zbrojnych potyczek. Znów było wolno szlachcie wojować ze sobą, dosiadać koni, ruszać na wyprawy, najeżdżać zbrojnie... Innymi słowy, szlachta francuska odzyskiwała umiłowane prawo przodków do wyniszczania się w walkach rzeczywistych lub pozornych, masakrowania się i pustoszenia przy okazji ziem królestwa, aby rozstrzygnąć osobiste waśnie. Zaprawdę, jakimże potwornym monarchą, którego pamięć zasługiwała na hańbę, był ten, który w ciągu trzydziestu lat pozbawił ich tych zacnych rozrywek!

Panowie odzyskali również swobodę nadawania ziemi i mianowania nowych wasali, a tym samym zyskiwania nowych dochodów bez zasięgnięcia zdania króla. Odtąd we wszystkich sporach szlachta stawać miała tylko przed sądami szlacheckimi. Królewscy sierżanci i prewotowie nie mogli już zatrzymywać przestępców albo powoływać ich przed sąd, nie porozumiawszy się wpierw z miejscowym panem. Mieszczanie i wolni chłopi nie mieli już prawa, oprócz przypadków wyjątkowych, opuszczać ziemi pana, aby odwołać się do królewskiego sądu. Baronowie odzyskali również pewnego rodzaju niezależność w zakresie udzielania pomocy wojskowej i zwoływania wasali pod broń, co zezwalało im stanowić, czy chcą, czy też nie chcą uczestniczyć w wojnach ogólnonarodowych, a w razie zgody podawać, ile życzą sobie, aby im za to zapłacić.

Marigny zdołał wpisać w końcowej części tych kart mglistą formułę dotyczącą najwyższej władzy królewskiej i wszystkiego, co zgodnie z dawnym obyczajem należało do panującego księcia, i li tylko do niego. Ta prawna formuła dawała możność silnemu monarsze odebrać część po części to wszystko, z czego zrezygnował. Valois zgodził się jednak na tę klauzulę, bo „dawne obyczaje" oznaczało w jego pojęciu „za Świętego Ludwika", lecz Marigny nie żywił złudzeń; tak w duchu, jak i w

rzeczywistości rozpadały się wszystkie założenia monarchii „króla z żelaza”. Marigny wyszedł z tej narady 19 marca, oświadczając, iż tu wyżłobione zostało łożysko, którym potoczą się wielkie zamieszki.

W tym czasie postanowiono zwołać nareszcie prewotów, skarbników i poborców; do wszystkich bajlifów i seneszalów zostali wysłani oficjalni urzędnicy śledczy, których nazwano „reformatorami”, ale nie dano im należytego czasu do przeprowadzenia dokładnej kontroli, gdyż zebranie zostało wyznaczone na połowę następnego miesiąca. Ponieważ szukano miejsca, gdzie ma obradować to zgromadzenie, Karol de Valois zaproponował Vincennes ku pamięci Ludwika Świętego.

W oznaczonym więc dniu Ludwik Kłótliwy, jego parowie, baronowie, dostojnicy i najwyżsi urzędnicy koronni, członkowie Rady oraz Izby Rachunkowej udali się z wielkim przepychem do zamku w Vincennes. Ta piękna kawalkada ściągnęła ludzi na progi domów, chłopcy biegli w ślad za nią, krzycząc: „Niech żyje król!”, bo mieli nadzieję, że dostaną garść karmelków. Rozeszła się pogłoska, że król ma sądzić poborców podatkowych, a nic przy braku chleba nie mogło bardziej zadowolić ludu.

Pogoda kwietniowa była łagodna, lekkie obłoki krążyły po niebie nad dębowym lasem - prawdziwie wiosenna pogoda, która przywracała nadzieję. Chociaż nadal było głodno, przynajmniej skończył się chłód i mówiono, że przyszłe zbiory będą dobre, o ile zimni święci nie zabiją młodziutkiego zboża.

W pobliżu królewskiego zamku wzniesiono olbrzymi namiot niby na wielkie święto lub uroczysty ślub i dwustu poborców, skarbników i prewotów zasiadło szeregiem, jedni na drewnianych ławkach, inni w kucki na ziemi.

Pod baldachimem haftowanym w herby Francji młody król w koronie na głowie, z berłem w dłoni, zajął swe karło, krzesło składane na wzór kurulnego, a które od początków istnienia monarchii francuskiej służyło władcom za tron podczas podróży. Poręcze karła Ludwika X były rzeźbione w głowy chartów, a siedzenie wymoszczono poduszką z czerwonego jedwabiu.

Parowie i baronowie zajęli miejsca po jednej i drugiej stronie króla, a z tyłu za nimi radcy z Izby Rachunkowej za długimi stołami na krzyżakach. Wtedy zostali wezwani urzędnicy królewscy ze swymi rejestrami, a równocześnie i reformatorowie, którzy krążyli w odnośnych okręgach. Choć dochodzenie było pospieszne, pozwoliło jednak zebrać pokaźną ilość zeznań z terenu, z których większość szybko się potwierdziła. Prawie wszystkie rachunki nosiły ślady marnotrawstwa, nadużyć i frymarczeń, zwłaszcza w ostatnich miesiącach, zwłaszcza po śmierci Filipa Pięknego, zwłaszcza od kiedy podkopana została władza Marigny’ego.

Baronowie zaczęli szemrać, jakby sami byli wzorami uczciwości albo też jakby marnotrawstwo naruszało ich własne dobra. Strach ogarnął szeregi urzędników, niektórzy z nich woleli zniknąć chytrze w głębi namiotu, odkładając na później wszelkie wyjaśnienia. Kiedy przyszła kolej na prewotów i poborców z prowincji Montfort-l’Amaury, Dourdan i Dreux - o których Tolomei dostarczył reformatorom bardzo dokładnych danych do oskarżenia - wokół króla podniosła się wrzawa. Ale najbardziej

oburzonym ze wszystkich panów, tym, co najgłośniej wybuchnął gniewem, był sam Marigny. Głos jego przygłuszał inne głosy i tak zagrzmiał na swych podwładnych, aż musieli ugiąć grzbiety. Wymagał zwrotów, groził karami. Nagle Dostojny Pan de Valois powstał i przeciął jego słowa.

- Zaiste, piękną rolę gracie przed nami, panie Enguerrandzie - zawołał - ale na nic się nie zda grzmieć tak gromko w nos tym łajdakom, bo to są ludzie, których wyście wynieśli na ich stanowiska, wam są oddani i wszystko wskazuje, że wyście mieli z nimi spółkę.

Po tym publicznym oskarżeniu zaległa tak głęboka cisza, iż można było usłyszeć, jak kogut pieje na wsi. Ludwik Kłótliwy, wyraźnie zaskoczony, spoglądał to na prawo, to na lewo. Wszyscy wstrzymali oddech, bo oto Marigny ruszył na Karola de Valois.

- Panie - odpowiedział ochrypłym głosem - jeżeli znajdzie się w tej całej psiarni...

Szeroko otwartą ręką wskazał na zebranych prewotów.

- ...jeżeli znajdzie się jeden jedyny między tymi nikczemnymi sługami królestwa, który stwierdzi we własnym sumieniu i zaprzysięże na Ewangelię, że mnie w jakikolwiek sposób podpłacał albo oddał najmniejszą cząstkę ze swoich wpływów podatkowych, to chcę, żeby wystąpił.

Wtedy ujrzano, jak pchnięty wielką łapą Roberta d'Artois zbliża się prewot z Montfort, którego rachunki właśnie przeglądano.

- Co macie do powiedzenia? Przyszliście po swój stryczek? - rzucił doń Marigny.

Prewot, drżąc od stóp do głów, z okrągłą twarzą napiętnowaną fioletową plamą, stał niemy. Był jednak dobrze pouczony wpierw przez Guccia, a potem przez Roberta d'Artois, który przyrzekł mu w przeddzień, iż uniknie wszelkiej kary pod warunkiem, że będzie świadczył przeciw Marigny'emu.

- Więc co macie do powiedzenia? - zapytał z kolei hrabia de Valois. - Nie bójcie się wyznać prawdy, bo nasz umiłowany król jest tutaj, aby jej wysłuchać i wydać sprawiedliwy wyrok.

Portefruit przykląkł na ziemi przed Ludwikiem X i skrzyżowawszy swe krótkie ręce, wypowiedział:

- Sire, jestem wielkim winowajcą, ale byłem do tego zmuszony przez urzędnika Dostojnego Pana de Marigny. On to żądał co roku jednej czwartej podatków na rachunek swego pana.

- Jaki urzędnik? Wyjawcie jego imię, niech się stawi! - krzyknął Enguerrand. - Jakie sumy mu wypłaciliście?

Wtedy prewot dał się zbić z tropu - rzecz łatwo mogli przewidzieć ci, co się nim posługiwali, bo należało wątpić, by człowiek, który ugiął się przed Gucciem, nie załamał się całkowicie w obecności Marigny'ego. Wyjąkał imię urzędnika zmarłego przed pięciu laty, wpadł we własne sidła, wymieniając innego współwinowajcę, który jak się okazało, należał do dworu hrabiego de Dreux, a nie Marigny'ego. Był całkowicie niezdolny wyjaśnić, jaką tajemniczą drogą sprzeniewierzone fundusze mogły dotrzeć do rektora królestwa. Jego zeznanie zionęło oszustwem. Marigny położył mu kres, mówiąc:

- Sire, jak możecie osądzić, nie ma krzty prawdy w tym, co bełkoce ten

człowiek. To łotr, który aby się ocalić, powtarza wyuczone słowa, i to źle wyuczone przez mych wrogów. Można mi zarzucić, że pokładałem zaufanie w takich ropuchach, których nieuczciwość wyszła na jaw; można mi zarzucić słabość, że nie kazałem łamać kołem dobrego ich tuzina, podpiszę się pod naganą, chociaż od czterech miesięcy odjęto mi wiele możliwości oddziaływania na nich. Ale niech mnie nikt nie oskarża o kradzież. Pan de Valois waży się na to po raz drugi, ale tym razem już tego nie zniosę.

Panowie i urzędnicy zrozumieli wtedy, że wielki spór nareszcie się rozstrzygnie.

Dramatycznie, z jedną ręką na sercu, drugą wyciągniętą ku Marigny'emu, hrabia de Valois odparł, zwracając się do króla:

- Sire, mój bratanku, jesteśmy oszukiwani przez nikczemnika, który aż nazbyt długo pozostawał wśród nas, a jego przestępstwa ściągnęły przekleństwo na nasz ród. To on jest przyczyną zdzierstw, na które się uskarżają, to on za srebrniki, które mu wypłacono, uzyskał, ku hańbie królestwa, kilkakrotnie rozejm z Flamandami. Z tego powodu wasz ojciec popadł w taki smutek, iż skonał przed czasem. To Enguerrand jest przyczyną jego zgonu. Co do mnie, jestem gotów dowieść, że jest złodziejem i że zdradzał królestwo, a jeżeli wy go natychmiast nie zaaresztujecie, klnę się na Boga, że więcej się nie pojawię na waszym dworze ani na waszej Radzie.

- Skłamaliście gębą! - wykrzyknął Marigny.

- Na Boga, to wy łżecie, Enguerrand - odparł Valois.

Pasja rzuciła ich ku sobie. Chwycili się za kołnierze i ujrzano tych dwóch książąt, te dwa bawoły, z których jeden nosił koronę Konstantynopola, a drugi mógł się wpatrywać we własny posąg w Galerii Królów, jak walczą, plując obelgami niby tragarze, przed całym dworem i przed całą administracją państwa.

Baronowie zerwali się, prewotowie i poborcy cofnęli się, wywracając ławy. Reakcja Ludwika X była nieoczekiwana: jął trząść się ze śmiechu na swoim fotelu.

Filip de Poitiers, oburzony zarówno tym śmiechem, jak i sromotnym widokiem obu zapaśników, przybliżył się i siłą pięści zadziwiającą u człowieka tak chudego rozdzielił przeciwników, trzymając ich oddalonych w promieniu swych długich ramion. Marigny i Valois dyszeli, purpurowi, w podartej odzieży.

- Mój stryju - mówił Poitiers - jak śmieliście? Marigny, rozkazuję wam, opanujcie się. Raczcie wrócić do siebie i czekać, aż każdy z was się uspokoi.

Decyzja i moc płynąca niespodziewanie z tego dwudziestoczteroletniego młodzieńca zaimponowały mężom, którzy lat mieli prawie dwukrotnie tyle co on:

- Odejdźcie, Marigny, powiadam wam - naciskał Filip de Poitiers. - Bouville! Odprowadźcie go.

Marigny dał się odciągnąć Bouville'owi i wyszedł przez bramę zamku w Vincennes. Ustępowano przed nim jak przed rozjuszonym bykiem, którego usiłują doprowadzić do zagrody.

Valois nie ruszył się z miejsca. Trząsł się z nienawiści i powtarzał:

- Każę go powiesić! Jakem Valois, każę go powiesić!

Ludwik X przestał się śmiać. Interwencja brata dała mu nauczkę, jak należy utrzymywać autorytet. Co więcej, zdał sobie nagle sprawę, że go oszukano. Pozbył się berła, przekazując je w ręce swego szambelana, i rzekł szorstko do Valois:

- Stryju, muszę z wami porozmawiać i to niezwłocznie. Raczcie pójść za mną.

III

Od Lombarda do arcybiskupa

- Przyrzekliście mi, stryju - krzyczał Ludwik Kłótliwy, przebiegając nerwowym krokiem jedną z sal na zamku w Vincennes - przyrzekliście, że na pewno nie będziecie już oskarżać Marigny'ego. A tak właśnie zrobiliście! To są kpiny z mojej woli.

Dobiegł do końca komnaty, obrócił się na pięcie, a krótki płaszczyk, na który zmienił swój długi uroczysty płaszcz, rozwiał mu się wokół łydek.

Jeszcze zdyszany bójką, z twarzą nabrzmiałą, z poszarpanym kołnierzem, Valois odparł:

- Jakże, mój bratanku, nie popaść w gniew w obliczu takiego łotrostwa!

Teraz prawie w to wierzył, przekonywał siebie, że uległ był własnym emocjom, chociaż ćwiczył swoją rolę w tej komedii już od wielu dni.

- Wiecie lepiej niż ktokolwiek, że trzeba nam papieża - podjął Kłótliwy - i wiecie także, dlaczego nie możemy zrażać do siebie Marigny'ego. Bouville wyraźnie nas o tym uprzedził!

- Bouville! Bouville! Wierzycie tylko w to, co wam doniósł Bouville, który niczego nie widział i niczego nie pojmuje. Mały Lombard, któregośmy dali mu za towarzysza, by pilnował złota, więcej mi opowiedział o sprawach awiniońskich niż wasz Bouville. Papież mógłby zostać wybrany jutro i gotów następnego dnia dać unieważnienie, gdyby Marigny i tylko Marigny wszelkimi siłami tego nie utrudniał. Czy myślicie, że przykłada się do załatwienia waszej sprawy? Na odwrót, przeciąga ją, jak mu się żywnie podoba, bo dobrze wie, dlaczego trzymacie go na stanowisku. Papieża andegaweńskiego on wcale nie pragnie ani żebyście się ożenili z Andegawenką, a zdradzając was na każdym kroku, jednocześnie umacnia w swych rękach władzę, którą mu oddał wasz ojciec. Gdzie będziecie dziś wieczór, mój bratanku?

- Postanowiłem nie ruszać się stąd - odpowiedział z nadętą miną Ludwik.

- Więc jeszcze przed wieczorem przedstawię wam pewne dowody, które zmiażdżą waszego Marigny'ego. I myślę, że wtedy mi go wreszcie wydacie.

- Bardzo dobrze zrobicie, stryju, jak tego dopniecie, bo inaczej będziecie musieli dotrzymać waszego słowa i nie pojawiać się na moim dworze ani w mojej Radzie.

Ton Ludwika X groził zerwaniem. Valois bardzo zaniepokojony obrotem sprawy popędził do Paryża, zabierając ze sobą Roberta d'Artois i eskortujących ich giermków.

- Wszystko teraz zależy od Tolomei - rzekł do Roberta, wsiadając na konia.

Na drodze spotkali szereg wózków wiozących do Vincennes łoża,

skrzynie, stoły, naczynia potrzebne królowi na jednonocny pobyt.

W godzinę później, kiedy Valois powracał do swego pałacu, by zmienić szaty, Robert d'Artois wdarł się do mieszkania generalnego kapitana Lombardów.

- Przyjacielu bankierze - powiedział doń już w progu - oto nadeszła chwila, żeby mi oddać to pismo, o którym mówiliście, że potwierdza nadużycia popełnione przez Marigny'ego... arcybiskupa. Sami wiecie dobrze, ten kaganiec... Dostojny Pan de Valois potrzebuje go, i to zaraz.

- Zaraz... zaraz... Bardzo pięknie, Dostojny Panie Robercie. Żądacie ode mnie, bym się wyzbył broni, która już raz nas ocaliła, mnie i wszystkich moich przyjaciół. Jeżeli to wam da możność obalić Marigny'ego, będę bardzo rad. Ale jeżeli potem Marigny, na nieszczęście, pozostanie, to ja jestem trup. A poza tym, a poza tym wiele rozmyślałem. Dostojny Panie...

Robert wrzał w czasie tej gadaniny, bo Valois błagał go, żeby działał szybko, a on sam znał cenę każdej straconej minuty.

- Tak, wiele rozmyślałem - ciągnął dalej Tolomei. - Zwyczaje i zarządzenia Miłościwego Pana Ludwika Świętego wprowadzane na nowo w życie są oczywiście doskonałe dla królestwa, aliści chciałbym, żeby zostały cofnięte zarządzenia dotyczące Lombardów, na mocy których zostali oni obrabowani, a później na pewien czas wygnani z Paryża. Pamięć o tym jeszcze się nie zatarła. Nasze kompanie pracowały długie lata, żeby się dźwignąć. Więc Ludwik Święty... Ludwik Święty... moi przyjaciele niepokoją się i chciałbym mieć możność ich uspokoić.

- Słuchajcie, bankierze! Dostojny Pan de Valois powiedział wam wyraźnie: on was popiera, on was ochrania!

- Tak, tak, w gładkich słowach, ale my byśmy woleli, żeby to było na piśmie. My też złożyliśmy prośbę do króla, aby potwierdził nasze przywileje wynikające z prawa zwyczajowego; a teraz, kiedy król podpisuje wszystko, co mu się przedstawia, chcielibyśmy bardzo, aby zatwierdził także i nasze przywileje. Potem, Dostojny Panie, chętnie dam wam do rąk możność wysłania na szubienicę, na stos czy na łamanie kołem, jak wam się spodoba, Marigny'ego młodego, Marigny'ego starszego albo obu na raz. Podpis, pieczęć. To sprawa jednego dnia, najwyżej dwu, gdyby dostojny Pan de Valois zgodził się poprzeć. Pismo jest już gotowe...

Olbrzym walnął kułakiem w stół, aż wszystko w pokoju zadrżało.

- Dość zabaw, Tolomei! Powiedziałem, że nie możemy czekać. Wasza karta będzie podpisana jutro. Za to ręczę ja... Ale dajcie mi dziś wieczór tamten pergamin. Jedziemy na tym samym koniu. Raz wreszcie trzeba mi zaufać.

- Czy Dostojny Pan de Valois nie może zaczekać nawet jednego dnia?

- Nie.

- Więc to oznacza, że wiele stracił w łaskach króla, i to bardzo nagle - rzekł powoli bankier, kiwając głową. - A co się stało w Vincennes?

Robert d'Artois opowiedział mu pokrótce o zebraniu i jego skutkach. Tolomei słuchał, wciąż kręcąc głową.

„Jeżeli Valois został odsunięty od dworu - myślał - a Marigny pozostał na miejscu, wtedy żegnaj karto, żegnajcie swobody i przywileje. Sytuacja

staje się groźna...”.

Powstał i rzekł:

- Dostojny Panie, kiedy książę warchoł, jak nasz, całkiem zaślepi się w swoim słudze, próżno mu się ujawnia jego przestępstwa. Wybaczy mu, znajdzie dlań wytłumaczenie i przywiąże się do niego tym bardziej, im bardziej go krył.

- Chyba że dowiedzie się księciu, iż przestępstwa zostały popełnione na jego niekorzyść. Wcale nie chodzi o to, żeby denuncjować arcybiskupa, chodzi o to, żeby kazać mu śpiewać... z kagańcem na pysku.

- Dobrze rozumiem, dobrze rozumiem. Chcecie posłużyć się bratem przeciw bratu. To może się udać. Arcybiskup, o ile go znam, nie ma spiżowej duszy... Zgoda! Tu trzeba ryzykować.

I oddał Robertowi d’Artois dokument, który Guccio przywiózł z Cressay.

Jan de Marigny, mimo że był arcybiskupem w Sens najczęściej przebywał w Paryżu, głównej diecezji będącej pod jego jurysdykcją. Zarezerwowana była dlań część pałacu biskupiego. Tam właśnie, w pięknej, sklepionej sali, mocno pachnącej kadzidłem, zaskoczyło go przybycie hrabiego de Valois i Roberta d’Artois.

Arcybiskup podał gościom swój pierścień do pocałowania. Valois udał, że nie zauważył gestu, zaś d’Artois podniósł ku wargom palce arcybiskupa z tak bezczelną swobodą, iż można by było sądzić, że zamierza zarzucić sobie tę rękę na ramię.

- Wielebny Panie Janie - powiedział Karol de Valois - winniście nam wyjaśnić, z jakich powodów wy i wasz brat tak bardzo przeciwstawiacie się wyborowi kardynała Dueze z Awinionu, i to w taki sposób, że konklawe całkiem przypomina kolegium duchów.

Jan de Marigny pobladł, ale odpowiedział tonem pełnym namaszczenia:

- Całkiem nie pojmuję waszej wymówki, Dostojny Panie, ani też tego, co ją motywuje. Nie przeciwstawiam się żadnej elekcji. Jestem głęboko przekonany, że mój brat działa w jak najlepszej intencji dla dobra interesów królestwa, a ja sam staram się im służyć w ramach mego kapłaństwa. Ale konklawe zależy od kardynałów, nie zaś od naszych pragnień.

- Ach, tak to pojmujecie? Zgoda! - odparł Valois. - Ale ponieważ świat chrześcijański może się obywać bez papieża, archidiecezja w Sens mogłaby może obejść się bez arcybiskupa!

- Zupełnie nie pojmuję waszych słów, Dostojny Panie, chyba tylko to, że brzmią jak pogróżka wobec sługi bożego.

- Czy to Bóg przypadkiem, panie arcybiskupie, rozkazał wam frymarczyć pewnymi skarbami templariuszy? - zawołał wówczas d’Artois. - I czy myślicie, że król, który jest także przedstawicielem Boga na ziemi, może ścierpieć na ambonie katedry w swojej stolicy zhańbionego prałata? Czy poznajecie to?

I podał końcami palców swej olbrzymiej dłoni pokwitowanie oddane przez Tolomei.

- To fałszerstwo! - wykrzyknął arcybiskup.

- Jeżeli to jest fałszerstwo - odparł Robert - spieszmy po wyrok sądu.

Wytoczcie więc proces przed królem, żeby wykrył fałszerza!

- Majestat Kościoła nic by tu nie zyskał...

- ...a wy byście wszystko stracili, tak sobie to wyobrażam, Dostojny Panie.

Arcybiskup siedział na wielkim gotyckim krześle.

„Nie cofną się przed niczym" - myślał. Ten czyn przestępczy popełnił przed przeszło rokiem, a pieniądze już przejadł. Potrzebował wtedy dwóch tysięcy liwrów... i całe życie miałoby rozsypać się w proch z tego powodu. Serce mu kołatało w piersi i czuł, że oblewa się potem pod fioletowymi szatami.

- Dostojny Panie Janie - rzekł wówczas Karol de Valois. - Jesteście jeszcze bardzo młodzi i macie przed sobą piękną przyszłość, tak w sprawach Kościoła jak i królestwa. To, coście popełnili...

Wyniośle wziął pergamin z palców Roberta d'Artois.

- ... to omyłka wybaczalna w czasach, kiedy zanika moralność. Działaliście może pod złym wpływem. Gdyby nie polecono wam skazać templariuszy, nie mielibyście okazji do handlowania ich dobrami. Byłaby to wielka szkoda, gdyby omyłka, która ostatecznie dotyczy tylko pieniędzy, miała zaćmić blask waszego stanowiska i zmusić was do usunięcia się ze świata. Gdyby bowiem to pismo dotarło do oczu Rady Parów i jednocześnie trybunału kościelnego, mimo zmartwienia, jakie byśmy odczuli, zaprowadziłoby to was prosto do klasztornej celi... Zaprawdę, Dostojny Panie, popełniliście o wiele poważniejsze uchybienie, wspomagając działalność waszego brata wbrew życzeniom króla. Co do mnie, tę winę przede wszystkim wam zarzucam. I gdybyście się zgodzili wyjawić drugi błąd, chętnie wam daruję pierwszy.

- Co mi nakazujecie? - zapytał arcybiskup.

- Opuścić stronnictwo waszego brata, który już nic nie znaczy, i pójść wyjawić królowi Ludwikowi to wszystko, co wiecie o nikczemnych rozkazach dotyczących konklawe.

Prałat był ulepiony z miękkiej gliny. W chwilach trudnych tchórzostwo ogarniało go wręcz odruchowo, strach, jaki odczuwał, nie pozostawił mu nawet czasu, aby pomyśleć o swym bracie, któremu wszystko zawdzięczał; myślał tylko o ratowaniu siebie samego. Ten brak wahania pozwolił mu zachować pozorną godność postawy.

- Oświeciliście moje sumienie - wyrzekł - i jestem gotów odkupić mój błąd, zgodnie z waszym życzeniem. Chciałbym tylko otrzymać ten pergamin.

- To sprawa załatwiona - powiedział hrabia de Valois, oddając mu dokument. - Dość, że go widzieliśmy, Dostojny Pan d'Artois i ja sam. Nasze świadectwo wystarczy dla całego królestwa. Udacie się z nami za chwilę do Vincennes, koń czeka na was na dole.

Arcybiskup kazał sobie podać płaszcz, haftowane rękawiczki, okrycie głowy i zszedł powoli, majestatycznie, poprzedzany przez obu baronów.

- Nigdy - szepnął d'Artois do Karola de Valois - nigdy nie widziałem człowieka, który płaszczyłby się z taką wyniosłością.

IV

Pośpiech do owdowienia

Każdy król, każdy człowiek ma swe ulubione zabawy, które wyraźniej niż cokolwiek innego ujawniają skryte skłonności jego charakteru. Ludwik X nie okazywał zamiłowania do polowania, do zapasów, do szermierki i na ogół do wszystkich gier, podczas których mogła mu grozić rana. Od dziecka lubił długą maczugę w kształcie dłoni, którą podbijało się skórzaną piłkę, ale przy tej zabawie dostawał zadyszki i za szybko się pocił.

Ulubioną jego rozrywką było stać z łukiem w ręku w ogrodzie otoczonym murem i strzelać z bardzo bliska do ptaków w locie; do gołębi i turkawek, które giermek wypuszczał jedną po drugiej z wielkiego wiklinowego kosza.

Korzystając, że dni były dłuższe, na dziedzińcu w Vincennes, zbudowanym na wzór klasztornego, zajmował się właśnie tą okrutną rozrywką, kiedy późnym popołudniem stryj jego i kuzyn przyprowadzili doń arcybiskupa.

Krótko przystrzyżone zielsko rosnące na podwórzu usiane było piórami i poplamione krwią. Gołąbka, ze skrzydłem przygwożdżonym do belki krużganku, szamotała się i skrzeczała. Inne ptaki, celniej ugodzone, leżały wokół, a ich cienkie łapki były sztywne i podkurczone. Za każdym razem, gdy strzała przeszywała ptaka, Kłótliwy wydawał okrzyk radości.

- Następny! - popędzał giermka. Jeśli strzała, chybiając celu, utkwiła w murze, Ludwik łajał giermka, że wypuścił gołębia w nieodpowiedniej chwili lub z niewłaściwej strony.

- Sire, mój bratanku - powiedział Karol de Valois - wydaje mi się, że strzelacie dziś celniej niż kiedykolwiek, ale gdybyście zgodzili się przerwać na chwilę wasze znakomite ćwiczenia, mógłbym z wami porozmawiać o sprawach wielkiej wagi, o czym już was uprzedzałem.

- Czego? Co nowego? - zapytał Kłótliwy niecierpliwie. Czoło spływało mu potem, a policzki miał zaczerwienione.

Dostrzegł arcybiskupa i dał znak giermkowi, by się oddalił.

- Więc, Dostojny Panie - powiedział, zwracając się do prałata - czy to prawda, że przeszkadzaliście mi, bym miał papieża?

- Niestety, Sire! - odparł Jan de Marigny. - Przybyłem wyjawić wam pewne sprawy, które, jak sądziłem, działy się z waszego polecenia, i srodze jestem zgnębiony dowiadując się, że były sprzeczne z waszą wolą.

Po czym z najspokojniejszą w świecie miną zabarwionym emfazą głosem opowiedział królowi o posunięciach Enguerranda w celu opóźnienia zebrania konklawe i doprowadzenia do upadku każdej kandydatury, tak Dueze'a, jak i któregoś z rzymskich kardynałów.

- Jakkolwiek ciężko mi, Sire - kończył - ujawniać wam niegodziwe czyny mego brata, to jeszcze mi ciężej patrzeć, jak działa on na szkodę

królestwa, a jednocześnie i Kościoła, oraz stara się zdradzić wszystkich, tak swego pana na ziemi, jak i Pana w niebiosach. Nie uważam go już za członka mojej rodziny, albowiem dla człowieka mego stanu prawdziwą rodziną jest tylko Bóg i własny król.

„Szelma, mało brakuje, a wyciśnie nam łzy z oczu - myślał Robert d'Artois. - Zaiste, ten łajdak umie obracać ozorem". Zapomniana gołąbka usiadła na dachu galerii. Kłótliwy wypuścił strzałę, która przeszyła ptaka i poruszyła dachówkę.

Potem, nagle unosząc się, krzyknął:

- Na co mi się zda to wszystko, co tu wyśpiewujecie. Nie pora wyjawiać zło, kiedy już się stało. Zmykajcie, panie arcybiskupie, bom rozsierdzony.

Robert d'Artois zabrał arcybiskupa, który już skończył swój występ. Valois został sam na sam z królem.

- Otom i w pięknym położeniu! - ciągnął ten dalej.

- Enguerrand mnie zdradził, zgoda! A wy triumfujecie. Ale co mnie pomoże, wasz triumf? Mamy połowę kwietnia, lato się zbliża. Pamiętacie, stryju, warunki Pani Węgierskiej: „przed latem". Czy od dziś za osiem tygodni dacie mi papieża?

- Uczciwie mówiąc, bratanku, nie wierzę, żeby to było możliwe.

- Więc nie macie powodu tak się nadymać i tak się puszyć.

- Wielokrotnie wam radziłem, już od początku zimy, żeby przepędzić Marigny'ego.

- Ale ponieważ tak się nie stało - wrzasnął Ludwik X - czy nie lepiej użyć tegoż Marigny'ego. Ja go wezwę, ja go wyłaję, zagrożę mu. Musi usłuchać raz nareszcie!

Równie rozwścieczony co uparty, Kłótliwy wciąż powracał do Marigny'ego jak do ostatniej deski ratunku. Biegał po podwórzu nerwowym krokiem, z piórami przylepionymi do trzewików.

W istocie, każdy tak daleko doprowadził własną grę - król, Marigny, Valois, d'Artois, Tolomei, a nawet sama królowa Neapolu - że wszyscy razem znaleźli się w ślepym zaułku i wzajem kaleczyli, nie mogąc posunąć się ani na krok. Valois świetnie to sobie uświadamiał, podobnie jak zdawał sobie sprawę, że musi, chcąc zachować przewagę, znaleźć za wszelką cenę sposób wyjścia. I to znaleźć szybko...

- Ach, mój bratanku - zawołał - kiedy rozmyślam, że dwukrotnie w moim życiu zostałem wdowcem, i to po dwóch przykładnych małżonkach, powiadam sobie, iż zaprawdę godne jest ubolewania, żeście nie owdowieli po kobiecie wyuzdanej...

- Pewnie, pewnie - mówił Ludwik - gdybyż ta łajdaczka mogła wreszcie skonać...

Nagle przystanął, popatrzył na Valois i zrozumiał, że ten mówił nie tylko, żeby coś powiedzieć, nie tylko, żeby ubolewać nad niesprawiedliwością losu.

- Zima była ostra, więzienie szkodzi zdrowiu kobiet - podjął Karol de Valois - a już od dawna Marigny nie powiadamiał nas o stanie Małgorzaty. Dziwiłbym się, gdyby mogła wytrzymać warunki, na jakie ją skazano... Być może Marigny... to mogłaby być jego zwykła sztuczka... ukrywa przed wami, że jest bliska końca. Należałoby tam zajrzeć.

Obaj odczuli wyraźnie ciszę, jaka ich otaczała. Cenna to u książąt cecha rozumieć się tak dobrze, iż słowa stają się zbędne...

- Zapewnialiście mnie, bratanku - powiedział tylko Valois po chwili - że wydacie mi Marigny'ego w dniu, kiedy będziecie mieli papieża.

- Mógłbym go wam, stryju, podarować równie dobrze w dniu, gdy zostanę wdowcem - odpowiedział Kłótliwy, zniżając głos.

Valois przesunął ręką okrytą pierścieniami po swoich pełnych, pożyłkowanych policzkach.

- Trzeba mi oddać Marigny'ego wpierw, bo w jego ręku są wszystkie twierdze i utrudnia on wkroczenie do zamku Gaillard.

- Zgoda - odparł Ludwik X. - Wyjmuję go spod mojej opieki. Możecie powiedzieć waszemu kanclerzowi, żeby mi przedstawił do podpisu wszystkie rozkazy, które uważacie za potrzebne.

Tego wieczoru, po wieczerzy, Enguerrand de Marigny zamknął się w swym gabinecie i opracowywał memoriał, który postanowił doręczyć królowi, prosząc go - zgodnie z nowymi zarządzeniami - o zgodę na zbrojne spotkanie. W istocie, zamierzał wyzwać hrabiego de Valois na pojedynek. W ten sposób pierwszy żądał zastosowania tego przywileju „dla wielmożów", z którym tak długo walczył. W tej chwili oznajmiono mu przybycie Hugona de Bouville. Przyjął go natychmiast. Były wielki szambelan Filipa Pięknego miał twarz pochmurną i zdawało się, że szarpią nim sprzeczne uczucia.

- Enguerrandzie, przybyłem uprzedzić ciebie - mówił, patrząc na dywan. - Tej nocy nie śpij w domu, bo chcą cię zaaresztować. Wiem o tym.

- Mnie zaaresztować? To słowa rzucone na wiatr, nie odważą się - odrzekł Marigny. - I kto by przyszedł mnie zaaresztować, pytam? Alain de Pareilles? Nigdy Alain nie zgodzi się wykonać takiego rozkazu. Raczej wytrzyma wraz ze swoimi łucznikami oblężenie w moim pałacu.

- Popełniasz błąd, nie wierząc mi, Enguerrandzie; a zapewniam cię, popełniłeś także błąd, postępując tak, jak postępowałeś w ostatnich miesiącach. Jeśli się zajmuje takie stanowisko jak nasze, działać na szkodę króla, jaki by nie był, to działać na własną szkodę. Ja także w tej chwili występuję przeciw królowi ze względu na przyjaźń, jaką mam dla ciebie, i dlatego chciałbym cię ocalić.

Zażywny jegomość był naprawdę nieszczęśliwy. Lojalny sługa monarchy, wierny przyjaciel, dygnitarz nieskazitelny, szanujący boskie przykazania i prawa królestwa - żywił wszystkie uczucia równie uczciwe i nagle nie był w stanie ich pogodzić.

- To, co tobie powiedziałem, Enguerrandzie - mówił dalej - wiem od Dostojnego Pana de Poitiers. Jest on na razie twoim jedynym i ostatnim oparciem. Dostojny Pan de Poitiers chciałby cię odsunąć daleko od baronów. Doradzał on swemu bratu, by wysłał ciebie jako namiestnika na jakąś oddaloną prowincję, na Cypr na przykład.

- Cypr? - wykrzyknął Marigny. - Miałbym pozwolić zamknąć się na tej wyspie, na krańcach morza, kiedy ja tu rządzę królestwem Francji? Czy to tam chcą mnie wysiedlić? Otóż będę chodził jak władca po ulicach Paryża albo też tutaj zginę.

Bouville potrząsnął ze smutkiem swymi czarnymi i białymi kosmykami.

- Wierz mi, nie śpij tej nocy u siebie - powtórzył. - A jeśli uważasz, że mój dom jest dość bezpiecznym schronieniem... Rób, jak chcesz. Ja cię uprzedziłem...

Natychmiast po wyjściu Bouville'a Enguerrand udał się do apartamentu swojej żony i swojej szwagierki Chanteloup, aby je o wszystkim powiadomić. Czuł wewnętrzną potrzebę mówienia i odczucia obecności osób bliskich. Obie kobiety uważały, że trzeba wyjechać natychmiast do którejkolwiek z ich majętności na krańcach Normandii, a stamtąd, gdyby istotnie zagrażało niebezpieczeństwo, dotrzeć do jakiegoś portu i schronić się pod opiekę króla Anglii.

Ale Enguerrand uniósł się gniewem.

- Czyż otaczają mnie - zawołał - tylko samiczki i kapłony?

I udał się na spoczynek jak co wieczór. Pogładził ulubionego psa, kazał szambelanowi, aby go rozebrał, i patrzył, jak ten podciąga ciężarki zegara; przedmiot ten nie był jeszcze rozpowszechniony nawet w pałacach możnowładców i nabył go za wysoką cenę. W myśli przez chwilę wygładzał ostatnie zdania swego memoriału do króla, a następnie je zanotował. Zbliżył się do okna, odsunął zasłony i patrzył w skupieniu na dachy uśpionego miasta. Straż przechodziła ulicą Fosses-Saint-Germain, powtarzając automatycznie co dwadzieścia kroków:

- Tu straż... Północ... Śpijcie spokojnie...

Spóźniali się, jak zawsze, o kwadrans w stosunku do zegara.

O świcie obudziło Enguerranda głośne tupanie na podwórzu i łomot do drzwi. Przerażony giermek przybiegł go uprzedzić, że łucznicy są na dole. Zażądał więc szat, ubrał się w pośpiechu i w przedpokoju natknął się na żonę i syna, którzy przybiegli wzburzeni.

- Mieliście rację, Alips - rzekł do pani de Marigny, całując ją w czoło. - Nie usłuchałem waszych rad. Wyjeżdżajcie dziś jeszcze razem z Ludwikiem.

- Wyjechałabym z wami, Enguerrandzie. Ale teraz nie mogłabym oddalić się z miejsca, gdzie skazują was na cierpienia.

- Król jest moim chrzestnym ojcem - powiedział Ludwik de Marigny - biegnę zaraz do Vincennes...

- Twój chrzestny to nędzny głuptas i korona chwieje mu się na głowie - odparł z gniewem Marigny.

Później, ponieważ na schodach było ciemno, krzyknął:

- Hejże, pachołki! Światło! Dać mi światło!

A kiedy słudzy wykonali rozkaz, zszedł wśród gorejących pochodni jak prawdziwy król.

Podwórze falowało zbrojnymi. W odrzwiach wysoka sylwetka w kolczudze rysowała się na tle szarego poranka.

- Jak się mogłeś zgodzić, Pareilles... Jak śmiałeś? - rzekł Marigny, wznosząc w górę dłonie.

- Nie jestem Alainem de Pareilles - odparł oficer. - Pan de Pareilles już nie dowodzi łucznikami.

Usunął się, aby pozwolić przejść mężowi w kościelnych szatach. Był to kanclerz Stefan de Mornay, Podobnie jak przed ośmiu laty Nogaret osobiście przyszedł pojmać wielkiego mistrza templariuszy, Mornay

przybył dzisiaj sam zaaresztować byłego rektora królestwa.

- Panie Enguerrandzie - rzekł - proszę was, abyście udali się ze mną do Luwru, gdzie mam rozkaz was zamknąć.

O tej samej godzinie wszyscy wielcy mieszczańscy legiści poprzedniego króla - Raul de Presles, Michał de Bourdenai, Wilhelm Dubois, Galfryd de Briangon, Mikołaj Le Loquetier, Piotr d'Orgemont - zostali w swych mieszkaniach aresztowani i odprowadzeni do różnych więzień, zaś specjalny oddział wysłano do Chalons, aby porwać stamtąd biskupa Piotra de Latille, przyjaciela młodości Filipa Pięknego, który tak go usilnie wzywał do swego wezgłowia w ostatnich chwilach życia.

Gdy zamknęły się za nimi więzienne bramy, cały okres panowania „króla z żelaza" został skazany na potępienie.

V

Mordercy w więzieniu

Gdy w połowie nocy Małgorzata Burgundzka usłyszała, że spuszczają most zwodzony w zamku Gaillard i rozbrzmiewa tupot końskich kopyt, zrazu myślała, że to sen. Tak długo wyczekiwała owej chwili, tak długo o niej marzyła, odkąd wysłała do Roberta d'Artois list, w którym podpisała swą klęskę, zrzekła się praw tak własnych jak i córki w zamian za obiecaną wolność - która nie nadchodziła!

Nie odpowiedział jej nikt, ani Robert, ani król. Nie zjawił się żaden wysłannik. Tygodnie upływały w milczeniu, bardziej niszczącym niż głód, bardziej wyczerpującym niż chłód, bardziej poniżającym niż robactwo. Teraz Małgorzata prawie nie wstawała z posłania, dręczyła ją gorączka, która w równej mierze ogarniała jej duszę co ciało i mąciła świadomość.

Z oczami szeroko otwartymi, zapatrzona w ciemność panującą w wieży, spędzała długie godziny wsłuchana w zbyt szybkie uderzenia serca. Ciszę wypełniał urojony gwar, z mroku wyłaniały się groźne postacie, słane już nie z tego, ale z tamtego świata. Majaczenia wywołane bezsennością mieszały jej zmysły...

Filip d'Aunay, piękny Filip nie umarł naprawdę; szedł na połamanych nogach, z okrwawionym brzuchem tuż przy niej, wyciągała ku niemu ramię i nie mogła go dosięgnąć. Mimo to on wciągał ją na drogę, która wiodła z ziemi do Boga, i nie czując już ziemi, nigdy nie ujrzała Boga, A ta straszliwa wędrówka miała trwać aż do końca czasów, aż do Sądu Ostatecznego. Być może to właśnie oznaczało czyściec...

- Blanko! - krzyknęła. - Blanko! Przychodzą!

Zamki bowiem, zasuwy i drzwi rzeczywiście zazgrzytały na dole wieży i odgłos licznych kroków rozległ się na kamiennych schodach.

- Blanko! Słyszysz?

Ale osłabiony głos Małgorzaty stłumiły grube drzwi dzielące nocą obie księżniczki i nie dotarł on na górne piętro.

Blask jednej tylko świecy oślepił uwięzioną królową. Na progu cisnęli się ludzie; Małgorzata nie mogła ich zliczyć, widziała tylko olbrzyma o jasnych oczach w płaszczu czerwonym i z puginałem srebrnym, który zbliżył się do niej.

- Robert! - wyszeptała. - Robert, nareszcie tu!

Żołnierz niósł za Robertem krzesło, które postawił koło łoża.

- Więc moja kuzynko - powiedział Robert siadając - więc wasze zdrowie nie jest najlepsze, jak mi mówią i jak sam to widzę. Co was boli?

- Wszystko mnie boli - rzekła Małgorzata - sama nie wiem, czy żyję.

- Już był wielki czas, żebym przybył. Wszystko wkrótce się skończy. Wasi wrogowie są powaleni. Czy jesteście w stanie pisać?

- Nie wiem - odparła Małgorzata.

D’Artois rozkazał przysunąć świecę i przyjrzał się z bliska tej twarzy wynędzniałej, wysuszonej, zwężonym wargom uwięzionej i jej czarnym oczom zapadłym, nienormalnie błyszczącym, włosom zlepionym potem na wypukłym czole.

- Czy chociaż będziecie mogli podyktować list, którego król oczekuje? Kapelanie! - zawołał, strzelając palcami.

Biała szata, pomięta i poplamiona, oraz płowy wianuszek włosów wynurzyły się z półmroku.

- Czy wyrok unieważniający wydany? - zapytała Małgorzata.

- Jakże mógł być wydany, kuzynko, skoro nie chcieliście oświadczyć tego, czego od was żądano?

- Nie odmówiłam. Zgodziłam się. Na wszystko się zgodziłam... Już nic nie wiem. Nic nie rozumiem.

- Niech ktoś pójdzie po dzban wina, trzeba ją wzmocnić - rzucił przez ramię d’Artois.

Czyjeś kroki rozległy się w komnacie, oddaliły na schodach.

- Zbierzcie myśli, kuzynko - podjął d’Artois. - Teraz właśnie musicie zgodzić się na to, co wam doradzę.

- Ależ napisałam do was, Robercie. Wysłałam list, żebyście go oddali Ludwikowi, i oświadczyłam w nim... to wszystko, czegoście chcieli... że moja córka nie jest jego...

Ściany, twarze jakby słaniały się wokół niej.

- Kiedy? - zapytał Robert.

- Ach, już dawno... tygodnie temu, przed dwoma miesiącami, zdaje się, i czekam wciąż na uwolnienie...

- Komu oddaliście ten list?

- ...Ależ ...Bersumeemu.

I nagle Małgorzata przerażona pomyślała: „Czy ja naprawdę napisałam? To okropne, już nie wiem, już nie wiem nic”.

- Zapytajcie Blankę - wyszeptała.

Wokół niej powstał hałas. Robert d’Artois podniósł się i potrząsał kimś za kołnierz, krzycząc tak głośno, że Małgorzata z trudem rozróżniała słowa.

- Ależ tak, Dostojny Panie, ja sam... zawoziłem - odpowiedział przerażony głos Bersumeego.

- Gdzie oddałeś? Komu?

- Puśćcie mnie, Dostojny Panie, puśćcie mnie! Udusicie mnie... Dostojnemu Panu de Marigny. Wedle rozkazu.

Dowódca warowni nie zdołał uchylić się od ciosu pięści wymierzonego mu prosto w twarz. Prawdziwy cios maczugą. Zachwiał się pod nim i zajęczał.

- Czy ja się nazywam Marigny? - wrzeszczał d’Artois. - Jak tobie dają list do mnie, czy masz go oddawać komuś innemu?

- Ale on mnie zapewnił, Dostojny Panie...

- Zamilcz, bydlaku. Ten twój rachunek później zapłacę. A jak jesteś tak wierny swemu Marigny’emu, poślę mu ciebie do towarzystwa, do lochu w Luwrze - wołał d’Artois.

Następnie zwrócił się do Małgorzaty:

- Nigdy nie otrzymałem waszego listu, moja kuzynko. Marigny zachował go dla siebie.

- Ach tak - westchnęła.

Prawie się uspokoiła. Przynajmniej zdobyła pewność, że go naprawdę napisała.

W tej chwili wszedł sierżant Lalaine, niosąc dzban wina, po który go posłano. Robert d'Artois usiadł i patrzył, jak Małgorzata pije.

„Czemu nie zaopatrzyłem się w truciznę! - mówił do siebie... - Chyba byłby to najprostszy sposób. Dureń jestem, że o tym nie pomyślałem... Tak więc ona zgodziła się, a my o tym nic nie wiedzieliśmy. Tak, stała się wielka bzdura, naprawdę. Ale teraz już za późno, żeby coś tu zmienić. A w każdym razie, w tym stanie, w jakim jest, już pewnie nie ma przed sobą wielu dni".

Wyładowawszy swój gniew na Bersumeem, uczuł, że jest obojętny i prawie smutny. Stał tu, masywny, z rękami na biodrach i otoczony wojownikami uzbrojonymi od stóp do głów, przed tym barłogiem, na którym leżała wyczerpana do cna kobieta. A przecież tak nienawidził Małgorzaty, kiedy była królową Nawarry i następczynią tronu Francji! Czegóż nie wymyślał, żeby ją zgubić; knował, podróżował, szczuł przeciw niej dwór Anglii wraz z dworem Francji! Jeszcze ostatniej zimy, choć sam był tak potężnym baronem, a ona nędzną więzioną kobietą, chętnie by ją zmiażdżył, kiedy stawiała mu opór. Teraz jego triumf zaprowadził go dalej, niż tego pragnął. Nie odczuwał litości, tylko rodzaj mdlącej obojętności, gorzkiego znużenia. Tyle intryg pracowicie uknutych przeciw temu wychudzonemu i choremu ciału, przeciw tej myśli bezsilnej! Nienawiść nagle zgasła w Robercie, bo już nie napotkał oporu na miarę swych sił.

Jął żałować, tak zupełnie szczerze, że list do niego nie dotarł, i rozważał absurdalne zazębianie się losu. Gdyby nie tępa gorliwość tego osła Bersumeego, Ludwik X już dziś mógłby po raz drugi ożenić się. Małgorzatę umieszczono by w jakimś zacisznym klasztorze, a Marigny z pewnością byłby jeszcze wolny. Może nawet wciąż u władzy. Nikt by się nie pchał po krańcowe rozwiązanie sprawy, a on sam, Robert, nie znalazłby się tutaj obarczony dobijaniem umierającej.

- To wdowieństwo jest konieczne, ale ma być tajemnicą rodzinną - rzekł mu Karol de Valois.

I Robert przyjął misję, przede wszystkim dlatego, że dawała mu na przyszłość władzę nad Valois i królem. Za takie usługi płaci się w nieskończoność... A następnie los, o ile baczniej mu się przyjrzeć, tylko na pozór jest niedorzeczny; każdy, działając zgodnie ze swą naturą, przyczynił się do tego, że nie mógł potoczyć się inaczej. „Czy nie ja sam wszczął tę sprawę w przeszłym roku w Westminsterze? Więc trzeba mi ją zakończyć. Ale czyżbym ją wszczynał, gdyby Marigny dla zawarcia małżeństwa z Burgundią nie obdarł mnie z hrabstwa d'Artois na rzecz mojej stryjenki Mahaut? A dzisiaj tenże Marigny gnije w Luwrze". Los był poniekąd logiczny.

Robert spostrzegł, że wszyscy w komnacie na niego patrzą. Małgorzata znad swego barłogu, Bersumee pocierając szczękę, Lalaine, który zabrał dzban, pachołek Lormet oparty w półcieniu o ścianę, kapelan, przyciskając

do brzucha tabliczkę. Wszyscy wydawali się zaskoczeni jego rozmyślaniem.

Olbrzym otrząsnął się.

- Widzicie, moja kuzynko - powiedział - jakim wielkim waszym wrogiem jest Marigny, jakim jest wrogiem nas wszystkich. Ten skradziony list daje nam nowy dowód. Ręczę, że gdyby nie Marigny, nie bylibyście oskarżona ani sądzona, ani traktowana w ten sposób. Ten zdrajca wysilał się, żeby wam szkodzić, podobnie jak starał się szkodzić królowi i całemu królestwu. Ale dzisiaj siedzi w więzieniu, a ja przybyłem wysłuchać waszych skarg na niego, żeby przyspieszyć wyrok królewskiego sądu, a zarazem wasze ułaskawienie.

- Co mam oświadczyć? - spytała Małgorzata.

Wino, które wypiła, przyspieszyło uderzenia jej serca. Oddech rwał się i trzymała się za pierś.

- Podyktuję za was kapelanowi - powiedział Robert. Dominikanin zesłaniec usiadł na ziemi z tabliczką do pisania na kolanach; stojąca obok niego świeca oświetlała od dołu trzy twarze. Robert wyjął z jałmużniczki złożoną kartkę z tekstem, który odczytał kapelanowi:

Sire, mój małżonku, umieram z rozpaczy i choroby. Błagam Was o udzielenie mi przebaczenia, bo jeśli rychło tego nie uczynicie...

- Chwilkę, Dostojny Panie, nie mogę za wami nadążyć - powiedział kapelan - nie piszę tak jak wasi klerycy w Paryżu.

... bo jeśli rychło tego nie uczynicie, czuję, że dni moje są policzone i dusza ode mnie uciecze. Wszystko jest winą pana de Marigny, który mnie szkalował, chcąc mnie zgubić w oczach Waszych i zmarłego króla, a co, przysięgam, było nieprawdą, zaś ohydnym traktowaniem pogrążył mnie...

- Dostojny Panie, czy mogę... jeszcze chwilę.

Kapelan szukał skrobaczki, żeby wygładzić chropowatość na pergaminie.

Robert musiał zaczekać, zanim podjął i zakończył:

... pogrążył mnie w moją obecną nędzę. Wszystkiemu winien ten niegodziwy człowiek. Błagam Was raz jeszcze o wybawienie mnie z mej nieszczęsnej doli i zapewniam Was, że nie przestałam być Waszą posłuszną małżonką wedle woli Boga.

Małgorzata uniosła się nieco na swoim barłogu. Nie mogła pojąć tej olbrzymiej sprzeczności, dlaczego żądano teraz od niej, aby głosiła swą niewinność.

- Ależ kuzynie - zapytała - a te wszystkie wyznania, których ode mnie żądaliście..?

- Nie są już potrzebne - odparł Robert - to, co podpiszecie, zastąpi wszystko inne.

Bowiem sprawą najważniejszą dla Karola de Valois było teraz zebranie

możliwie największej ilości prawdziwych lub fałszywych zeznań na niekorzyść Enguerranda. To zaś zeznanie było istotne, pozwalało nie tylko zmyć, przynajmniej na pozór, hańbę z króla, ale przede wszystkim było osobistym oświadczeniem królowej, że zbliża się jej własny zgon. Zaiste, Dostojni Panowie de Valois i d'Artois byli ludźmi o bogatej wyobraźni!

- A Blanka, co się z nią stanie? Czy pomyślano o Blance?

- Nie troskajcie się o nią - rzekł Robert. - Wszystko się dla niej zrobi.

Małgorzata napisała swe imię u dołu pergaminu.

Wtedy Robert d'Artois powstał i pochylił się nad nią. Obecni cofnęli się w głąb izby. Olbrzym położył rękę na ramieniu Małgorzaty.

Dotykając tej szerokiej dłoni Małgorzata uczuła, jak w jej ciało wstępuje dobroczynne, kojące ciepło. Skrzyżowała swe wychudłe ręce na palcach Roberta, jakby obawiała się, że zbyt szybko je cofnie.

- Żegnaj, moja kuzynko - rzekł. - Żegnaj. Życzę ci dobrego odpoczynku.

- Robercie - zapytała cicho, odchylając w tył głowę i szukając jego spojrzenia - tamtym razem, kiedy przybyliście i chcieliście mnie wziąć, czy pożądaliście mnie naprawdę?

Żaden człowiek nie jest całkowicie zły. W tej chwili Robert d'Artois powiedział jedno z nielicznych miłosiernych zdań, jakie kiedykolwiek przeszły przez jego usta.

- Tak, moja piękna kuzynko, bardzo was kochałem.

Poczuł, jak odpręża się pod jego ręką, uspokojona, prawie szczęśliwa. Być kochaną, być pożądaną - oto była prawdziwa racja istnienia tej królowej, większa niż jakakolwiek korona.

Zobaczyła, jak kuzyn, a wraz z nim światła, oddala się od niej. Wydawał się jej nierzeczywisty; taki był wielki i w półcieniu przywodził na myśl niezwyciężonych bohaterów z pradawnych legend.

Biała szata dominikanina, wilcza czapa Bersumeego zniknęły. Robert popychał przed sobą swoją świtę. Chwilę stał na progu, jakby się wahał i miał coś jeszcze powiedzieć. Potem drzwi zamknęły się, zapadły całkowite ciemności i Małgorzata, zachwycona, nie usłyszała zwykłego zgrzytu zasuwy.

Więc nie zamykano już jej na klucz, a zaniechanie tego zwyczaju po raz pierwszy od trzystu pięćdziesięciu dni wydawało jej się zapowiedzią wolności.

Jutro pozwolą jej zejść i do woli przechadzać się po zamku Gaillard; a wkrótce po tym przybędzie lektyka, zabierze ją i uwięzie ku drzwiom, miastom, ludziom. „Czy będę mogła wstać? - zastanawiała się. - Czy znajdę siły? O! Tak, siły mi powrócą".

Miała rozpalone czoło, szyję, ręce; lecz wyzdrowieje, czuła, że wyzdrowieje. Wiedziała także, że nie będzie mogła zasnąć przez resztę nocy. Ale nadzieja będzie jej towarzyszyć aż do świtu!

Nagle w ciszy dosłyszała cichutki szmer, nawet nie szmer, szelest, jaki wydaje powstrzymywany oddech żyjącej istoty. Ktoś był w izbie.

- Blanko! - krzyknęła. - To ty?

Może otworzono także zamki na drugim piętrze. Jednak nie pamiętała, by otwarto ponownie drzwi. I dlaczego by jej kuzynka, zbliżając się, zachowywała taką ostrożność? Chyba, że... Blanka nagle zwariowała...

- Blanko! - powtórzyła Małgorzata przerażonym głosem. Znów zapadła cisza i przez chwilę Małgorzata myślała, że to gorączka wywołuje jakieś zjawy. Ale po chwili usłyszała, już bliżej, ten sam powstrzymywany oddech i leciutkie skrobnięcie po podłodze jakby psich pazurów. Ktoś obok niej oddychał. Może to rzeczywiście pies, pies Bersumeego, co wszedł w ślad za swoim panem i zapomniano go zabrać. A może szczury... szczury ze swymi drobnymi ludzkimi kroczkami, ich szelestem, podstępnym knowaniem, ich dziwacznym zwyczajem wykonywania nocą swych sekretnych czynności. Kilkakrotnie w wieży pojawiały się szczury i Bersumee przyprowadzał właśnie psa, żeby je wygubił. Ale czy ktokolwiek słyszy oddech szczurów?

Nagle z oszalałym sercem wyprostowała się na posłaniu. Metalowy przedmiot - broń czy tarcza - otarł się o kamienną ścianę. Rozszerzonymi przerażeniem źrenicami Małgorzata badała otaczające ją ciemności.

- Kto to? - krzyknęła.

Na nowo zapadła cisza. Ale teraz już wiedziała, że nie jest sama. Ona także, zbytecznie, powstrzymywała oddech. Dławiło ją przerażenie, jakiego nigdy jeszcze nie doznała. Umrze za kilka minut; tej pewności nie była w stanie znieść, groza, którą odczuwała w obliczu potwornego losu, podwajała się o grozę tym spowodowaną, że nie wiedziała, w jaki sposób umrze ani w jaką część ciała ugodzi ją cios, ani jaka to niewidzialna istota zbliża się ku niej, sunąc pod ścianą.

Okrągły kształt, trochę czarniejszy niż mrok, nagle potrącił łóżko. Małgorzata zawyła takim głosem, że Blanka Burgundzka o piętro wyżej usłyszała przez ściany ten wrzask. Całe życie miał on brzmieć w jej uszach! Krzyk urwał się nagle.

Dwie ręce narzuciły prześcieradło na usta Małgorzaty, związały je wokół jej szyi. Z głową przyciśniętą do czyjejś szerokiej piersi, bijąc rękami powietrze, walcząc całym ciałem, żeby się uwolnić, Małgorzata charczała zduszonym głosem.

Tkanina zawiązana wokół jej szyi zaciskała się jak obroża z rozpalonego ołowiu. Królowa dusiła się. Oczy jej wypełniły się ogniem, olbrzymie spiżowe dzwony jęły bić w skroniach. Ale zabójca miał swój fachowy chwyt; sznur dzwonu urwał się nagle i Małgorzata spadła w czarną przepaść bez ścian i bez dna...

W kilka minut później Robert d'Artois, pijąc dla zabicia czasu w towarzystwie giermków kubek wina na podwórzu zamku Gaillard, zobaczył, że Lormet zbliża się do niego i udaje, że poprawia popręg u jego konia. Pochodnie zgaszono; świtało. Ludzie i konie pławili się w szarej porannej mgle.

- Zrobione, Dostojny Panie - szepnął Lormet.

- Nie ma śladów? - spytał przyciszonym głosem Robert.

- Nie myślę, Dostojny Panie. Twarz nie sczernieje, złamałem kość w karku. I uporządkowałem łóżko.

- To była niełatwa robota.

- Wiecie dobrze, że jestem jak puszczyk, Dostojny Panie. Widzę w nocy.

D'Artois, dosiadając konia, wezwał Bersumeego.

- Zauważyłem, że z Panią Małgorzatą jest bardzo źle - rzekł. - Obawiam

się mocno, widząc jej stan, że nie przeżyje tygodnia. Gdyby skonała, oto rozkazy: pędzisz do Paryża nie inaczej jak galopem i stawiasz się wprost u Dostojnego Pana de Valois, żeby mu przekazać tę wiadomość, jemu pierwszemu i tylko jemu. U Dostojnego Pana de Valois, dobrze zrozumiałeś. Tym razem staraj się nie zmylić adresu, a pysk trzymaj zamknięty na kłódkę. Pamiętaj, że twój Dostojny Pan de Marigny siedzi w więzieniu, a i ty możesz znaleźć się w konwoju, który prowadzi na królewskie szubienice.

Jutrzenka jęła wstawać za lasem w Andelys, podkreślając świetlistym szaroróżowym pasemkiem linię drzew. W dole lekko migotała rzeka. Zjeżdżając ze wzgórza zamkowego Robert d'Artois czuł pod sobą rytmiczne ruchy konia, którego ciepłe boki drżały przy jego butach. Pełną piersią zaczerpnął potężny łyk porannego powietrza.

- Jednak dobrze jest żyć - mruknął.

- O tak, Dostojny Panie, bardzo dobrze - odparł Lormet. - Na pewno dziś będzie ładny, słoneczny dzień.

VI

Droga na Montfaucon

Okienko było bardzo wąskie, Marigny mógł jednak dojrzeć przez grube, skrzyżowane pręty pyszny firmament, roziskrzony kwietniowymi gwiazdami.

Nie pragnął snu. Wyławiał dochodzące od czasu do czasu nocne odgłosy Paryża: wołanie straży, turkot wiejskich wózków, dowożących codzienny ładunek jarzyn do hal... To miasto, w którym ulice poszerzył, budynki ozdobił, zamieszki stłumił, to niespokojne miasto, gdzie w każdej chwili wyczuwało się tętno królestwa, przez szesnaście lat będące ośrodkiem jego myśli i trosk, od dwóch tygodni jął nienawidzić, jak nienawidzi się człowieka.

Uraza ta powstała dokładnie tego ranka, kiedy Karol de Valois, obawiając się, że Marigny mógłby nawiązać kontakty w Luwrze, postanowił przenieść go do wieży Temple.

Marigny przejeżdżający konno przez stolicę, otoczony sierżantami i łucznikami, uświadomił sobie teraz, że nienawidzi go lud, którego jedynie schylone karki oglądał przez tyle lat. Obelgi rzucane w czasie jego przejazdu, wybuchy radości na ulicach, wyciągnięte pięści, szyderstwa, śmiechy, pogróżki śmierci, to wszystko chyba załamało byłego rektora królestwa bardziej niż samo aresztowanie.

Kto długo rządził ludźmi, starając się działać na rzecz powszechnego dobra, kto zna trud, jaki nakłada ten obowiązek, spostrzegłszy nagle, że nigdy nie był miłowany ani doceniany, a tylko tolerowany, doznaje bezgranicznej goryczy i zaczyna rozważać, na co poświęcił życie.

„Zaszczyty - te miałem wszystkie, ale nigdy nie zaznałem szczęścia, bo nigdy nie sądziłem, że praca moja została ostatecznie zakończona. Czy warto było tak się trudzić dla ludzi, co taki wstręt żywią do mnie?”.

Ciąg dalszy był nie mniej koszmarny. Sprowadzono Enguerranda do Vincennes, tym razem nie po to, by zasiadał pośród dygnitarzy, ale by stanął przed trybunałem baronów i prałatów i by wysłuchał kleryka Jana d’Asnieres w roli prokuratora czytającego akt oskarżenia.

- *Non nobis, Domine, non nobis, sed nomini tuo...* - zawołał, rozpoczynając lekturę, Jan d’Asnieres.

W imię Pańskie wymienił czterdzieści jeden punktów oskarżenia skierowanych przeciw Marigny’emu: zdzierstwo, zdradę, sprzeniewierzenia, potajemne znoszenie się z wrogami królestwa. Każdy punkt był oparty na osobliwych zeznaniach. Akt zarzucał Marigny’emu, iż doprowadzał do łez rozpaczy króla Filipa Pięknego, iż oszukał Dostojnego Pana de Valois przy szacunku dóbr Gaillefontaine, iż widziano go, jak w pustym polu rozmawiał sam na sam z Ludwikiem de Nevers, synem hrabiego Flandrii...

Enguerrand zażądał głosu: odmówiono mu. Żądał rozstrzygnięcia sprawy w zbrojnym spotkaniu - również odmówiono. Sąd uznał go winnym, nie zezwalając na obronę, postępując zupełnie tak, jakby sądził nieboszczyka.

Nadto wśród członków trybunału zasiadał Jan de Marigny. Enguerrand aż nazbyt łatwo wyobraził sobie niecny targ, jakiego dobił jego brat, byle zachować arcybiskupstwo, o które się dlań wystarał! Przez cały przewód tego procesu bez obrony Enguerrand szukał spojrzenia młodszego brata, ale widział tylko nieczułą twarz, wzrok w bok skierowany i piękne dłonie, które powolnym ruchem gładziły wstęgi pektorału.

- Czy spojrzysz na mnie, ty Judaszu? Czy spojrzysz na mnie, ty Kainie? - warczał Enguerrand.

Jeżeli nawet jego brat stanął z takim cynizmem po stronie oskarżycieli, jakżeż mógł od kogokolwiek oczekiwać lojalności albo wdzięczności?

Ani hrabia de Poitiers, ani hrabia d'Evreux nie zasiadali w sądzie i tylko swoją nieobecnością mogli potępić tę parodię sądu.

Wycie motłochu znów towarzyszyło Marigny'emu w drodze powrotnej z Vincennes do Temple, gdzie tym razem w kajdanach na nogach zamknięto go w tej samej ciemnicy, w której przebywał ongiś Jakub de Molay. Jego łańcuch był przykuty do tego samego pierścienia, do jakiego niegdyś przykuwano łańcuch wielkiego mistrza, a na wykwitach saletry pozostały ślady znaków nakreślonych przez starego rycerza, który w ten sposób liczył upływające dni.

„Siedem lat! Skazaliśmy go na spędzenie tu siedmiu lat, aby w końcu wysłać go na stos. Ja zaś tu jestem więziony zaledwie od tygodnia, a już rozumiem, co on przecierpiał".

Mąż stanu ze szczytu sprawowanej władzy, ochraniany całym aparatem sądów, policji i wojska, nie dostrzega w skazańcu człowieka, którego wysyła do więzienia lub na śmierć; likwiduje opozycję. Marigny przypomniał sobie przykre uczucie, jakiego doznał, gdy templariusze płonęli na Wyspie Żydowskiej, pojął wówczas, iż nie chodziło o abstrakcyjne, wrogie potęgi, lecz o istoty z ciała i krwi, o bliźnich. Na moment, owej właśnie nocy, solidaryzował się z torturowanymi, czyniąc sobie wyrzuty z powodu tego odruchu duszy jako słabostki. To samo odczuwał teraz na dnie swej ciemnicy: „Zaprawdę, wszyscy zostaliśmy przeklęci za to, cośmy tam uczynili".

Następnie raz jeszcze Marigny został zaprowadzony do Vincennes, aby tam ujrzeć najbardziej ponury, najohydniejszy pokaz nienawiści i podłości. Jakby nie wystarczały wszystkie skierowane przeciw niemu oskarżenia, jakby za wszelką cenę należało zniweczyć wątpliwości w sumieniu królestwa, spodobało się sądowi obarczyć go dziwacznymi zbrodniami, stwierdzonymi przez zdumiewający korowód fałszywych świadków.

Dostojny Pan de Valois chełpił się, iż wykrył rozgałęziony spisek czarnoksiężników, oczywiście działający za podszeptem Enguerranda. Pani de Marigny i jej siostra, pani de Chanteloup, uprawiały zbrodnicze praktyki rzucania uroku przy pomocy woskowych lalek przedstawiających króla, hrabiego de Valois i hrabiego Saint-Pol. Tak przynajmniej stwierdzili osobnicy sprowadzeni z ulicy Bourdonnais, gdzie za cichą zgodą policji

mieli swe pracownie magii. Przywleczono przed sąd kulawą kobietę, najwyraźniej diabelski pomiot, i niejakiego Paviota, skazanych ostatnio w podobnej sprawie. Ochoczo oświadczyli, że byli wspólnikami pani de Marigny, natomiast okazali bolesne zdziwienie, kiedy sąd zatwierdził wyrok skazujący ich na stos. Fałszywi świadkowie, nawet ci zostali oszukani w tym procesie!

Wreszcie ogłoszono zgon Małgorzaty Burgundzkiej i wśród wielkiego poruszenia, wywołanego tą wiadomością, przeczytano list, który królowa w przeddzień swej śmierci napisała do swego małżonka.

- Zamordowano ją! - wykrzyknął Marigny. Nagle cała machinacja stała się dlań jasna.

Ale otaczający go sierżanci zmusili go do milczenia, zaś Jan d'Asnieres dorzucił nowy punkt do swego aktu oskarżenia.

Na próżno w dniach poprzednich król Anglii ponownie wysłał list z interwencją do swego szwagra we Francji, zaklinając go, aby oszczędził Enguerranda. Na próżno Ludwik de Marigny, błagając o łaskę i sprawiedliwość, rzucił się do nóg Kłótliwego, swego ojca chrzestnego. Ludwik X, skoro tylko wymawiano nazwisko Marigny, odpowiadał jednym zdaniem:

- Wyjąłem go spod mojej opieki.

Zdanie to powtórzył publicznie po raz ostatni w Vincennes.

Wtedy to Enguerrand usłyszał, iż skazano go na śmierć przez powieszenie, zaś jego żona miała zostać uwięziona, a ich dobra skonfiskowane.

Ale Valois miotał się w dalszym ciągu; nie zazna spoczynku tak długo, aż nie ujrzy, jak Enguerrand zadynda na stryczku. Osadził swego wroga w trzecim z kolei więzieniu, w Chatelet, żeby pokrzyżować ewentualną próbę ucieczki.

Tak więc w więzieniu Chatelet w noc 30 kwietnia 1315 roku Marigny wpatrywał się w niebo przez wąskie okienko.

Nie bał się śmierci, a przynajmniej gotował się godnie przyjąć nieunikniony los. Lecz myśl o przekleństwie dręczyła jego umysł; niesprawiedliwość była bowiem tak absolutna, że zmuszała go, aby dostrzegł - w tej nagle rozpętanej wściekłości ludzkiej, a również ponad nią - objaw wyższej woli.

„Czyżby rzeczywiście gniew Boży przemawiał przez usta wielkiego mistrza? Dlaczego wszyscy zostaliśmy przeklęci, nawet ci, co nie zostali nazwani z imienia, a tylko dlatego, że byli obecni? Przecież działaliśmy wyłącznie dla dobra królestwa, chwały Kościoła i czystości wiary? Co więc wywołało tę zajadłość niebios na każdego z nas?".

Zaledwie kilka godzin dzieliło go od jego własnej kaźni; powracał myślą do poszczególnych etapów procesu templariuszy, jakby właśnie tam, bardziej niż w jakimkolwiek innym czynie na terenie publicznym lub w życiu prywatnym, kryło się ostateczne wyjaśnienie, które winien był zdobyć, zanim umrze. Powoli idąc śladami pamięci, z taką dokładnością, jaką zwykł był stosować zawsze we wszystkich sprawach, dotarł jakby do progu, skąd nagle rozbłysło światło i gdzie wszystko pojął.

„Przekleństwo nie było dziełem Boga. Było ono jego własnym dziełem i

wypływało z jego własnych czynów. I ta miara była jednakowo słuszna w stosunku do wszystkich ludzi i do każdej kary.

Templariusze całkowicie zaniedbali swoją regułę; odwrócili się od służby chrześcijaństwu, aby zająć się wyłącznie bankierstwem. Występki wśliznęły się w ich szeregi i obróciły w zgniliznę ich sławę; z tego powodu w nich samych tkwiło przekleństwo i słusznie należało znieść zakon. Ale, aby zakończyć proces templariuszy, kazałem mianować arcybiskupem mego brata - człowieka ambitnego i tchórzliwego - by skazał ich za nie popełnione zbrodnie. Nic więc dziwnego, że mój brat zasiadł w sądzie, który mnie skazał za nie popełnione przestępstwa; ja sam jestem winowajcą, nie mam prawa zarzucać mu zdrady... Ponieważ Nogaret torturował zbyt wielu niewinnych, aby wydobyć z nich zeznania, które uważał za niezbędne dla publicznego dobra, wrogowie jego wreszcie go otruli... Ponieważ Małgorzatę Burgundzką ze względów politycznych wydano za mąż za księcia, którego nie kochała, popełniła wiarołomstwo; ponieważ zdradziła, została ujawniona i uwięziona. Ponieważ spaliłem jej list, który mógłby wyswobodzić króla Ludwika, zgubiłem Małgorzatę, a jednocześnie zgubiłem sam siebie... Ponieważ Ludwik kazał ją zamordować, zrzucając na mnie ciężar zbrodni, co się z nim stanie? Co się stanie z Karolem de Valois, który rozkazał mnie dziś rano powiesić za nie popełnione winy? Co się stanie z Klemencją Węgierską, jeśli zgodzi się poślubić mordercę, by zostać królową Francji?... Jeśli jesteśmy ukarani nawet za nie popełnione winy, istnieje zawsze powód naszej kary. W każdym niesprawiedliwym czynie popełnionym nawet w słusznej sprawie tkwi przekleństwo".

Kiedy Enguerrand de Marigny dokonał tego odkrycia, przestał kogokolwiek nienawidzić i przestał obarczać innych odpowiedzialnością za swój los. To był jego własny akt skruchy, a gdy go wypowiedział, akt ten spowodował inny skutek, niż gdyby powtarzał wyuczone modlitwy. Odczuł w sobie wielki spokój i jakby pojednanie z Bogiem, ponieważ zgodził się, aby jego los zakończył się w ten właśnie sposób.

Bardzo spokojnie czekał świtu i nie miał wrażenia, że zstępuje ze świetlistego progu, na który doprowadziła go medytacja.

Około prymy usłyszał jakiś hałas za murami. Widząc wchodzącego prewota Paryża, a razem z nim urzędnika do spraw kryminalnych oraz prokuratora, powoli wstał i zaczekał, aż zdejmą mu kajdany. Wziął szkarłatny płaszcz, który miał na sobie w dniu aresztowania, i okrył nim ramiona. Czuł w sobie dziwną moc i powtarzał w myśli nieustannie tę prawdę, która mu się objawiła:

„W każdym niesprawiedliwym czynie popełnionym nawet w słusznej sprawie...".

- Dokąd mnie wiodą? - zapytał.

- Na Montfaucon, panie.

- To bardzo dobrze, że tak się stanie. Kazałem odbudować tę szubienicę. Zakończę więc żywot na mym własnym dziele.

Wyjechał z Chatelet wózkiem zaprzężonym w cztery konie, poprzedzało go, otaczało i jechało w ślad za nim kilka kompanii łuczników i miejskich sierżantów. „Kiedy rządziłem królestwem, brałem do eskorty tylko trzech

sierżantów. A teraz aż trzy setki wiodą mnie na śmierć...".

Na wrzaski tłumu Marigny odpowiadał, stojąc na wózku:

- Zacni ludzie, pomódlcie się za mnie do Boga.

Orszak zatrzymał się u wylotu ulicy Saint-Denis, przed klasztorem Cór Bożych.[15] Poproszono Marigny'ego, aby wysiadł, i zaprowadzono go na podwórzec, do stóp drewnianego krucyfiksu pod daszkiem. „To prawda, że tak się to odbywa - powiedział sobie - ale nigdy przy tym nie byłem obecny. A przecież tylu ludzi wysłałem na szubienicę... Zaznałem szesnastu lat powodzenia jako zapłaty za dobro, które mogłem uczynić; szesnaście dni nieszczęścia i jeden poranek śmierci - to moja kara za wyrządzone zło... Bóg jest dla mnie miłosierny".

Pod krucyfiksem jałmużnik z klasztoru wyrecytował przed klęczącym Marignym modlitwy za zmarłych. Potem zakonnice przyniosły skazańcowi kielich wina i trzy kawałki chleba, które wolno przeżuwał, smakując po raz ostatni pożywienie tego świata. Na ulicy paryżanie wciąż wyli.

„Chleb, który będą za chwilę spożywać, wyda im się mniej smaczny niż ten, co mi podali" - pomyślał Marigny, wsiadając znów na wózek.

Konwój przekroczył mury miasta. Po ćwierć mili, gdy już minął przedmieście, ukazała się na pagórku szubienica Montfaucon. Odbudowana w ostatnich latach w miejscu dawnej szubienicy z czasów Ludwika Świętego, wyglądała jak wielka, niedokończona hala bez dachu. Szesnaście murowanych słupów wznosiło się ku niebu z obszernej kwadratowej platformy, osadzonej na wielkich blokach z nie ciosanego kamienia. W środku tej platformy ziała szeroka fosa, która służyła za kostnicę. Wzdłuż fosy stały w szeregu szubienice. Murowane słupy łączyły podwójne belki i łańcuchy z żelaza, na których zawieszano ciała po egzekucji. Pozostawiano je na pastwę wichru i kruków, aby służyły za przykład i wzbudzały respekt dla królewskiej sprawiedliwości.

Dnia tego wisiało dziesięć trupów, niektóre były nagie, inne przyodziane do pasa ze strzępem na biodrach, zależnie od tego, czy kaci mieli prawo do całej odzieży, czy tylko do jej części. Niektóre z tych trupów zmieniły się już prawie w szkielety; inne zaczęły się dopiero rozkładać, twarze miały zielone lub czarne, ohydna ciecz sączyła się z uszu i ust, a strzępy ciała wyrwane dziobami ptaków opadły na resztki odzienia. Wokoło rozchodził się straszliwy smród.

Mnóstwo gapiów wstało wcześnie i przybyło tłumnie oglądać kaźń; łucznicy utworzyli kordon, aby powstrzymać napór widzów.

Kiedy Marigny wysiadł z wózka, zbliżył się ksiądz i poprosił go, aby wyznał grzechy, za które został skazany.

- Nie, mój ojcze - rzekł Marigny.

Zaprzeczył, jakoby zamierzał rzucić urok na Ludwika X czy też jakiegokolwiek księcia z królewskiego rodu, zaprzeczył, że okradał Skarb, zaprzeczył wszystkim punktom oskarżenia skierowanym przeciw niemu, i potwierdził ponownie, że wszystkie czyny, które mu zarzucano, były albo nakazane, albo zaaprobowane przez zmarłego króla, jego przełożonego.

- Ale dla słusznej sprawy popełniłem niesprawiedliwe czyny i za to się kajam.

W ślad za głównym katem wstąpił na podjazd wiodący na platformę i z

majestatem, który go zawsze cechował, zapytał, wskazując szubienice:

- Która?

Jak z mównicy rzucił ostatnie spojrzenie na wyjącą tłuszczę. Sprzeciwił się, aby mu związano ręce.

- Nie trzymać mnie.

Sam podniósł włosy i wsunął swój byczy kark w zwisającą pętlę, którą mu podsunięto. Pełną piersią zaczerpnął powietrza, żeby możliwie jak najdłużej zatrzymać w płucach życie, zacisnął pięści; sznur pociągnięty przez trzy pary ramion uniósł go na dwa sążnie nad ziemię.

Tłum - chociaż tylko na to czekał - wrzasnął przeraźliwie ze zdziwienia. Przez kilkanaście minut widział, jak Marigny wije się w kurczach z wysadzonymi na wierzch oczami, z twarzą siną, wywalonym językiem, kurcząc ręce i nogi, jakby się wdrapywał na niewidoczny maszt. Wreszcie ręce opadły, drgawki się zmniejszyły, ustały, a w oczach zgasło spojrzenie.

Tłum wciąż zaskoczony, bo wciąż zdziwiony, zamilkł.

Valois zabronił zdjąć odzież ze skazańca, aby każdy mógł go łatwiej rozpoznać. Kaci spuścili ciało i powlekli za nogi po platformie; następnie oparli drabiny o słupy szubienicy zwróconej frontem do Paryża i zawiesili je na łańcuchach, aby gnił pomiędzy ścierwem nieznanych złoczyńców jeden z największych ministrów, jakich kiedykolwiek miała Francja.[16]

VII

Obalony posąg

Następnej nocy, w mroku na Montfaucon, wśród zgrzytu łańcuchów złodzieje zdjęli i obrabowali sławnego zmarłego. Rano znaleziono nagie ciało Marigny'ego leżące na kamieniach.

Dostojny Pan de Valois leżał jeszcze w łożu, kiedy go o tym powiadomiono, rozkazał więc ubrać trupa i znów go powiesić. Sam zaś przyodział się i pełen wigoru, żwawszy niż kiedykolwiek, napęczniały swą nienaruszoną siłą żywotną udał się do miasta, aby wmieszać się w ludzkie targi, uczestniczyć w królewskich rządach.

W towarzystwie kanonika de Mornay, swego byłego kanclerza, którego kazał mianować Strażnikiem Pieczęci Królestwa Francji, wszedł do Pałacu na Cite.

W Galerii Kramarzy kupcy i gapie przyglądali się, jak czterech murarzy zawieszonych na rusztowaniu odbija od ściany wielki posąg Enguerranda de Marigny. Nie tylko postumentem, ale i plecami był przytwierdzony do muru. Pod uderzeniami dłut i kilofów biały kamień rozpryskiwał się w okruchy.

Otworzyło się wewnętrzne okno, z którego roztaczał się widok na całą galerię; Valois i kanonik pojawili się przy balustradzie. Gapie, widząc nowych panów, zdjęli czapki.

- Przyglądajcie się, zacni ludzie, patrzcie dalej, bo dobrą robotę tu wykonują - rzucił Valois, zwracając się z zachęcającym gestem do tłumu.

Następnie zwrócił się do Mornaya z zapytaniem:

- Czy zakończyliście inwentaryzację dóbr Marigny'ego?

- Ukończyłem, Dostojny Panie, a sumka jest dość pokaźna.

- Nie wątpię o tym - odparł Valois. - Król zdobędzie w ten sposób fundusze, żeby wynagrodzić tych, co mu się przysłużyli w tej sprawie - mówił. - Przede wszystkim żądam zwrotu mych dóbr Gaillefontaine, które ten łajdak podstępnie ode mnie wyłudził przy niecnej zamianie. To żadna nagroda, zwykła sprawiedliwość. Mój syn Filip powinien też wreszcie posiadać własny pałacyk i własny dwór. Marigny miał dwa domy, ten na Fosses-Saint-Germain i ten przy ulicy d'Autriche. Skłaniam się ku drugiemu... Wiem także, że król chciałby czymś obdarzyć Henryka de Meudon, swego łowczego, który otwiera mu kosz z gołębiami; zapiszcie to życzenie. Ach! Pamiętajcie zwłaszcza, że Dostojny Pan d'Artois od pięciu lat czeka na dochody ze swojego hrabstwa Beaumont. Oto sposobność, żeby mu część zwrócić. Król ma wielkie zobowiązania wobec naszego kuzyna d'Artois.

- Król będzie także musiał - powiedział kanclerz - zgodnie ze zwyczajem ofiarować dary swojej drugiej małżonce, a zdaje się, że w miłości, którą dla niej żywi, postanowił okazać się jak najbardziej hojnym. Jego własna

szkatuła nie jest w stanie temu podołać. Czy nie można by uszczknąć z dóbr Marigny'ego tych faworów, które zostaną przydzielone naszej nowej królowej?

- To mądra myśl, Mornay. Przygotujcie podział po tej myśli, a na czele beneficjantów umieśćcie moją bratanicę Klemencję Węgierską. Król na pewno podpisze.

Valois, rozmawiając, w dalszym ciągu przyglądał się pracy murarzy.

- Oczywiście, Dostojny Panie - podjął kanclerz - nie będę, uchowaj Boże, o nic prosił dla siebie...

- I w tym wypadku słusznie postąpicie, Mornay, bo złe języki miałyby dobrą okazję, by rzec, że ścigając Marigny'ego, szukaliście tylko własnej korzyści. Powiększcie więc nieco mój udział, abym mógł was wynagrodzić stosownie do waszych zasług... Ach! Poruszył się! - dorzucił Valois, wskazując palcem posąg.

Wielki posąg Marigny'ego był teraz całkowicie odłączony od ściany. Opasywano go sznurami. Valois położył okrytą pierścieniami rękę na ramieniu kanclerza.

- Zaiste, człowiek to dziwna istota - powiedział. - Czy wiecie, że nagle odczuwam pustkę w duszy? Tak bardzo przyzwyczaiłem się nienawidzić tego nikczemnika, aż wydaje mi się teraz, że będzie mi go brakowało...

Wewnątrz pałacu, o tej samej godzinie, Ludwik X kończył się golić. Koło niego stała dama Eudelina, różowa i świeża, trzymająca za rękę dziesięcioletnią dziewczynkę, chudą, jasnowłosą, onieśmieloną i nieświadomą, że ten król, którego podbródek osuszano ogrzanymi ręcznikami, to jej rodzony ojciec.

Pierwsza pałacowa szafarka, wzruszona i pełna nadziei, oczekiwała, że dowie się, dlaczego Ludwik zawezwał ją i jej córkę.

Cyrulik wyszedł, zabrawszy miednicę, brzytwy i balsamy.

Król Francji powstał, potrząsnął długimi włosami opadającymi na kołnierz i rzekł:

- Mój lud jest rad, nieprawdaż, Eudelino, że kazałem powiesić Marigny'ego?

- Oczywiście, Dostojny Panie Ludwiku... Wasza Królewska Mość, chciałam powiedzieć. Każdego raduje myśl, że skończyły się wreszcie złe czasy...

- To dobrze, to dobrze. Chcę, żeby tak było.

Ludwik X przeszedł przez komnatę, pochylił się nad lustrem, wpatrywał się kilka minut w swoją twarz, odwrócił się:

- Przyrzekłem zająć się przyszłością tego dziecka... Nazywa się Eudelina, jak i ty...

Łzy wzruszenia napłynęły do oczu szafarki i dotknęła lekko ramienia córki. Mała Eudelina uklękła, aby wysłuchać z ust monarszych zapowiedzi dobrodziejstw.

- Sire, to dziecko będzie was błogosławić w swych modlitwach aż po ostatni dzień...

- To właśnie postanowiłem - odpowiedział Kłótliwy. - Niech się modli. Wstąpi do zakonu, do klasztoru Świętego Marcelego, gdzie przebywają panny tylko ze szlachetnych rodów, będzie jej tam lepiej niż gdziekolwiek

indziej.

Na twarzy Eudeliny-matki odbiło się zdumienie.

- Sire, tego więc dla niej chcecie? Zamknąć ją w klasztorze?

- No cóż? Czyż to nie dobra przyszłość? - zapytał Ludwik. - Trzeba wreszcie, aby tak się stało, nie mogłaby pozostać na tym świecie. Uważam, że będzie dobrze dla naszego zbawienia i dla jej własnego, by pobożnym życiem odkupiła grzech, który popełniliśmy przy jej urodzeniu. Co do ciebie...

- Dostojny Panie Ludwiku, czy mnie też zamkniecie w klasztorze? - zapytała z lękiem Eudelina.

Jak Kłótliwy prędko się zmienił! W tym królu, co dyktował rozkazy tonem nie znoszącym sprzeciwu, nie mogła odnaleźć ani śladu z niespokojnego młodzieńca, którego nauczyła miłości, ani biednego księcia drżącego ze strachu, niemocy i zimna, którego rozgrzewała w swoich ramionach jeszcze ubiegłej zimy. Tylko spojrzenie nadal w bok uciekało.

- Co do ciebie... - powiedział - tobie powierzę obowiązki czuwania nad sprzętami i bielizną w Vincennes, żeby wszystko było gotowe za każdym razem, jak tam przyjadę.

Eudelina kiwnęła głową. Odczuła jako obelgę oddalenie z pałacu, wysłanie jej do drugorzędnej rezydencji. Czyż nie podobał się sposób, w jaki spełniała swe obowiązki? Poniekąd może nawet wolałaby klasztor. Duma jej byłaby mniej urażona.

- Jestem waszą sługą i spełnię wasze rozkazy - odpowiedziała cicho.

Kazała małej Eudelinie powstać i wzięła ją znów za rękę. Kiedy już przekraczała próg, spostrzegła portret Klemencji Węgierskiej, ustawiony na kredensie, i zapytała:

- Czy to ona?

- To przyszła królowa Francji - odpowiedział Ludwik X ze sporą dozą wyniosłości.

- Bądźcie więc szczęśliwy, Sire - rzekła, wychodząc, Eudelina.

Przestała go kochać.

„Na pewno, na pewno będę szczęśliwy” - powtarzał Ludwik, chodząc po komnacie zalanej słonecznym blaskiem.

Po raz pierwszy od chwili wstąpienia na tron czuł się w pełni zadowolony i pewny siebie. Pozbył się niewiernej małżonki, pozbył się potężnego ministra swego ojca, oddalił z pałacu swoją pierwszą kochankę, a nieślubną córkę skierował do klasztoru.[17]

Wszystkie drogi zostały oczyszczone, mógł teraz powitać piękną neapolitańską księżniczkę i już widział siebie, jak króluje z nią długie lata w blasku chwały.

Zadzwonił na dyżurnego szambelana.

- Kazałem wezwać pana de Bouville. Czy przybył?

- Tak, Sire. Czeka na wasze rozkazy.

W tej samej chwili głuche uderzenie wstrząsnęło murami pałacu.

- Co to? - spytał król.

- Myślę, że to posąg upadł, Sire.

- Dobrze... Powiedzcie Bouville’owi, niech wejdzie.

I przygotował się na przyjęcie byłego wielkiego szambelana.

W Galerii Kramarzy posąg Enguerranda leżał już na ziemi. Sznury ześliznęły się za prędko i dwadzieścia kwintali kamienia gruchnęło o podłogę. Stopy odłamały się.

W pierwszym rzędzie widzów Spinello Tolomei i jego siostrzeniec Guccio Baglioni patrzyli na obalony posąg.

- Przewidziałem to, przewidziałem... - szeptał kapitan Lombardów.

Nie chełpił się ostentacyjnie swoim triumfem, jak to czynił Dostojny Pan de Valois z wysokości okna nad balustradą, ale też jego radości nie zabarwiała melancholia. Odczuwał wielkie zadowolenie, bardzo proste i bez żadnych domieszek. Tyle razy za rządów Marigny'ego włoscy bankierzy drżeli o swoje dobra, a nawet o własną skórę! Messer Tolomei, z jednym okiem otwartym, a drugim przymkniętym, oddychał wolnością.

- Ten człowiek naprawdę nie był nam przychylny - mówił. - Baronowie przechwalają się jego upadkiem, ale i my wzięliśmy znaczny udział w tej robocie. A i ty, Guccio, bardzo mi w tym pomogłeś. Chciałbym cię wynagrodzić i bardziej wciągnąć w nasze interesy. Masz jakieś życzenie?

Przechadzali się między stoiskami kramarzy. Guccio spuścił w dół cienki nos i czarne rzęsy.

- Wuju Spinello, chciałbym kierować kantorem w Neauphle.

- Co takiego?! - wykrzyknął zaskoczony Tolomei. - Czy takie są twoje ambicje? Toż to wiejski kantorek, gdzie wystarczy do pracy trzech urzędników! Skromne masz ambicje!

- Dość lubię ten kantor - powiedział Guccio - i jestem pewien, że można go bardzo rozszerzyć.

- A co do mnie, jestem pewien - odparł Tolomei - że raczej miłość niż bank ciągnie cię w te okolice... Panna de Cressay, nieprawdaż? Widziałem rachunki. Nie dość, że ci ludzie są naszymi dłużnikami, ale co więcej, jeszcze ich żywimy.

Guccio spojrzał na Tolomei i zobaczył, że ten się uśmiecha.

- Ona jest najpiękniejsza ze wszystkich, wuju, i z dobrego szlacheckiego rodu.

- Ach! - westchnął bankier wznosząc ręce. - Panna ze szlacheckiego rodu! Wpakujesz się w grube kłopoty. Szlachta, ty wiesz, zawsze gotowa brać od nas pieniądze, ale nie pozwoli, żeby jej krew mieszała się z naszą. Czy rodzina się zgadza?

- Zgodzi się, wujku, jestem pewien, że się zgodzi. Bracia przyjmują mnie jak swego.

Posąg Marigny'ego, wleczony przez dwa przyprzężone konie, wyjechał z Galerii Kramarzy. Murarze zwijali sznury, a tłum się rozpraszał.

- Maria mnie tak kocha, jak ja ją - podjął Guccio - a kazać nam żyć z dala jedno od drugiego, to skazać nas na śmierć. Ze świeżą gotówką, którą wyciągnę z Neauphle, będę mógł odrestaurować zamek, piękny jest, zapewniam was, ale trzeba włożyć trochę pracy. A wy przyjedziecie i zamieszkacie w zamku, wujku, niby prawdziwy wielmoża.

- Jak wiesz, ja nie lubię wsi - mówił Tolomei. - Jeśli mi się zdarzy raz na rok załatwić sprawę w Grenelle czy Vaugirard, czuję się, jakbym był na końcu świata i miał sto lat... Marzyłem dla ciebie o innym związku, z córką naszych kuzynów Bardich...

Przerwał na chwilę.

- Ale niedobra to miłość względem tych, co się kocha, jeżeli się chce ich uszczęśliwić wbrew ich woli. Jedź, mój chłopcze, jedź, zajmij się Neauphle. I żeń się, jak ci się podoba. Sieneńczycy to ludzie wolni, a żonę trzeba wybierać wedle swego serca. Ale przywieź swoją ślicznotkę co prędzej do Paryża. Mile będzie witana pod moim dachem.

- Dzięki, wujku Spinello! - zawołał Guccio, rzucając mu się na szyję.

Hrabia de Bouville, wyszedłszy od króla, przechodził przez Galerię Kramarzy. Zażywny jegomość posuwał się tym stanowczym krokiem, jaki go cechował, kiedy monarcha zaszczycił go, wydając jakieś polecenie.

- Ach! Przyjacielu Guccio! - wykrzyknął, zobaczywszy obu Włochów. - Szczęśliwy traf, że was tu spotykam. Już miałem wysłać po was giermka.

- Czym mogę wam służyć, panie Hugonie? - zapytał młody człowiek. - Mój wuj i ja sam jesteśmy na wasze usługi.

Bouville uśmiechnął się do Guccia z prawdziwą przyjaźnią.

- Mam dla was dobrą wiadomość; tak, bardzo dobrą wiadomość. Powiedziałem królowi o waszych zasługach, o tym, jakeście mi pomagali...

Młodzieniec ukłonił się na znak podzięki.

- Więc, przyjacielu Guccio, jedziemy znów do Neapolu.

Noty historyczne do tomu 2

[1] W pierwszych latach XIV wieku trzy były najwyższe urzędy w królestwie: konetabl Francji - naczelny wódz sił zbrojnych; kanclerz Francji, który kierował sądownictwem, sprawami kościelnymi oraz polityką zagraniczną; wielki marszałek dworu królewskiego.

Konetabl zasiadał w ścisłej Radzie, po prawej stronie króla; miał własną komnatę na dworze i winien był zawsze towarzyszyć królowi, gdy ten zmieniał miejsce pobytu. W okresie pokoju otrzymywał, oprócz świadczeń w naturze, 25 soldów paryskich dziennie, zaś 10 liwrów za każdy dzień świąteczny. Poza tym, w okresie walk, gdy król brał udział w wyprawie, otrzymywał dodatkowo za każdy dzień 100 liwrów.

Wszystko, co znajdowało się w zdobytych na nieprzyjacielu warowniach i zamkach, należało do konetabla, prócz złota i jeńców, którzy stanowili własność króla. Bezpośrednio po królu wybierał on dla siebie zdobyczne konie. Po zdobyciu fortecy, jeśli król był nieobecny, wywieszano na murach chorągiew konetabla. Król nie miał prawa decydować na polu bitwy ani o natarciu, ani o wszczęciu działań zaczepnych, nie zasięgnąwszy wpierw rady konetabla i nie zapoznawszy się z wydanymi przezeń rozkazami. Z tytułu swego stanowiska konetabl był zobowiązany asystować przy koronacji i niósł przed królem miecz.

Za panowania Filipa Pięknego i jego trzech synów oraz podczas pierwszego roku rządów Filipa VI Valois, konetablem Francji był Gaucher de Chatillon, hrabia na Porcien, który zmarł w 1329 roku, licząc prawie lat osiemdziesiąt.

Kanclerz Francji, z pomocą wicekanclerza oraz notariuszy wybranych spośród kleryków przy królewskiej kaplicy, obowiązany był redagować dokumenty i przykładać do nich pieczęć królewską, nad którą miał pieczę, dlatego też miał tytuł strażnika pieczęci. Należał do ścisłej Rady i Zgromadzenia Parów. Kierował sądownictwem, brał udział w królewskich komisjach sądowych, zabierał głos w imieniu króla, zasiadając w sędziowskich fotelach monarchy.

Zgodnie z tradycją kanclerzem był duchowny. Kiedy w 1307 roku Filip Piękny pozbawił urzędu biskupa z Narbonne i oddał pieczęcie Wilhelmowi de Nogaret, ten, nie będąc duchownym, nie otrzymał tytułu kanclerza, ale został mu nadany stworzony dlań specjalnie tytuł „generalnego sekretarza królestwa", zaś Marigny był „koadiutorem i rektorem generalnym".

Kanclerzem Ludwika X od początku 1315 roku był Stefan de Mornay, kanonik z Auxerre i Soissons, uprzednio kanclerz hrabiego de Valois. Najwyższy marszałek dworu, zwany później wielkim marszałkiem Francji, rządził całym personelem pochodzenia szlacheckiego oraz gminnego, pozostającym w służbie monarchy; podlegał mu skarbnik, który prowadził rachunki królewskiego dworu oraz księgi inwentarzowe dotyczące sprzętów, tkanin i garderoby. Zasiadał w Radzie.

Do wysokich urzędników koronnych należy zaliczyć wielkiego mistrza kuszników, podwładnego konetabla, oraz wielkiego szambelana.

Wielki szambelan czuwał nad uzbrojeniem i odzieżą króla; był zobowiązany towarzyszyć mu i w dzień i w nocy „o ile królowej tam nie było". Przechowywał tajną pieczęć, mógł w imieniu króla przyjmować hołd i nakazać złożenie przysięgi na wierność. Urządzał uroczystości, podczas których król pasował nowych rycerzy, zarządzał prywatną szkatułą króla, zasiadał w Zgromadzeniu Parów. Ponieważ wielki szambelan czuwał nad królewską garderobą, jego sądom podlegali kramarze oraz rzemieślnicy sporządzający odzież, podwładnym jego był urzędnik zwany „królem kramarzy", który sprawdzał odważniki i miary, wagi i wzorcowe łokcie.

Istniały wreszcie inne urzędy, będące pozostałością funkcji, których już nie

sprawowano, i choć czysto tytularne, uprawniały jednak do uczestnictwa w Radzie Królewskiej. Do takich urzędów należały stanowiska wielkiego pokojowca, wielkiego podczaszego i wielkiego stolnika; zajmowali je w opisanym przez nas okresie: Ludwik I de Bourbon, hrabia de Chatillon Saint-Pol i Bouchard de Montmorency.

[2] Filip Piękny przekazał swoje serce, a także wielki złoty krzyż templariuszy klasztorowi Dominikanów w Poissy. Serce i krzyż uległy zniszczeniu w nocy 21 lipca 1695 roku, podczas pożaru wywołanego przez piorun.

[3] [Dłoń Sprawiedliwości - dłoń z kości słoniowej, o uniesionych do góry palcach, osadzona na berle - symbol królewskiej sprawiedliwości].

[4] [Samit - ciężka jedwabna tkanina o fakturze podobnej do atłasu, haftowana w złoty lub srebrny wzór. Była w użyciu od XII do XVII wieku].

[5] W średniowieczu palono przez całą noc lampkę nad łóżkiem. Zwyczaj ten miał na celu odpędzanie złych duchów.

[6] Listy uwierzytelniające nadające w lenno Marchię Karolowi Francuskiemu, a tytuł para Filipowi de Poitiers zostały wydane w marcu i sierpniu 1315 r.

[7] Dynastia Andegawenów Sycylijskich jest tak ściśle związana z historią monarchii francuskiej w XIV wieku i tak często występuje w toku naszej opowieści, że wydaje nam się nieodzownym podać czytelnikowi niektóre szczegóły dotyczące tego rodu.

W 1246 roku Karol, hrabia-apanażysta na Valois i Maine, syn Ludwika VIII i siódmy brat Ludwika Świętego, ożenił się z hrabianką Beatrycze, która według słów Dantego wniosła mu „wielkie wiano - Prowansję". Wybrany przez Stolicę Apostolską na obrońcę Kościoła w Italii, został koronowany na króla Sycylii w kościele Świętego Jana Laterańskiego w 1265 r.

Takie było pochodzenie tej gałęzi rodu Kapetyngów, znanej pod imieniem Andegawenów Sycylijskich. Posiadłości i alianse tego rodu szybko rozprzestrzeniły się w Europie.

Syn Karola I Andegaweńskiego, Karol II, zwany Kulawym (1250-1309), król Neapolu, Sycylii i Jerozolimy, diuk na Pouilles, książę Salerno, Kapui i Tarentu, poślubił Marię, siostrę i spadkobierczynię króla węgierskiego Władysława IV. Z tego związku urodzili się:

- Małgorzata, pierwsza żona Karola de Valois, brata Filipa Pięknego;
- Karol Martel, tytularny król Węgier;
- Ludwik Andegaweński, biskup Tuluzy;
- Robert, król Neapolu;
- Filip, książę Tarentu;
- Rajmond Berenger, hrabia Andrii;
- Jan Tristan, zakonnik;
- Jan, diuk na Durazzo;
- Piotr, hrabia na Eboli i Grawina;
- Maria, żona Sancha Aragońskiego, króla Majorki;
- Blanka, żona Jakuba II Aragońskiego;
- Beatrycze, zamężna najpierw za markizem d'Este, następnie za Bertrandem, hrabią des Beaux;
- Eleonora, żona Fryderyka Aragońskiego.

Karol Martel, najstarszy z synów Karola Kulawego, ożeniony z Klemencją z Habsburgów, dla którego królowa Maria żądała w spadku Węgier, zmarł w 1296 roku. Pozostawił on syna Karola Roberta, zwanego Karobertem, który po piętnastu latach walk zdobył koronę węgierską, oraz dwie córki: Beatrycze, żonę delfina z Vienne, Jana II, i Klemencję, która miała zostać drugą żoną Ludwika X Kłótliwego.

Drugi syn Karola Kulawego, Ludwik Andegaweński, zrzekł się wszystkich

dziedzicznych praw do tronu i wstąpił do zakonu. Umarł w zamku Brignoles w Prowansji jako biskup Tuluzy w dwudziestym trzecim roku życia. Kanonizowany w 1317 roku za pontyfikatu Jana XXII.

Po śmierci Karola Kulawego w 1309 roku korona neapolitańska przypadła w spadku trzeciemu synowi - Robertowi.

Czwarty syn, Filip, książę Tarentu, został tytularnym cesarzem Konstantynopola na skutek swego małżeństwa z Katarzyną de Valois-Courtenay, córką Karola de Valois z jego drugiego małżeństwa.

Ród Andegawenów Sycylijskich - dynastia bajecznie płodna i przedsiębiorcza - zdobył w sumie podczas swego panowania: 299 koron w niezawisłych państwach i 12 beatyfikacji.

[8] Ślub Filipa de Valois z Joanną Burgundzką, zwaną Joanną Kulawą, siostrą Małgorzaty, odbył się w 1315 roku.

[9] Ustalenie wartości porównawczej pieniądza w ciągu wieków jest sprawą wyjątkowo trudną i nastręcza niezmiernie wiele zastrzeżeń. Pieniądz ulegał tylu wahaniom, tylu dewaluacjom, wydawane przez państwo zarządzenia tak zmieniły jego wartość, że specjaliści nigdy nie mogą dojść do zgody. Nie można dziś ustalić wartości pieniądza opierając się na cenach artykułów żywnościowych, nawet pierwszej potrzeby, bo ceny zmieniały się bardzo poważnie, nawet z roku na rok, zależnie od obfitości czy też niedostatku żywności oraz zależnie od podatków nakładanych przez państwo. Klęski głodowe były częste, a ceny podawane przez kronikarzy są często cenami „czarnorynkowymi", co zupełnie wypacza pojęcie o sile nabywczej. Oprócz tego wiele naszych artykułów codziennego użytku nie było rozpowszechnionych w średniowieczu, a zatem były bardzo drogie. Natomiast ze względu na siłę roboczą w rzemiośle wyroby rękodzielnicze były względnie niedrogie.

Na pozór wydawałoby się, że najlepszą podstawą do szacunku byłaby wartość porównawcza złota w stosunku do jego wagi; jednakże, jak zapewniają współcześni fachowcy, cena złota jest sztucznie wyśrubowana w porównaniu do jego rzeczywistej wartości. Już dziś mamy pewne trudności, robiąc porównawcze obliczenia w stosunku do franka z 1914 roku. Jak więc można się spodziewać dokładnego obliczenia wartości liwra z 1314 roku?

Porównawszy różne dzieła fachowe, proponujemy czytelnikowi przyjąć dla wygody - podkreślając, że błąd może wahać się od połowy do podwójnej wartości - że 100 franków dzisiejszych ma wartość jednego liwra z początku XIV wieku. Wydatki państwowe za rządów Filipa Pięknego, wyjąwszy lata wojny, wynosiły przeciętnie 500.000 liwrów, co z grubsza oznacza, że budżet państwowy wynosił 50 milionów, czyli 5 miliardów dawnych franków.

Francuskie dawne i nowe franki szykują poważne zresztą pułapki przyszłym historykom.

[10] Wyrok z 1309 roku, mający uregulować sprawę dziedziczenia Artois (patrz Nota *historyczna* nr 4 w *Królu z żelaza),* przyznał Robertowi z masy spadkowej po jego dziadkach tylko kasztelanię Conches, skrawek Normandii, wniesiony w posagu hrabiom d'Artois przez Amicję de Courtenay, żonę Roberta II.

W celu wyrównania strat Mahaut była zobowiązana przelać na rzecz Roberta jako odszkodowanie 24.000 liwrów w przeciągu dwóch lat; z drugiej strony powyższy wyrok zapewniał Robertowi dochód 5000 liwrów z różnych dóbr królewskich, które połączone z kasztelanią Conches miały utworzyć hrabstwo Beaumont-le-Roger.

Przez lat kilkanaście zwlekano z utworzeniem tego hrabstwa i w ciągu owego czasu Robert otrzymywał tylko znikomą część przyrzeczonych mu dochodów. Rzeczywistym hrabią de Beaumont został dopiero w roku 1319. Sumy dłużne zostały mu wypłacone dopiero w roku 1321 za panowania Filipa V, a za panowania Filipa VI, w 1329 roku hrabstwo podniesiono do godności parostwa.

[11] Jedną z najbardziej charakterystycznych i najbardziej zdumiewających cech życia

religijnego w średniowieczu jest kult relikwii. Wiara w moc uświęconych szczątków przerodziła się w przesąd rozpowszechniony na całym świecie; każdy chciał mieć wielkich rozmiarów relikwie, aby je przechowywać we własnym domu, a także małe, by je nosić zawieszone na szyi. Ludzie mieli relikwie na miarę swych majątków. Relikwie stały się prawdziwym przedmiotem handlu, i to jednym z przynoszących największe zyski w XI, XII, XIII, a nawet jeszcze w XIV wieku.

Handlowali nimi wszyscy. Opaci odstępowali cząstki przechowywanych u siebie kości świętych, aby powiększyć dochody klasztorów i pozyskać przychylność możnych osobistości. Krzyżowcy często bogacili się, sprzedając święte okruchy przywiezione z wypraw. Żydowscy kupcy mieli pewnego rodzaju międzynarodową sieć handlu relikwiami. Złotnicy usilnie ten handel popierali, bo zamawiano u nich oprawy i relikwiarze, które należy zaliczyć do najpiękniejszych wyrobów owej epoki, świadczących o bogactwie i bogobojności ich właścicieli.

Najcenniejszymi relikwiami były cząstki Świętego Krzyża, drzazgi ze Żłobka, kolce z cierniowej korony (chociaż Ludwik Święty nabył dla Sainte-Chapelle cierniową koronę rzekomo nienaruszoną), strzały świętego Sebastiana, a także wiele kamieni z Kalwarii, ze Świętego Grobu, z Góry Oliwnej. Doszło nawet do tego, że sprzedawano krople mleka Matki Boskiej.

Kiedy kanonizowano współcześnie zmarłego, spieszono się z podziałem zwłok. Kilka osób z królewskiej rodziny posiadało lub sądziło, że posiada, cząstki Ludwika Świętego. W 1319 roku Robert, król Neapolu, będąc obecnym w Marsylii przy przenoszeniu zwłok swego brata Ludwika, niedawno kanonizowanego, zażądał głowy świętego, aby zabrać ją do Neapolu.

⚜

[12] [Barbarią albo państwami barbarzyńskimi nazywano w średniowieczu kraje Afryki Północnej na zachód od Egiptu, a mianowicie: Maroko, Algierię, Tunezję i Trypolitanię].

⚜

[13] [Na statkach rejonu „północnoeuropejskiego", tj. na obszarze od Zatoki Biskajskiej po Bałtyk na wschodzie, pojawiają się w XII-XIII wieku, a w rejonie śródziemnomorskim już wcześniej, konstrukcje na okręcie tzw. kasztele. Początkowo były to pomosty bojowe wzniesione na rusztowaniu belkowym na rufie i na dziobie statku. W początkach XIV wieku rusztowania te zostały obudowane deskami i zaczęły się przekształcać w nadbudowy: rufową i dziobową. Zmieniają wówczas swoją funkcję i zaczynają służyć jako pomieszczenie dla załogi, pasażerów oraz do innych celów].

⚜

[14] Nie jest to jeszcze słynny „Pałac Papieski", który się dzisiaj zna i zwiedza: ten został wybudowany dopiero w następnym stuleciu. Pierwsza rezydencja awiniońskich papieży mieściła się w nieco rozbudowanym pałacu biskupim.

⚜

[15] [Córami Bożymi zwano w średniowieczu dziewice poświęcone Bogu - V*irgines Deo sacratae* - nie obowiązywały ich reguła klasztorna oraz śluby zakonne, lecz kanon synodalny i zarządzenia kościelno-biskupie. Stąd wywodzi się nazwa kanoniczek. W późnym średniowieczu reguła kanoniczna często przechodzi w regułę klasztorną i niejednokrotnie trudno odróżnić w owym okresie domy kanoniczek od klasztorów. Zgromadzenia Cór Bożych, zwane również *canonissae regulares hospitalares,* istniały począwszy od XI wieku prawie w każdym mieście Francji i Belgii. Między innymi do ich obowiązków należało udzielanie poczęstunku zgłodniałym].

⚜

[16] Szubienica Montfaucon wznosiła się na odosobnionym wzgórzu, na lewo od dawnej drogi do Meaux, w okolicach dzisiejszej ulicy la Grange-aux-Belles.

Enguerrand de Marigny był drugim z długiego szeregu ministrów, a zwłaszcza ministrów finansów, którzy zakończyli swą działalność na Montfaucon.

Przed nim został powieszony skarbnik Filipa III Śmiałego, Piotr de la Brosse: po nim zaś skarbnik Piotr Remy i Macci dei Macci, bankier Karola IV, Rene de Siran, mincarz Filipa VI, Olivier le Daim, faworyt Ludwika XI, Beaune de Samblangay superintendent Karola VIII, Ludwika XII i Franciszka I. Szubienicy zaprzestano używać dopiero od

[17] Papież Jan XXII bullą z 10 sierpnia 1330 r. zezwolił Eudelinie, nieślubnej córce Ludwika X, zakonnicy w klasztorze Klarysek na przedmieściu Świętego Marcelego, zostać - mimo jej nieślubnego pochodzenia - przeoryszą u Świętego Marcelego lub w innym klasztorze Klarysek.

Noty biograficzne do tomu 2

Książęta panujący figurują w notach pod imieniem używanym podczas ich panowania, pozostałe osoby pod nazwiskiem względnie nazwą głównego lenna. Nie ujęliśmy w spisie osób, które występują tylko w epizodach, zaś w dokumentach historycznych zachowała się o nich tylko wzmianka.

✷

ANDEGAWENKA SYCYLIJSKA Małgorzata, hrabina de Valois (ok.1270-31 XII 1299)

Córka Karola II Andegawena, zwanego Kulawym, i Marii Węgierskiej. Pierwsza żona Karola de Valois. Matka Filipa VI, przyszłego króla Francji.

✷

ANDEGAWEŃCZYK Ludwik Święty (1275-1299)

Drugi z kolei syn Karola II Andegawena, zwanego Kulawym, króla Sycylii, i Marii Węgierskiej. Zrzekł się tronu neapolitańskiego, aby wstąpić do zakonu. Biskup Tuluzy. Kanonizowany za pontyfikatu Jana XXII w 1317.

✷

ARTOIS Mahaut d', hrabina Burgundii, później d'Artois (7-27 XI 1329)

Córka Roberta II d'Artois. Poślubiła w 1291 r. hrabiego-palatyna Burgundii, Ottona IV (zm. 1303). Po arbitrażu królewskim w 1309 - pan na Artois. Matka Joanny Burgundzkiej, małżonki Filipa de Poitiers, przyszłego Filipa V, oraz Blanki Burgundzkiej, małżonki Karola Francuskiego, przyszłego Karola IV.

✷

ARTOIS ROBERT III d' (1287-1342)

Syn Filipa d'Artois i wnuk Roberta II d'Artois, hrabia na Beaumont-le-Roger i pan na Conches od 1309. W 1318 poślubił Joannę de Valois, córkę Karola de Valois i Katarzyny de Courtenay. Od 1328, z tytułu nadania mu hrabstwa Beaumont-le-Roger, par Francji. Wygnany z Francji w 1332, schronił się na dworze króla Anglii, Edwarda III. Śmiertelnie ranny pod Vannes. Pochowany w katedrze św. Pawła w Londynie.

✷

ASNIERES Jan d'

Adwokat przy Parlamencie paryskim. Wygłosił akt oskarżenia przeciw Enguerrandowi de Marigny.

✷

AUCH Arnold d' (?-1320)

Biskup Poitiers od 1306. Mianowany w 1312 przez papieża Klemensa V kardynałem-biskupem w Albano. W 1314 legat papieski w Paryżu. Kamerling papieski do 1319. Zmarł w Awinionie.

✷

AUNAY Filip d' (?-1314)

Młodszy syn Gautiera d'Aunay, pana na Moucy-le-Neuf, Mesnil i Grand Moulin. Kochanek Małgorzaty Burgundzkiej, żony Ludwika Nawarry, zwanego Kłótliwym. Po udowodnieniu mu cudzołóstwa (sprawa wieży Nesle) został stracony w Pontoise.

✷

AUNAY Gautier d' (?-1314)

Brat wyżej wymienionego, kochanek Blanki Burgundzkiej. Stracony wraz z bratem w Pontoise.

✷

BAGLIONI Guccio (ok. 1295-1340)

Bankier sieneński, syn Mina Baglioni, spokrewniony z rodziną Tolomei. W 1315 kierował filią banku w Neauphle-le-Vieux. Poślubił potajemnie Marię de Cressay i w 1316 miał z nią syna Giannina, zamienionego w kołysce z Janem Pogrobowcem. Zmarł w Kampanii.

✷

BERSUMEE Robert
Dowódca warowni w zamku Gaillard. Był pierwszym strażnikiem Małgorzaty i Blanki, księżniczek burgundzkich. Po 1316 zastąpił go Jan de Croisy, później zaś Andrzej Thiart.

✷

BOCCACCIO da Chellino
Bankier florencki. Przedstawiciel kompanii Bardich. Miał z kochanką, Francuzką, nieślubnego syna (1313); był nim znakomity poeta Boccaccio, autor *Dekamerona.*

✷

BONIFACY VIII (Benedykt Gaetani) (ok. 1215-11 X 1303)
Najpierw kanonik w Todi, adwokat przy konsystorzu i notariusz apostolski. W1281 kardynał. Wybrany na papieża 24 grudnia 1294 po abdykacji Celestyna V. Padł ofiarą „zamachu" w Anagni, zmarł w miesiąc później w Rzymie.

✷

BOURBON Ludwik, sire, następnie diuk de (ok. 1280-1342)
Najstarszy syn Roberta, hrabiego de Clermont (1256-1318), i Beatrycze Burgundzkiej, córki Jana, pana de Bourbon. Wnuk Ludwika Świętego. Wielki pokojowiec Francji począwszy od 1312, diuk i par Francji od września 1327.

✷

BOURDENAI Michał de
Legista i doradca Filipa Pięknego. Ludwik X kazał go uwięzić i skonfiskować jego dobra. Za Filipa V odzyskał majętności i został zrehabilitowany.

✷

BOUVILLE Hugo III de, hrabia (?-1331)
Syn Hugona II de Bouville i Marii de Chambly, szambelan Filipa Pięknego. W 1293 poślubił Małgorzatę des Barres, z którą miał syna Karola. Ten z kolei był szambelanem Karola V i zarządzał Delfinatem.

✷

BRIANGON Galfryd de
Doradca Filipa Pięknego i jeden z jego skarbników. Uwięziony w tym samym czasie co Marigny, za panowania Ludwika X, zrehabilitowany przez Filipa V, odzyskał dobra i godności.

✷

BURGUNDZKA Agnieszka, diuszesa (ok. 1268-1325)
Najmłodsza z jedenaściorga dzieci Ludwika Świętego. Wydana za mąż w 1279 za Roberta II, diuka Burgunda. Matka diuków Burgundii Hugona V i Eudoksjusza IV, Małgorzaty, żony Ludwika X Kłótliwego, króla Nawarry, a później Francji, oraz Joanny, zwanej Kulawą, żony Filipa VI de Valois.

✷

BURGUNDZKA Blanka (ok. 1296-1326)
Młodsza córka Ottona IV, hrabiego-palatyna Burgundii, i Mahaut d'Artois. W 1307 r. wydana za mąż za Karola Francuskiego, trzeciego syna Filipa Pięknego. Po skazaniu jej za cudzołóstwo w 1314, jednocześnie z Małgorzatą Burgundzką, uwięziona w twierdzy Chateau-Gaillard, później w zamku Gournay koło Coutances. Po unieważnieniu jej małżeństwa w 1322 złożyła śluby zakonne w opactwie Maubuisson.

✷

CHAMBLY Egidius de (?-1326)
Zwany również Egidiusem z Pontoise. Pięćdziesiąty opat w Saint-Denis.

✷

CHATILLON Gaucher de, hrabia de Porcien (ok. 1250-1329)
Konetabl Szampanii (1284), następnie Francji po bitwie pod Courtrai (1302). Syn Gauchera IV i Izabeli de Villehardouin, zwanej Izabelą z Lizines. Zwyciężył w bitwie pod Mons-en-Pevele. Kazał ukoronować Ludwika Kłótliwego na króla Nawarry w Pampelunie (1309). Był kolejno wykonawcą testamentów Ludwika X, Filipa V i Karola IV. Brał udział w bitwie pod Cassel (1328), zmarł w roku następnym. Zajmował stanowisko konetabla Francji za panowania pięciu królów. Poślubił Izabelę de Dreux, następnie Melisandę de Vergy, wreszcie Izabelę de Rumigny.

✷

CHATILLON SAINT-POL Guy de, hrabia (?-6 IV 1317)
Drugi syn Guy i Mahaut Brabanckiej, wdowy po Robercie I d'Artois. Wielki podczaszy od 1296 do śmierci. Poślubił (1292) Marię z Bretanii, córkę diuka Jana II i Beatrycze Angielskiej, z którą miał pięcioro dzieci. Najstarsza z jego córek, Mahaut, była trzecią żoną Karola de Valois.

✷

CHATILLON SAINT-POL Mahaut de, hrabina de Valois (ok. 1293-1358)
Córka wyżej wymienionego, trzecia żona Karola de Valois.

✷

COLONNA Jakub (?-1318)
Potomek sławnej rzymskiej rodziny Colonnów. Mianowany kardynałem w 1278 przez Mikołaja III. Główny doradca kurii rzymskiej za Mikołaja IV. W 1297 ekskomunikowany przez Bonifacego VIII, w 1306 przywrócony do godności kardynała.

✷

COLONNA Piotr (?-1326)
Bratanek wyżej wymienionego. W 1288 mianowany kardynałem przez Mikołaja IV. W 1297 ekskomunikowany przez Bonifacego VIII, w 1306 przywrócony do godności kardynała.

✷

COURTENAY Katarzyna de, hrabina de Valois, tytularna cesarzowa Konstantynopola (?-1307)
Druga żona Karola de Valois, brata Filipa Pięknego. Wnuczka i od 1261 spadkobierczyni Baldwina, ostatniego cesarza latyńskiego Konstantynopola. Po śmierci Katarzyny de Valois jej prawa odziedziczyła najstarsza córka, żona Filipa Andegaweńskiego, księcia Achai i Tarentu.

✷

CRESSAY Eliabel de
Kasztelanka na Cressay koło Neauphle-le-Vieux w okręgu Montfort-l'Amaury. Wdowa po rycerzu Janie de Cressay. Matka Jana, Piotra i Marii de Cressay.

✷

CRESSAY Maria de (ok. 1298-1345)
Córka damy Eliabel i rycerza Jana de Cressay. W 1316 potajemnie poślubiła Guccia Baglioni; urodziła dziecko zamienione w kołysce z Janem I Pogrobowcem, którego była mamką. Pochowana w klasztorze Augustianów koło Cressay.

✷

CRESSAY Jan i Piotr de
Bracia wyżej wymienionej. Obaj pasowani na rycerzy przez Filipa VI po bitwie pod Crecy w 1346.

✷

DUBOIS Wilhelm
Legista i skarbnik Filipa Pięknego. Uwięziony za panowania Ludwika X, odzyskał dobra i godności za Filipa V.

✷

DUEZE Jakub (1244-1334)
Syn mieszczanina z Cahors. Ukończył studia w Cahors i Montpellier. Proboszcz w kościele św. Andrzeja w Cahors. Kanonik przy kościele Saint-Front w Perigueux i w Albi. Proboszcz w Sarlat. W 1289 wyjechał do Neapolu, gdzie szybko stał się zaufanym Karola II Andegaweńskiego, który mianował go sekretarzem tajnych narad, a następnie swoim kanclerzem. Biskup we Frejus (1300), później w Awinionie (1310). Sekretarz koncylium w Vienne (1311). Kardynał biskup w Porto (1312). Wybrany na papieża w sierpniu 1316 przybrał imię Jana XXII. Koronowany w Lyonie we wrześniu 1316. Zmarł w Awinionie.

✷

EDWARD II Plantagenet, król Anglii (1284-21 IX 1327)
Urodzony w Caernarvon, syn Edwarda i Eleonory Kastylijskiej. Pierwszy książę Walii, diuk Akwitanii i hrabia na Ponthieu (1303). Pasowany na rycerza w Westminsterze w 1306. Wstąpił na tron w 1307, poślubił Izabelę Francuską 22 stycznia 1308 w

Boulogne-sur-Mer. Koronowany w Westminsterze 25 lutego 1308. Zdetronizowany w 1326 przez zbuntowanych baronów, na których czele stała jego żona. Uwięziony i zamordowany w zamku Berkeley.

✷

EUDELINA, nieślubna córka Ludwika X (ok. 1305-?)
Zakonnica w klasztorze na przedmieściu Saint-Marcel w Paryżu. Następnie przeorysza w klasztorze Klarysek.

✷

EVREUX Ludwik Francuski, hrabia d', (1276-1319)
Syn Filipa III Śmiałego i Marii Brabanckiej. Przyrodni brat Filipa Pięknego i Karola de Valois. Od 1298 hrabia d'Evreux. Poślubił Małgorzatę d'Artois, siostrę Roberta d'Artois. Miał z nią dzieci: Joannę, trzecią żonę Karola IV Pięknego, i Filipa, męża Joanny, królowej Nawarry.

✷

FILIP III, zwany Śmiałym, król Francji (3 IV 1245-5 X 1285)
Syn Ludwika Świętego i Małgorzaty z Prowansji. W 1262 poślubił Izabelę Aragońską. Ojciec Filipa IV Pięknego i Karola de Valois. Towarzyszył swemu ojcu w czasie VIII wyprawy krzyżowej i w 1270 został ogłoszony królem Tunisu. W 1271 owdowiał. Ożenił się powtórnie z Marią Brabancką i miał z nią syna Ludwika, hrabiego d'Evreux. Zmarł w Perpignan po powrocie z wyprawy, którą podjął, aby dochodzić praw swego drugiego syna do tronu aragońskiego.

✷

FILIP IV, zwany Pięknym, król Francji (1268-29 XI 1314)
Syn Filipa III Śmiałego i Izabeli Aragońskiej, urodzony w Fontainebleau. W 1284 poślubił Joannę z Szampanii, królową Nawarry. Ojciec królów: Ludwika X, Filipa V i Karola IV oraz Izabeli Francuskiej, królowej Anglii. Ogłoszony królem w Perpignan w 1285, koronowany w Reims 6 lutego 1286, zmarł w Fontainebleau. Pochowany w opactwie Saint-Denis.

✷

FILIP V, hrabia de Poitiers, później Filip V, zwany Długim, król Francji (1291-3 I 1322)
Syn Filipa IV Pięknego i Joanny z Szampanii. Brat królów: Ludwika X i Karola IV oraz Izabeli, królowej Anglii. W 1307, jako małżonek Joanny Burgundzkiej, hrabia-palatyn Burgundzki i pan na Salins. W 1311 hrabia-apanażysta na Poitiers. W 1315 par Francji. Regent po śmierci Ludwika X, zaś po śmierci syna tego ostatniego, w listopadzie 1316, król Francji. Zmarł w Longchamp, nie pozostawiając męskiego potomka. Pochowany w opactwie Saint-Denis.

✷

FILIP, hrabia de Valois, później Filip VI, król Francji (1293-22 VIII 1350)
Najstarszy syn Karola de Valois i jego pierwszej żony, Małgorzaty z Andegawenów Sycylijskich. Bratanek Filipa IV Pięknego i brat stryjeczny Ludwika X, Filipa V oraz Karola IV. Po śmierci Karola IV Pięknego regent królestwa, później król po urodzeniu się pogrobowej córki poprzedniego króla (kwiecień 1328). Koronowany w Reims 29 maja 1328. Jego wstąpienie na tron spotkało się z protestem Anglii i było przyczyną drugiej wojny stuletniej. Poślubił po raz pierwszy (1313) Joannę Burgundzką, zwaną Kulawą, siostrę Małgorzaty, a po jej śmierci w 1348 ożenił się powtórnie z Blanką z Nawarry, wnuczką Ludwika X i Małgorzaty.

✷

GAETANI Francesco (?-III 1317)
Bratanek Bonifacego VIII, mianowany przez niego kardynałem w 1295. W 1316 zamieszany w sprawę rzucenia uroku na króla Francji. Zmarł w Awinionie.

✷

GOT albo GOTH Bertrand de
Wicehrabia na Lomagne i Auvillars, markiz Ankony, bratanek oraz imiennik papieża Klemensa V. Kilkakrotnie brał udział w konklawe w latach 1314-1316.

✷

IZABELA Francuska, królowa Anglii (1292-23 VIII 1358)

Córka Filipa IV Pięknego i Joanny z Szampanii. Siostra królów: Ludwika X, Filipa V i Karola IV. W 1308 poślubiła Edwarda II, króla Anglii. W 1325 razem z Rogerem Mortimerem stanęła na czele rewolty baronów, która doprowadziła do detronizacji jej męża. Zwana „wilczycą z Francji". W latach 1326-1328 rządziła Anglią w imieniu swego syna, Edwarda III. W 1330 wygnana z dworu królewskiego. Zmarła w zamku Hertford.

✷

JAN XXII (zob. Jakub Dueze) papież.

✷

JOANNA Burgundzka. hrabina de Poitiers, później królowa Francji (ok. 1293-2 I 1330)

Starsza córka Ottona IV, hrabiego-palatyna Burgundii i Mahaut d'Artois. Siostra Blanki, żony Karola Francuskiego. W 1307 wydana za mąż za Filipa de Poitiers, drugiego syna Filipa Pięknego. W 1314 skazana za ułatwianie cudzołóstwa siostrze i szwagierce, uwięziona w Dourdan i w 1315 uwolniona. Miała trzy córki: Joannę, późniejszą żonę diuka Burgundii, Małgorzatę, wydaną za hrabiego Flandrii, oraz Izabelę, żonę delfina w Vienne.

✷

JOANNA Francuska, królowa Nawarry (ok. 1311-8 X 1349)

Córka Ludwika króla Nawarry, późniejszego Ludwika X Kłótliwego i Małgorzaty Burgundzkiej; podejrzana o nieślubne pochodzenie. Odsunięta od tronu francuskiego, odziedziczyła Nawarrę. Wydana za mąż za Filipa hrabiego d'Evreux. Matka Karola Złego, króla Nawarry, i Blanki, drugiej żony Filipa VI de Valois.

✷

JOANNA z Szampanii, królowa Francji i Nawarry (ok. 1271-IV 1305)

Jedyna córka i dziedziczka Henryka I, króla Nawarry, hrabiego Szampanii i Brie, który zmarł w 1274, oraz Blanki d'Artois. W 1284 poślubiła Filipa IV Pięknego. Matka królów: Ludwika X, Filipa V, Karola IV oraz Izabeli, królowej Anglii.

✷

JOINVILLE Jan sire de (1224-24 XII 1317)

Dziedziczny seneszal Szampanii. Brał udział w VII wyprawie krzyżowej u boku Ludwika IX i razem z nim był w niewoli. W osiemdziesiątym roku życia napisał *Historię Ludwika Świętego,* dzięki czemu został zaliczony w poczet wielkich kronikarzy.

✷

KAROL Francuski, później Karol IV Piękny, król Francji (1294-1 II 1326)

Trzeci syn Filipa IV Pięknego i Joanny z Szampanii. Od 1315 hrabia-apanażysta Marchii. W 1322 wstąpił na tron po Filipie V jako Karol W. Poślubił kolejno: 1307 - Blankę Burgundzka, w 1322 - Marię z Luksemburga, w 1325 - Joannę d'Evreux. Zmarł w Vincennes, nie pozostawiając męskiego potomka. Ostatni król w linii prostej z dynastii Kapetyngów.

✷

KAROL MARTEL lub Carlo-Martello - tytularny król Węgier (ok. 1273-1296)

Najstarszy syn Karola II Andegaweńskiego, zwanego Kulawym, króla Sycylii, i Marii Węgierskiej. Siostrzeniec Władysława IV, króla Węgier, i pretendent do tronu Węgier po jego śmierci. Tytularny król Węgier od 1291 do śmierci. Ojciec Klemencji Węgierskiej, drugiej małżonki Ludwika X, króla Francji.

✷

KAROL ROBERT, Karobert albo Caroberto, król Węgier (ok. 1290-1342)

Syn poprzedniego i Klemencji z Habsburgów. Brat Klemencji Węgierskiej. Pretendent do tronu węgierskiego po śmierci ojca (1296), uznany za króla dopiero w sierpniu 1310,

✷

KLEMENCJA Węgierska, królowa Francji (ok. 1293-12 X 1328)

Córka Karola Martela Andegaweńskiego, tytularnego króla Węgier, i Klemencji z Habsburgów. Bratanica Małgorzaty z Andegawenów Sycylijskich, pierwszej żony

Karola de Valois. Siostra Karola Roberta lub Karoberta, króla Węgier, oraz Beatrycze, małżonki delfina Jana II. Poślubiła Ludwika X Kłótliwego, króla Francji i Nawarry, 13 sierpnia 1315, koronowana wraz z nim w Reims. Owdowiała w czerwcu 1316. W listopadzie wydała na świat syna Jana I. Zmarła w Temple.

✷

KLEMENS V, Bertrand de Got albo Goth, papież (?-20 IV 1314)
Urodził się w Villandraut (Żyronda) jako syn rycerza Arnolda Garsiasa de Got. W 1300 arcybiskup Bordeaux. W 1305 wybrany papieżem jako następca Benedykta XI. Koronowany w Lyonie. Pierwszy papież awinioński.

✷

LATILLE Piotr de (?-15 III 1328)
W 1313 biskup w Chalons. Członek Izby Rachunkowej. Po śmierci Nogareta strażnik królewskiej pieczęci. W 1315 uwięziony przez Ludwika X, w 1317 uwolniony przez Filipa V powrócił na biskupstwo w Chalons.

✷

Le LOQUETIER Mikołaj
Legista i doradca Filipa Pięknego. Uwięziony przez Ludwika X. Odzyskał dobra i godności za Filipa V.

✷

LUDWIK IX Święty, król Francji (1215-25 VIII 1270)
Urodzony w Poissy, syn Ludwika VIII i Blanki Kastylijskiej. Koronowany w 1226, faktycznie rządził Francją od 1236. W 1234 poślubił Małgorzatę z Prowansji, z którą miał sześciu synów i pięć córek. Dowodził VII wyprawą krzyżową (1248-1254). Zmarł w Tunisie w czasie VIII wyprawy krzyżowej. Kanonizowany w 1296 za pontyfikatu Bonifacego VIII.

✷

LUDWIK X, zwany Kłótliwym, król Francji i Nawarry (X 1289-5 VI 1316)
Syn Filipa IV Pięknego i Joanny z Szampanii. Brat królów: Filipa V i Karola IV oraz Izabeli, królowej Anglii. W 1307 koronowany na króla Nawarry w Pampelunie, od 1314 król Francji. W 1305 poślubił Małgorzatę Burgundzka, z którą miał córkę Joannę, urodzoną około 1311. Po „sprawie wieży Nesle" i śmierci Małgorzaty ożenił się po raz drugi (w sierpniu 1315) z Klemencją Węgierską i koronował się w Reims (1315). Zmarł w Vincennes. Jego syn, Jan I Pogrobowiec, urodził się w pięć miesięcy później, w listopadzie 1316.

✷

MAŁGORZATA Burgundzka, królowa Nawarry (ok. 1293-1315)
Córka Roberta II, diuka Burgundii, i Agnieszki Francuskiej. W 1305 poślubiła Ludwika, króla Nawarry, najstarszego syna Filipa Pięknego, późniejszego Ludwika X, z którym miała córkę Joannę. W 1314 skazana za cudzołóstwo (sprawa wieży Nesle), uwięziona w twierdzy Chateau-Gaillard gdzie została zamordowana.

✷

MARIA Węgierska, królowa Neapolu (ok. 1245-1325)
Córka Stefana, króla Węgier, siostra i spadkobierczyni po Władysławie IV królu Węgier. Poślubiła Karola II, zwanego Kulawym, króla Neapolu i Sycylii, miała z nim trzynaścioro dzieci.

✷

MARIGNY Enguerrand de, właśc. Le Portier (ok. 1265-30 IV 1315)
Urodzony w Lyons-le-Foret. Po raz pierwszy ożeniony z Joanną de Saint-Martin, po raz drugi z Alips z Mons. Najpierw giermek hrabiego de Bouville, następnie dworzanin Joanny, żony Filipa Pięknego, i kolejno: dowódca załogi w zamku Issoudun (1298), szambelan (1304), pasowany na rycerza i obdarzony hrabstwem Longueville, zarządzający finansami i budynkami królestwa, dowódca załogi w Luwrze, koadiutor króla i rektor królestwa w ostatnim okresie panowania Filipa Pięknego. Po śmierci tego ostatniego oskarżony o nadużycia finansowe, skazany i powieszony w Montfaucon. Zrehabilitowany pośmiertnie przez Filipa V i pochowany w kościele Kartuzów, skąd później zwłoki jego przeniesiono do kolegiaty Ecouis, którą ufundował.

✷

MARIGNY Jan albo Filip, albo Wilhelm de (?-1325)
Brat poprzedniego. W 1301 sekretarz króla. W 1309 arcybiskup Sens. Zasiadał w trybunale, który skazał na śmierć jego brata Enguerranda. Trzeci brat Marigny, również o imieniu Jan, był od 1312 hrabią-biskupem w Beauvais, wchodził w skład tychże komisji sądowych i żył do 1350.

✷

MARIGNY Ludwik de
Pan na Mainneville i Boisroger. Najstarszy syn Enguerranda de Marigny. Poślubił w 1309 Robertę de Beaumetz.

✷

MERCOEUR Beraud de
Pan na Gevaudan. Poseł Filipa Pięknego przy papieżu Benedykcie XI w 1304. Pokłócił się z królem, gdy ten w 1309 nakazał przeprowadzić śledztwo w jego dobrach. Powrócił do Rady Królewskiej po wstąpieniu na tron Ludwika X w 1314. Usunięty z Rady przez Filipa V w 1318.

✷

MEUDON Henryk de
Łowczy Ludwika X. Otrzymał część dóbr Marigny'ego, gdy ten został skazany.

✷

MOLAY Jakub de (1244-18 III 1314)
Urodzony w Molay (Haute-Saóne). Wstąpił do zakonu templariuszy w 1265 w Beaune. Wyjechał do Ziemi Świętej. W 1295 wybrany wielkim mistrzem. Aresztowany w październiku 1307. Skazany i spalony na stosie w Paryżu.

✷

MORNAY Stefan de (?-31 VIII 1332)
Bratanek Piotra de Mornay, biskupa Orleanu i Auxerre. Kanclerz Karola de Valois, następnie od stycznia 1315 kanclerz Francji. Odsunięty od rządów za panowania Filipa V, członek Izby Rachunkowej i Parlamentu za panowania Karola IV.

✷

NEVERS Ludwik de (? -1332)
Syn Roberta de Bethune, hrabiego Flandrii i Jolanty Burgundzkiej. W 1280 hrabia na Nevers. Po ślubie z Joanną de Rethel - hrabia na Rethel.

✷

NOGARET Wilhelm de (ok. 1265-V 1314)
Urodzony w Saint-Félix de Caraman w diecezji Tuluzy. Uczeń Piotra Flotte'a i Gillesa Aycelina. Wykładał prawo w Montpellier w 1291. Sędzia królewski w okręgu seneszala Beaucaire w 1295, pasowany na rycerza w 1299. Zasłynął jako prawnik w sporach między koroną francuską a Stolicą Apostolską. Dowodził wyprawą na Anagni przeciw Bonifacemu VIII w 1303. Strażnik pieczęci od września 1307 do śmierci. Wszczął i prowadził proces przeciw templariuszom.

✷

ODERISI Roberto
Malarz neapolitański, uczeń Giotta w czasie pobytu tegoż w Neapolu, ulegał wpływom Szymona da Martino. Przywódca szkoły neapolitańskiej w drugiej połowie XIV wieku. Jego główne dzieło to freski w kościele Incoronata w Neapolu.

✷

ORSINI Napoleon, zwany des Ursins (? -1342)
Mianowany kardynałem przez Mikołaja IV 16 V 1288.

✷

PAREILLES Alain de
Kapitan łuczników za panowania Filipa Pięknego.

✷

PRESLES albo PRAYERES Raul de (?-1331)
Pan na Lizy-sur-Ourq. Adwokat. W 1311 sekretarz Filipa Pięknego, po śmierci którego został uwięziony; powrócił do łask pod koniec panowania Ludwika X. Strzegł konklawe w Lyonie w 1316. Nobilitowany przez Filipa V był przybocznym rycerzem tegoż króla i wchodził w skład jego Rady. Założył kolegium w Presles.

✷

ROBERT, król Neapolu (ok. 1278-1344)

Trzeci syn Karola II Andegaweńskiego, zwanego Kulawym, i Marii Węgierskiej. Diuk Kalabrii od 1296, książę Salerno (1304), wikariusz generalny królestwa Sycylii (1296), wyznaczony na następcę tronu neapolitańskiego (1297). Król w 1309, koronowany w Awinionie przez papieża Klemensa V. Książę erudyta, poeta i astrolog. Poślubił najpierw Jolantę (lub Violantę) Aragońską, która zmarła w 1302, później Sanchię, córkę króla Majorki (1304)

✷

TOLOMEI Spinello

Stał we Francji na czele kompanii sieneńskiej, założonej w XIII wieku przez Tolomea Tolomei. Kompania ta szybko wzbogaciła się, prowadząc handel międzynarodowy i kontrolując kopalnie srebra w Toskanii. Do dziś istnieje w Sienie pałac Tolomei.

✷

TRYE Mateusz de

Pan na Fontenay i Plainville-en-Vexin, wielki stolnik, później szambelan Ludwika Kłótliwego, a od 1314 szambelan Francji.

✷

VALOIS Karol de (12 III 1270-XII 1325)

Syn Filipa III Śmiałego i jego pierwszej żony, Izabeli Aragońskiej. Brat Filipa IV Pięknego. Pasowany na rycerza w czternastym roku życia. W tymże roku legat papieski nadał mu prawa do korony aragońskiej, lecz nigdy nie zdołał objąć tronu i w 1295 zrzekł się tytułu. Po ślubie z Małgorzatą *z* Andegawenów Sycylijskich w marcu 1290 - hrabia na Andegawenii, Maine i Perche. Po zawarciu drugiego małżeństwa, w styczniu 1301, z Katarzyną de Courtenay - tytularny cesarz Konstantynopola. Bonifacy VIII nadał mu tytuł hrabiego Romanii. Po raz trzeci ożenił się z Mahaut de Chatillon Saint-Pol. Z tych trzech małżeństw miał wiele dzieci. Jego najstarszy syn panował we Francji jako Filip VI i był pierwszym królem z dynastii Walezjuszów. W 1301 Karol de Valois dowodził wojskami w Italii jako stronnik papieża. Stał na czele dwóch wypraw do Akwitanii (1297 i 1324). Ubiegał się o cesarską koronę niemiecką. Zmarł w Nogent-le-Roi. Pochowany w kościele Jakobitów w Paryżu [Jakobitami zwano w średniowieczu dominikanów, gdyż ich klasztor znajdował się w Paryżu przy ul. św. Jakuba].

KONIEC tomu 2

Księgozbiór DiGG

2010